M.B. im. L. W. w Łodzi

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 47 (1547) ROK XXX 21 LISTOPADA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Po obu stronach frontu — str. 3
- Jak to się robi w ZPP „Feniks"? — str. 4
- Nie obrzydzać seksu — str. 12
- Losy Polaków na emigracji — str. 13
- Jaka jest naprawdę Anna Chodakowska? — str. 7

Niedziela, 15 listopada 1987 roku.

Czy trzeba bać się opozycji?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie znoszę anonimów. Anonim z zasady jest tchórzem. Atakuje człowieka, który nie ukrywa swoich poglądów, podpisuje je imieniem i nazwiskiem. Zieje nienawiścią i boi się odsłonić swoje oblicze. Z zasady więc nie czytuję anonimów i nie polemizuję z autorami anonimowych poglądów. Są zresztą anonimy szczególnie perfidne, którzy podszywają się pod cudze nazwiska i zmyślone adresy, stwarzając tym pozory jawności. Tak postąpił człowiek, który podpisał się B. Kiwon i podał adres: Łódź, ul. Smutna 1 m. 1. Jest to adres cmentarza.

Jeśli więc tym razem odstępuję od swojej zasady, to tylko dlatego, że przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Otóż B. Kiwon jest zdeklarowanym antykomunistą. Ukryty tchórzliwie za kryptonimem zieje nienawiścią i wymysłami. I zupełnie nie rozumie, że jest mimowolnym tworem... stalinizmu, tylko na opak. Stalinizm rodził bowiem z jednej strony nienawiść do „zaplutych karłów reakcji", czyli wszystkich, którzy byli inni, nie licząc się z ich racjami. Ale też stalinizm rodził z drugiej strony nienawiść do „pachołków Moskwy", czyli żywiołową, bezmyślną reakcję na swoje wypaczenia i błędy, na swoją filozofię podejrzliwości i nienawiści. I ktoś, kto ukrywa się pod kryptonimem B. Kiwon, zatrzymał się w swoim rozwoju gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych. Nic już więcej nie zrozumiał, tak jak nic nie zrozumiał przedtem.

Nie będę udawał, że wierzę w jedność Polaków, że nie dostrzegam zróżnicowania i antagonizmów w naszym sposobie myślenia i postępowania. Nie będę udawał, że nie wiem, iż wśród nas są też ludzie, którzy nie kochają socjalizmu i źle mu życzą. Są oni w opozycji do socjalizmu. I jest to opozycja polityczna, niezależnie od tego, czy jest ona nielegalnie zorganizowana, czy też nie. Charakteryzuje ją negacja wszystkiego, co robią lub zamierzają robić komuniści.

Warszawski korespondent belgradzkiej „Borby" Nikola Burzan tak pisał o politycznej opozycji:

„Dziwne rzeczy dzieją się w Polsce: skrajni opozycjoniści, przywódcy i zwolennicy byłej „Solidarności", którzy uporczywie i ostro krytykują władze i żądają radykalnych reform, teraz — gdy te reformy są już ogłoszone — wzywają naród, by się im przeciwstawił! Wygląda to wszystko coraz bardziej na groteskę: od razu po przebudowie polskiego rządu i przedstawieniu pytań przygotowanych na ogólnonarodowe referendum w sprawie dalszego losu reformy Lech Wałęsa i jego otoczenie „zrekonstruowali" również swój „rząd", dotychczasowej Tymczasowej Komisji „Solidarności" (oczywiście, nielegalnej) dali nazwę „wykonawcza" i nie zwlekając postanowili wezwać naród do bojkotu referendum".

W lipcu 1981 roku obradował IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR pod hasłem, które głosiło, że „socjalizmu będziemy bronili jak niepodległości". **A zatem nasz stosunek do antysocjalistycznej opozycji politycznej jest jasny i jednoznaczny. Trudno zatem się dziwić, że państwo dokłada wszelkich starań, aby uniemożliwić działanie przeciwnikom socjalizmu, którzy chętnie wstrzymaliby i cofnęli rozwój historii. Dać swobodę działania takiej opozycji — to popełnić samobójstwo polityczne.**

Ale nie można w każdym przypadku stawiać znaku równości między pojęciami: „opozycja" i „wróg". Opozycja, to przecież przeciwdziałanie, przeciwstawność, sprzeciwianie się komuś lub czemuś, opór. Opozycyjność może przejawiać się w sposób zorganizowany, ale i indywidualny. Jest to sprzeciwianie się poglądom, postawom lub działaniom. Nie jest to żadna abstrakcja, ale konkretne działania lub poglądy. Na przykład ruch ekologiczny jest opozycją wobec praktyki naruszania równowagi w przyrodzie. Ruch konsumencki jest opozycją wobec niedomagań handlu i usług, produkcji towarów niskiej jakości. Jak pokazują te przykłady opozycja może być zjawiskiem pozytywnym, pożytecznym i przyczyniać się do rozwoju i postępu.

W 10 numerze „Zdania" wypowiada się szef CBOS — Stanisław Kwiatkowski. Powiada on tak:

„Z natury tej profesji żurnaliści powinni być krytyczni, opozycyjnie usposobieni do wszelkich nieprawidłowości w życiu społecznym. Ja jestem w opozycji do wczorajszego i dzisiejszego. Zmieniać stan obecny — to przecież doktrynalna dewiza marksizmu".

Czas więc zrehabilitować wyklęte słowo: „opozycja", „opozycyjność" i przywrócić mu właściwy sens. Trzeba tylko zastanowić się: opozycja, ale wobec czego, w imię czego, jakich celów i interesów? Na przykład komuniści z natury i charakteru swych poglądów, swojej doktryny i idei powinni być opozycyjnie nastawieni wobec rzeczywistości. Powinni ją nie tylko pisywać, ale również zmieniać. Na lepsze naturalnie. Zmieniać, rozwiązując nieustannie występujące sprzeczności.

Dorobiliśmy się — niestety — rzeszy działaczy, którzy ograniczyliby się chętnie tylko do opisywania rzeczywistości, do chwalenia się tym, co już zrobili, choć przecież nie zawsze najlepiej i oczekują zamiast krytycyzmu — pochwał. Krytykę najczęściej oceniają jako krytykanctwo, a słowo: „opozycja" ma dla nich tylko jedno znaczenie: „wrogość". A przecież wystarczy wyjść na ulicę i posłuchać, co mówią ludzie. Ileż w tych wypowiedziach jest opozycyjności wobec oficjalnych poglądów, zamierzeń, planów. Inna rzecz, czy zawsze uzasadnionych.

Opozycyjność rozumiana jako przeciwstawianie się jest czymś naturalnym. Hieronim Kubiak nazywa ją „wewnątrzsystemową samoopozycją". **Zbyt to nazwa skomplikowana, ale oddaje istotę zjawiska. Jeśli chcemy doskonalić nasze systemy i struktury, to niezbędna jest do tego wewnętrzna opozycja, której celem jest zmienianie już istniejącego na lepsze, doskonalsze. Bez krytycyzmu nie ma dyskusji, może być tylko przytakiwanie. Bez dyskusji nie można dojść do nowych poglądów, koncepcji. Bez nowych koncepcji nie można zmieniać rzeczywistości. Ale zmienić ją możemy tylko sami. Taka jest prawda, czy to się komuś podoba, czy nie.**

Mój dom jest tam, gdzie mi dobrze

Pięć rozmów o Polakach na emigracji

MAREK BRZEZIŃSKI

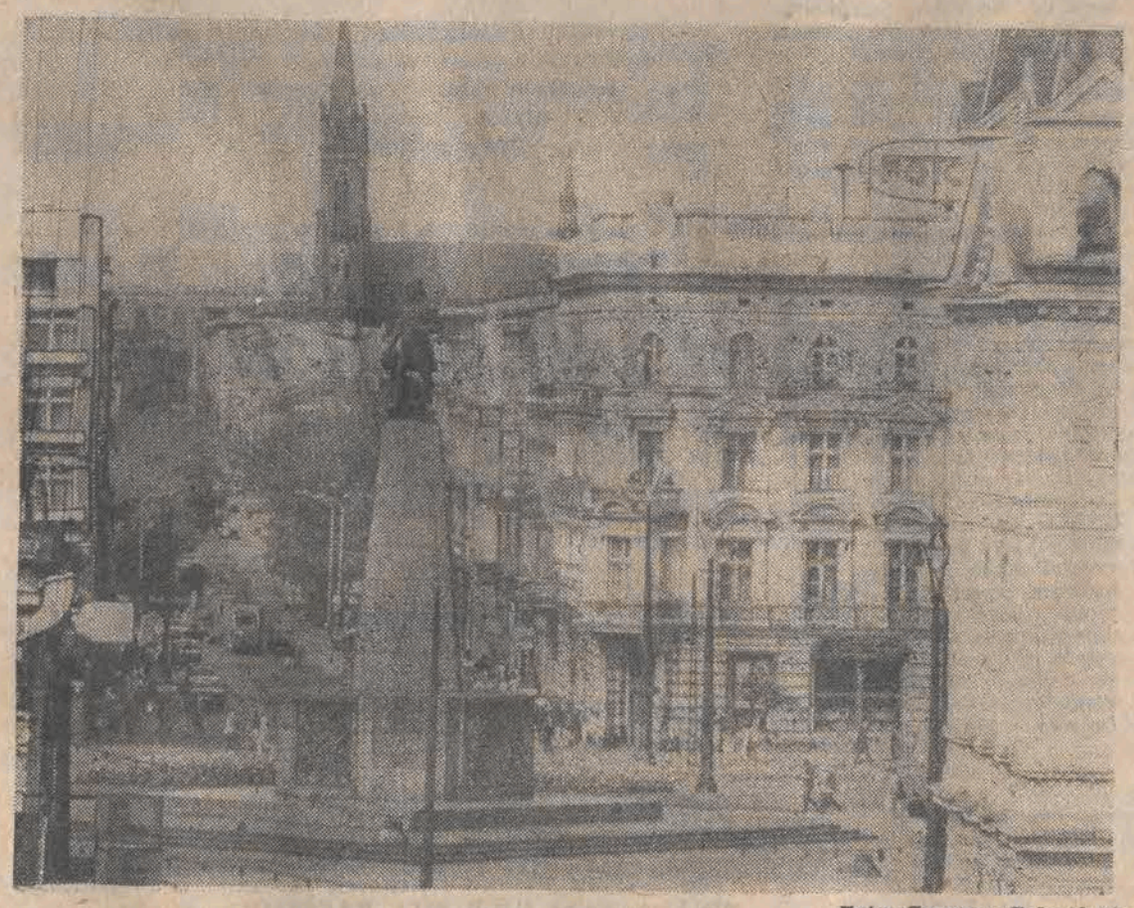

Foto: Grzegorz Gałasiński

Spotkałem Polaków, którzy wegetowali na granicy nędzy i takich, którzy wspominali obozy przejściowe jako koszmar, ale też i takich którym się powiodło: jeżdżą najnowszymi modelami „Porsche" i sportowymi „Mercedesami", stać ich na grę w golfa na Wybrzeżu Kości Słoniowej czy na podróże do Patagonii. Udało im się, bo zrobili karierę artystyczną, bo otworzyli własne sklepy z antykami w luksusowych dzielnicach Monachium, Paryża czy Londynu.

Spotkałem Polaków dwóch kategorii — tych, którzy osiągnęli sukces i tych którzy klepią biedę. I tych trzecich — którzy nie żyją ani wspaniale ani bardzo źle — ot taka sobie codzienna szarzyzna, a więc zupełnie tak samo jak ci, którzy wybrali albo zostali do tego zmuszeni przez okoliczność.

W naszej mentalności istnieją pewne stereotypy Polaka na Zachodzie. Czy odpowiadają one prawdzie? Jaka jest emigracyjna rzeczywistość?

Rozmowy z Polakami przeprowadziłem w okresie od listopada 1986 do kwietnia 1987 roku w Londynie i w Paryżu.

Rozmowa pierwsza

Wojtek mieszka w Londynie od 1981 roku.

— Czym się zajmujesz?

— *Polacy to głównie firmy budowlane. Polki — kelnerki w barach i restauracjach. Ja pracuję w firmie remontującej mieszkania w Chelsea.*

— To znaczy u zamożnych ludzi.

— *Tak. Decydując się na pozostanie tutaj musiałem się ostro wziąć do pracy. To nie wakacyjne saksy studentów, którzy przyjeżdżają na parę miesięcy, popracują za psie pieniądze, a i tak po przeliczeniu czarnorynkowym w kraju jakoś mogą za to żyć. Ja tu jestem na stałe, a więc musiałem pomyśleć o mojej przyszłości i skończyć z chałturami. Dlatego trzymałem się kilku zasad: po pierwsze — nie pracować u Polaków, bo wykorzystają. Znają świetnie stosunki w Polsce, wiedzą, że najczęściej pracujemy tu nielegalnie, więc płacą kiepsko i nieregularnie. Druga zasada — to jak najszybsze usamodzielnienie się. Teraz razem z kumplem mamy własną firmę, przyjmujemy zlecenia, zatrudniamy dwóch, trzech pomocników i sami wykonujemy pracę. Trzecia zasada — to jak najszybsze skończenie pracy. Dlatego pracujemy od ósmej rano do dwunastej w nocy, sześć dni w tygodniu. Jak pracujesz dla siebie, to nie ma czasu na weekendy. Wreszcie ostatnia zasada — to niezgadzanie się na zapłatę mniejszą niż żeby wyszło trzy funty za godzinę.*

— Masz dużo ofert?

— *Bardzo dużo, pomimo silnej konkurencji. Ale my do-*

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Strvjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3608. H-5.

Przegląd prasy

Niektórzy czytelnicy tej rubryki niewłaściwie zrozumieli dane obrazujące poziom i strukturę płac w Polsce przedstawione dwa tygodnie temu. Odebrałem sporo telefonów od zdenerwowanych lekarzy i musiałem nawet pisać wyjaśnienie do Komitetu Łódzkiego PZPR.

Nie byłoby sprawy, gdyby wszyscy uważnie przeczytali mój tekst. Wynika przecież z niego jednoznacznie, że bardzo niskie **średnie** zarobki otrzymują nauczyciele i lekarze. Ale są także w tych grupach ludzie uzyskujący zdumiewająco wysokie płace **maksymalne**. Jedni bowiem pracują więcej, inni mniej.

Wśród nauczycieli zdarzają się przypadki, kiedy poziom płac maksymalnych sięga od 50 tys. do 98 tys. złotych miesięcznie. Tylko w nielicznych grupach nauczycielskich bardzo niskie (18—23 tys. zł) są również płace maksymalne. Wiesław Krencik pisze:

„Różnica między płacami nauczycieli o różnym poziomie przygotowania zawodowego wynosi tylko 30 proc., natomiast w ramach grupy nauczycieli o tym samym poziomie przygotowania zawodowego jest ona bardzo duża. Dla wielu grup zawodowych nauczycieli tylko różnica między poziomem średniej i maksymalnej płacy wynosi 200—400 proc., co oznacza, że różnica między płacą minimalną i maksymalną jest jeszcze większa. Przy poziomie średnich płac w granicach 15—20 tys. miesięcznie, dla wielu grup zawodowych nauczycieli różnica między poziomem średniej i maksymalnej płacy wynosi od 77 do 33 tys. zł".

ILE NAPRAWDĘ MAJĄ LEKARZE?

W porównaniu do innych kategorii zawodowych, zarówno robotniczych jak i nierobotniczych, lekarze zarabiają w Polsce zadziwiająco mało. W marcu 1986 roku poziom płac średnich i maksymalnych (w nawiasach) pracowników służby zdrowia przedstawiał się następująco: specjalista — 30 071 zł (64 089), lekarz zespołu lotniczego pogotowia — 29 839 zł (56 185), asystent w lecznictwie zamkniętym — 27 439 zł (50 997), lekarz okrętowy — 25 239 zł (62 865), lekarz rejonowy — 24 134 zł (45 809), asystent w lecznictwie otwartym — 24 054 zł (50 287), asystent farmaceuta — 21 276 zł (41 091), asystent stomatolog — 21 196 zł (38 888), analityk — 18 433 zł (38 293), technik apteczny — 16 295 (27 634), pielęgniarka — 16 095 zł (41 408), położna — 16 063 zł (32 180), laborant medyczny — 15 922 zł (26 324), technik dentysta — 14 712 zł (34 030), opiekunka dziecięca — 14 346 zł (24 701), higienistka — 12 406 zł (17 229), lekarz stażysta — 11 944 zł (31 630). Autor omawianego artykułu stwierdza:

„Dane o płacach najwyższych w każdej grupie zawodowej dowodzą, iż w odniesieniu do płac średnich istnieje także znaczne zróżnicowanie. I tak np. różnica między poziomem średniej i najwyższej płacy w grupie zawodowej lekarzy specjalistów wynosi 34 tys. zł (poziom płacy najwyższej 113 proc. poziomu płacy średniej), lekarza okrętowego aż 37 tys. (149 proc. poziomu płacy średniej), a lekarza rejonowego prawie 20 tys. zł miesięcznie. Oznacza to, że różnice w poziomie płac lekarzy tej samej grupy zawodowej są większe niż między średnimi poziomami płac pracowników o najwyższych i najniższych kwalifikacjach w grupie typowych zawodów w służbie zdrowia. Generalnie, prawie dla wszystkich typowych zawodów w służbie zdrowia płaca najniższa wynosi 265—170 proc. płacy średniej (wyjątek stał tu stanowisko higienistki, dla którego płaca maksymalna wynosi 138 proc. płacy średniej), a mając w złotówkach, różnice między płacą średnią a maksymalną w zawodzie wynoszą od 10 do 37 tys. zł miesięcznie".

Przez to płaca maksymalna lekarza stażysty (31.630 zł) jest wyższa od średniej specjalisty (30.071 zł), a personel pomocniczy maksymalnie zarabia znacznie więcej niż średnio osiągają lekarze.

POZIOM ZAMOŻNOŚCI RODZIN

pracowników w naszym kraju jest bardzo zróżnicowany i zależy od wielu czynników. Poważny wpływ mają wielkość rodziny oraz liczba zatrudnionych. Pisze o tym w najnowszym miesięczniku „PRACA I ZABEZPIECZENIE SPOŁECZNE" (nr 8) Danuta Graniewska.

Z badań budżetów GUS wynika, że w 1985 roku przeciętna liczba osób w gospodarstwie domowym wynosiła 3,50. W tym czynni zawodowo stanowili 1,59.

„Przyjmując, że poziom minimum socjalnego dla roku 1985 oscylował wokół 8.000 zł na osobę miesięcznie, okazuje się, że 21,1 proc. gospodarstw znajdowało się w przedziale grup dochodowych do tej właśnie wysokości. W ogólnej strukturze pracowniczych gospodarstw domowych znajduje wyraźne potwierdzenie wpływ wskaźnika aktywności zawodowej na sytuację materialną. Otóż w przypadku gospodarstw domowych z jedną osobą czynną zawodowo w grupach dochodowych do 8.000 zł na osobę znajdowało się 33,8 proc. gospodarstw, a przy dwóch osobach pracujących — 10,6 procent. Stanowi to wymowne potwierdzenie wpływu dochodów z pracy na kształtowanie się poziomu zamożności rodziny oraz znaczenia jej struktury demograficznej".

Istnieje wyraźna prawidłowość, że im więcej jest dzieci w rodzinie, tym gorsza sytuacja materialna. Każde kolejne dziecko obniża poziom życia rodziny. W grupie rodzin z trojgiem dzieci i podwójnym dochodem pracujących rodziców aż 35,5 proc. znajdowało się w kategorii dochodów niskich. W najgorszej sytuacji są ci, którzy mają czworo i więcej dzieci. Ponad 60 proc. takich rodzin nie osiągnęło 8 tys. złotych na osobę.

„Sytuacja materialna rodzin wielodzietnych w przypadku jedynych żywicieli jest oczywiście znacznie gorsza niż rodzin z pracującymi rodzicami. Osiągnięcie poprawy materialnej w drodze podjęcia pracy przez kolejnego dorosłego członka rodziny (jeżeli taka możliwość istnieje) jest stosowanym najczęściej rozwiązaniem. Ale jednocześnie w rodzinach liczebnie dużych nie przynosi to tak zasadniczych zmian jak potocznie się uważa".

W obszarze ubóstwa (poniżej 8 tys. zł na osobę) było w 1985 roku 11,0 proc. ogółu rodzin z pracującymi ojcem i matką. Ale tylko 1,4 proc. rodzin z jednym dzieckiem, 7,9 proc. z dwojgiem dzieci, 35,5 proc. z trojgiem i aż 61,6 proc. z czworgiem i więcej dzieci. Natomiast wysokie dochody na osobę (powyżej 16 tys. zł) osiągało 14,6 proc. wszystkich rodzin. Z tym jednak, że aż 31,3 proc. mających jedno dziecko, 7,7 proc. dwoje dzieci, 2,2 proc. troje i zaledwie 0,7 proc. czworo i więcej dzieci.

Rozważając problem zamożności i ubóstwa naszego społeczeństwa należy pamiętać, że w latach Polski Ludowej — mimo przeżywanego obecnie kryzysu — dokonał się ogromny postęp, szczególnie w rejonach wiejskich. Aby to sobie uświadomić, warto przeczytać w tygodniku „ARGUMENTY" (nr 46) rozmowę Małgorzaty Jarockiej z zastępcą naczelnika miasta i gminy Sokółka, Marianem Biziukiem. Można się przekonać, że powieściowe

TAPLARY NIE SĄ WYMYSŁEM.

„Okoliczne wsie niewiele miały wspólnego z XX wiekiem. Nie było elektryczności. Chaty oświetlały lampy naftowe. Chlewy były przedłużeniem pomieszczeń mieszkalnych, składających się najczęściej z jednej izby i kuchni. Dachy kryła słoma. Przerażały zaniedbania higieniczne. W Sokółce było zaledwie kilku lekarzy, a w okolicznych wsiach korzystano z porad znachorów. Kołtun na głowie nikogo nie dziwił, podobnie jak okłady z gliny. Z całej wsi trzy, cztery osoby umiały się podpisać. Jeszcze gorzej było z czytaniem. (..). Dorośli i dzieci jedli to samo: zacierkę lub kartofle z zsiadłym mlekiem. Bogatsi czasami okraszali ziemniaki. Warzyw, jajek, mięsa, śmietany i masła nie jadło się. Produkty te sprzedawano na rynku. Mięso było na stole chłopa tylko z okazji ślubów, chrzcin, pogrzebów lub świąt. Chleb gospodynie wypiekały w domu. Nie było kanalizacji. Nie przy każdym budynku była nawet studnia. Do kościoła chodziło się boso, a tuż przed wejściem do świątyni kto miał wkładał trzewiki. W czasie zimowych wieczorów kobiety darły pierze, przędły na kołowrotkach wełnę, tkały kilimy lub haftowały. Gospodarstwa liczyły przeciętnie 3—4 hektary. Jak można było utrzymać z tego liczną rodzinę? Przymierali więc głodem. Nowa, ludowa Polska znaczyła dla nich, wymęczonych wojną, więcej własnej ziemi i sytość. Brali więc posłusznie ziemię i modlili się przed obrazami i ikonami, aby nikt im tego gruntu nie odebrał. Bywali i tacy, którzy dzięki reformie dostali 5—6 hektarów. Wychodzili w pole zaprzęgając często pożyczonego od sąsiada konia. Ziemia nie mogła czekać. Nastał czas bogacenia się".

Marian Biziuk podkreśla, że w Sokółce i okolicy niemało zrobiono w ciągu minionych czterdziestu lat. Zaprasza serdecznie tych, którzy chcą się przekonać. Ludzie w Sokółce są gościnni jak dawniej.

Nie tylko w mieście i gminie Sokółka tak wyglądała Polska przed przystąpieniem do budowy socjalizmu. Nie można tego ignorować w dyskusjach teoretyczno-ideologicznych. Najważniejsze znaczenie ma dziś jednak

PRZYSZŁOŚĆ USTROJU SOCJALISTYCZNEGO

Klasycy nie przewidzieli wielu spraw. Zachodzące współcześnie przemiany rodzą pytanie, czy musimy zmienić koncepcję socjalizmu? Problem ten rozpatruje Adam Schaff w wypowiedzi drukowanej na łamach „ZDANIA" (nr 10). Uważa on, że marksizm wymaga niezbędnych zmian i rozwoju odpowiednio do istniejącej sytuacji, ponieważ gmach „Kapitału" chwieje się w obliczu przemian.

„Jeśli obumrze klasa robotnicza, to upada koncepcja dyktatury proletariatu jako formy ustrojowej socjalizmu. Jeśli obumrą obecne główne klasy społeczeństwa, a pojawią się nowe, to trzeba po nowemu przemyśleć kształt walki klasowej jej współczesnych nosicieli i kierunek, w którym zmierza ideologia. (..) Czy religia to jest opium dla ludu, jak głosi racjonalistyczna tradycja, którą Marks akceptował? Dziś na pewno nie tylko, jeśli w ogóle uznaje się jeszcze zasadność tej formuły — przeczy temu praktyka, a ona wedle marksizmu jest kryterium prawdy".

Adam Schaff jest zdania, że świat zmierza w kierunku socjalizmu, lecz pod wieloma względami innego niż realny socjalizm. Będzie to ustrój bliższy ideałom, które przyświecały klasykom marksizmu.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie formy ulegają kiedyś zmianie. Witold Gombrowicz, którego wypowiedzi drukuje „ZNAK" (nr 10), dostrzegał rozwój nawet w sztuce. W listopadzie 1968 r. mówił:

„...formy męczą się i wyczerpują. Forma ma diaboliczną skłonność do przechodzenia zawsze od prostszej do bardziej skomplikowanej, nigdy nie posuwa się w kierunku odwrotnym. Niech pan weźmie muzykę na przykład Haydna i Mozarta, która wydaje się tak naturalna: wtedy można było tworzyć arcydzieła z niesłychaną łatwością. Ta łatwość trwa do Beethovena. Później forma bardziej się komplikuje. Nie można już powtarzać form wcześniejszych, zostały wyczerpane, szuka się nowych rzeczy, a one są już bardziej skomplikowane. Dzisiaj doszliśmy do tak wielkiego wyczerpania formy, że kompozytorzy wyglądają jak pijani i nie wiedzą co robić".

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Drugi „koszyk" reformy

Obserwuję, znaczny jak mi się wydaje, stopień dezorientacji społeczeństwa i dwoistość jego postaw wobec reformy gospodarczej. Ci sami ludzie, którzy od dawna domagają się zwiększenia skuteczności gospodarowania przez materialne zainteresowanie pracowników wynikami pracy ich przedsiębiorstwa i którzy także uznawali za konieczne, że pracownicy mniej przydatni musieliby być w jakiejś mierze stratni materialnie, zaczynają teraz przebąkiwać, że duże różnice zarobkowe byłyby społecznie niesprawiedliwe.

Ci sami też, którzy zawsze jak najostrzej krytykowali drobiazgowe mieszanie się państwa do działalności przedsiębiorstw i krępowanie indywidualnej przedsiębiorczości dziś domagają się finansowej „osłony" placówek gospodarczych, zwłaszcza produkcyjnych i dotowania produkcji w imię socjalnego bezpieczeństwa. Jednym słowem, wielu z tych co podnosili jako główny zarzut niereformowalności socjalizmu, teraz nagle powiadali „no, a gdzie w tym wszystkim socjalizm?".

Nie powinno nikogo dziwić, kiedy głównymi obrońcami rzw. systemu nakazowo-rozdzielczego byli ludzie na kierowniczych stanowiskach administracyjno-gospodarczych, którzy zwykle hamowali reformatorskie zamierzenia partii. Nie sądzę zresztą, aby całkowicie straciło zasadność pytanie o nieprzekraczalne granice socjalizmu, na które sam od siebie, na całkowicie własny rachunek odpowiedziałbym, że jest socjalizm zarówno kwestią władzy (leninowskie: „kto kogo"), jak i kwestią warunków zapewniających jak najwyższą, wyższą niż w kapitalizmie, wydajność pracy, jako podstawy dobrobytu.

Ważniejsze jednak w tym momencie od dylematów teoretycznych są, jak myślę, codzienne obawy ludzi zatrudnionych na państwowej służbie (czy tzw. spółdzielczej, która tylko nominalnie jest spółdzielczością), jak również emerytów i rencistów, ludzie ci bywali bowiem, jak uczy doświadczenie, najbardziej poszkodowani przez różnego rodzaju posunięcia, określane niewinnie jako „regulacje". Pozostali obywatele, utrzymujący się, jak mawiano niegdyś, z własnych środków, np. to czy owo legalnie lub półlegalnie wytwarzający lub w jakiś sposób handlujący zawsze potrafią sobie niebezpieczeństwo zwyżki kosztów utrzymania z nadatkiem „odbić"...

Otóż w związku z nawracającą co jakiś czas sytuacją licznych kręgów ludzi pracy, jak prawdziwą rewelację odebrałem niedawną wypowiedź na telekranie dyrektora przedsiębiorstwa produkcyjnego Polskiej Akademii Nauk. Ów pan dyrektor (zresztą — docent, doktor) wyraził z całym przekonaniem pogląd, iż nie powinno być teraz żadnych racjonalnych powodów, żeby wysoko kwalifikowany i wydajny pracownik państwowego przedsiębiorstwa miał zarabiać mniej, zamiast więcej, od pracownika zatrudnionego u prywatnego pracodawcy.

Dyrektor zapomniał lub nie zdążył dodać, że państwowe przedsiębiorstwa pracują dotychczas niewielką na ogół częścią swoich potencjalnych mocy — organizacyjnych, technicznych, kadrowych, które paraliżuje bałagan, marnotrawstwo, obojętność. A istotnym przecież warunkiem uruchomienia drzemiących rezerw jest jak najszersza pracownicza samorządność i kontrola, sprzężone z materialnym zainteresowaniem wynikami ekonomicznymi przedsiębiorstwa, w czym właśnie przejawia się to, co nazywamy podmiotowym uczestnictwem obywateli.

To wszystko co stanowi szeroko pojętą demokrację socjalistyczną składa się na ten, może nie zawsze należycie doceniany, drugi „koszyk" reformy, inaczej mówiąc, drugi punkt pytania przedstawionego w referendum.

Czy dużo może być u nas ludzi przeciwnych dalszej demokratyzacji naszego życia?

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Rozmowa z panią MAŁGOSIĄ i panem CZESIEM, małżeństwem z telewizyjnej audycji „Piękni i wspaniali".

— Wczesnym popołudniem wjeżdżamy na dworzec w Pekinie. Wprawia mnie w zachwyt znajdująca się tam zieleń — ogromne palmy posadzone w wielkich donicach. Pada deszcz i przeczy to moim wyobrażeniom o suchej północy Chin — korespondencja IWONY MARZANNY KNYPL.

— Z gąszcza ciemnych interesów mafii Kulosa na światło dzienne wychodzą tylko nieliczne, przeważnie drobniejsze kanty. Sprawy większego kalibru na zawsze pozostaną sekretem wąskiego grona zaufanych albo skutecznie wyciszą ją łapska chłopców szefa — druga część sensacyjnego reportażu ROMANA KUBIAKA.

— W porównaniu z kioskami sklep „Ruchu" w przejściu podziemnym na skrzyżowaniu Piotrkowskiej z aleją Mickiewicza jest rzeczywiście salonem. No, prawie salonem... — reportaż ANDRZEJA KAROLCZAKA.

Już za miesiąc...

specjalne wydanie ŚWIĄTECZNE „Odgłosów", a w nim między innymi:

— obszerny fragment drugiego tomu powieści ZBIGNIEWA NIENACKIEGO pt. „Dagome iudex".

— Z cyklu „Alfred Hitchcock przedstawia" opowiadanie kryminalne GILBERTA RALSTONA pt. „Okazja".

— korespondencja z Peru RYSZARDA NAKONIECZNEGO, w której ukazuje potęgę i upadek imperium Inków.

— fragmenty powieści JERZEGO KOSIŃSKIEGO pt. „Malowany ptak".

Bardzo atrakcyjny numer świąteczny ukaże się w zwiększonej objętości 20 stron. Dalsze szczegóły za tydzień.

70 lat wcześniej.

Po obu stronach frontu

TADEUSZ BOGALECKI

Polonia w Rosji z entuzjazmem powitała obalenie caratu. Jej przedstawiciele podkreślali na wiecach solidarność z rewolucją rosyjską, gotowość czynnego udziału w walce o jej zwycięstwo. Spodziewano się, że rewolucja przerzuci się na zachód, podważy trony Habsburgów i Hohenzollernów, przerwie morderczą, bratobójczą dla Polaków wojnę, wyzwoli ziemie polskie.

Większość Polaków akceptowała w rewolucji przede wszystkim jej antymonarchiczny, demokratyczno-republikański i narodowowyzwoleńczy charakter. Lewicowcy spodziewali się, że utoruje ona drogę do socjalizmu, aczkolwiek kierunek tej drogi nie był jasny i zdania w tej sprawie były podzielone.

3 marca 1917 roku delegacja złożona z socjalistów różnych kierunków i demokratów udała się do Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, by wyrazić jej swą gotowość przyjścia z pomocą w dalszej walce i pracy. Liczono, że przedstawiciele rosyjskiej rewolucyjnej demokracji uznają prawo Polski do niepodległości. **14 marca 1917 r.** Rada Delegatów ogłosiła **„Pozdrowienie dla narodu polskiego"**, w którym stwierdziła, że **„Polska ma prawo do bytu zupełnie niepodległego pod względem państwowo-międzynarodowym"** i podkreślała solidarność Rosji rewolucyjnej z narodem polskim, w oczekującej go walce o wprowadzenie w Polsce niepodległego, republikańskiego ustroju.

Oświadczenie to zmobilizowało Rząd Tymczasowy do wypowiedzenia się w sprawie polskiej. Uchwalił on statut Komisji Likwidacyjnej, instytucji rządowej, która miała za zadanie zlikwidować więzy państwowo-administracyjne łączące Polskę z Rosją oraz aparat urzędniczy ewakuowany z Królestwa Polskiego, a także ustalić wielkość majątku polskiego w Rosji. **31 marca 1917 r.** opublikowano manifest **Rządu Tymczasowego w sprawie** polskiej. Uznawał on prawo narodu polskiego do **zjednoczenia, niepodległości** i decydowania — w myśl uchwał przyszłego Zgromadzenia Konstytucyjnego w Warszawie — o własnym ustroju wewnętrznym, ograniczając tę swobodę decyzji trzema warunkami: państwo polskie miało zapewnić równouprawnienie mniejszościom narodowym, łączyć je miał sojusz wojskowy z Rosją, a ustalenie wspólnej granicy obu państw należeć miało do Konstytuanty rosyjskiej. Zastrzeżenia te godziły w suwerenność przyszłego państwa polskiego.

Rząd Tymczasowy przystąpił również do realizacji projektu przyjętego przez Sztab Generalny przed wybuchem rewolucji — utworzenia na bazie dotychczasowej **Brygady Strzelców Polskich** większej jednostki — **Dywizji Strzelców Polskich**, traktowanej jako zalążek przyszłej polskiej armii sojuszniczej. Jej sztab umieszczono w Kijowie. Poszczególne jednostki rozlokowano w guberniach: kijowskiej, połtawskiej i charkowskiej, a pułk rezerwowy w Biełgorodzie w guberni kurskiej.

Wokół sprawy utworzenia armii polskiej w Rosji

I jej udziału w przyszłej ofensywie rosyjskiej na ziemiach polskich rozpętała się gwałtowna walka między obozem demokratycznym a narodowo-demokratycznymi ugrupowaniami polonijnymi. Demokraci wspierani przez działaczy PPS twierdzili, że w Królestwie Polskim, aczkolwiek pod okupacją niemiecką kształtuje się państwowość polska reprezentowana przez Radę Stanu i do niej jedynie może należeć inicjatywa powołania armii narodowej. **7 czerwca 1917 r. na zjeździe Związków Wojskowych Polaków** ich przedstawiciele potępili prorządowe koncepcje endecji. Po opuszczeniu sali obrad wyłonili **Komitet Główny Związków Wojskowych Polaków (Lewicy).** Osłabiony przez secesję Zjazd, przechodząc do porządku dziennego nad protestami PPS-Lewicy, PPS i demokratów, postanowił przystąpić do formowania armii polskiej w Rosji. Realizację tej uchwały zlecono **Naczelnemu Komitetowi Wojskowemu (Naczpol)** pod przewodnictwem chorążego **Władysława Raczkiewicza.**

Działaczy prawicy polskiej zawiodła również **Dywizja Strzelców Polskich**, na której miał się oprzeć formujący się pod dowództwem gen. **Józefa Dowbora-Muśnickiego I Korpus Polski.** Przerzuceni, mimo prób oporu, do Galicji żołnierze trzykrotnie odmówili zajęcia pozycji bojowych, by nie brać udziału w bratobójczej walce.

Tendencja antywojenne w środowiskach polonijnych wspierała SDKPiL. Była jedyną polską partią nastawioną na rewolucję socjalistyczną w Rosji, organizacyjnie połączoną z rosyjską rewolucyjną socjaldemokracją. W rezultacie wpływy jej wzrastały w miarę jak się ustalał kierunek rozwoju rewolucji rosyjskiej.

Wraz z rozwijaniem się wydarzeń rewolucyjnych pogłębiało się rozwarstwienie obozu postępowego, a następnie socjalistycznego, występowała coraz to dalej idąca polaryzacja polityczna. Postępujące rozwarstwienie polityczne środowisk polonijnych ujawniło się podczas buntu **gen. Ławra Kornilowa**, któremu udzielała poparcia politycznego cała prawica polska, a pomocy zbrojnej jednostki **I Korpusu Polskiego.** Do walki z puczem generalskim wystąpiła natomiast cała polska lewica, wszystkie polskie partie socjalistyczne poparte siłą zbrojną zrewolucjonizowanego **Pułku Biełgorodzkiego.**

Proces polaryzacji politycznej nabrał tempa po zdławieniu buntu **Ławra Kornilowa**, doprowadził do nowego układu sił, który w społeczności polskiej ujawnił się podczas październikowego (według starego kalendarza) powstania zbrojnego.

Rzecznikiem zbrojnej walki o władzę była SDKPiL. Partia ta rzuciła do walki zbrojnej wszystkie swoje siły, z kierownictwem włącznie. Członkowie jej Komitetu Wykonawczego weszli do piotrogrodzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego — **Feliks Dzierżyński i Józef Unszlicht**, bądź jak **Julian Leszczyński** spełniali jego polecenia w roli komisarzy.

25 października (7 listopada) 1917 r. o godz. 21.40 rozległ się historyczny wystrzał armatni z krążownika „Aurora". Wśród półtysięcznej załogi okrętu byli i Polacy. Należał do nich galwanizator **Jakub Szwarce-Martyniuk.**

Po strzale z „Aurory" ruszył atak na Pałac Zimowy.

Uczestniczyli w nim rewolucjoniści wielu krajów. Tylko niektóre nazwiska Polaków — uczestników szturmu, można ustalić w sposób wiarygodny. Byli wśród nich m.in. **Jan Skanis** — członek SDKPiL od 1917 r., robotnik fabryki amunicji, czerwonoarmista, członek Rady Delegatów dzielnicy wyborskiej; **Romuald Muklewicz** — członek PPS-Lewicy od 1906 r., marynarz floty wojennej, przewodniczący komitetu w Szkole Mechaników Okrętowych; **Jan Sawicki** — dowódca 300-osobowego oddziału desantowego krążownika „Afryka"; **Alojzy Adamaszek** — były lotnik armii austriackiej.

Wszyscy członkowie **Centralnego Komitetu Wykonawczego SDKPiL** grupy piotrogrodzkiej w liczbie 500 osób, zmobilizowani, wzięli udział m.in. w szturmie na Pałac Zimowy, w walce o pocztę i telegraf, rozbrajali policję, żandarmerię oraz likwidowali ogniska buntów.

Polacy aktywnie uczestniczyli w ustanowieniu władzy radzieckiej w wielu miastach państwa rosyjskiego. Na południu, w rejonie **Charkowa i Biełgorodu**, w walce o przejęcie władzy wziął udział **Pułk Biełgorodzki** liczący ok. 17 tys. żołnierzy. Był to pierwszy zorganizowany oddział wojskowy złożony z cudzoziemców, który stanął po stronie Rewolucji.

W walce o władzę Rad wzięło udział również wielu członków PPS-Lewicy. Czołowych działaczy tej partii zaskoczyło jednak zarówno powstanie zbrojne, jak i ustanowienie władzy radzieckiej. **CWK PPS-Lewicy** zaaprobował zaproponowaną przez SDKPiL deklarację o uznaniu rządu radzieckiego. Nie zmienił jednak swego stanowiska, że powstanie jest kontynuacją rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Złudzenia tego rodzaju mogły przetrwać do połowy 1918 r., ponieważ rząd radziecki realizował początkowo raczej nie wypełnione przez Rząd Tymczasowy zadania demokratycznej niż socjalistycznej rewolucji.

W czasie konferencji partyjnej PPS-Lewicy, zorganizowanej **24 grudnia 1917 r.**, w **Charkowie** podkreślano konieczność współdziałania z rządem radzieckim i partią bolszewicką i to bez względu na zastrzeżenia CKW, że praca członków PPS-Lewicy w Rosji w organach rządowych winna ograniczać się wyłącznie do pełnienia funkcji na stanowiskach administracyjnych, a nie politycznych.

Znacznie przychylniej ustosunkowali się do powstania zbrojnego bolszewików czołowi działacze PPS w Rosji. Sekcja stołeczna tej partii, oparta na kadrach wielkoprzemysłowego proletariatu i kolejarzy węzła piotrogrodzkiego, od pierwszych chwil opowiedziała się po stronie władzy radzieckiej. Z jej postawą musiało się liczyć kierownictwo. Zaaprobowało ono przygotowaną przez KW SDKPiL deklarację o uznaniu rządu radzieckiego. Przedstawiciele PPS często podkreślali wówczas, że w obozie rewolucji socjalistycznej naród polski posiada szczerego sojusznika, a pozytywny stosunek Rady Komisarzy Ludowych wynika z samej istoty rewolucji socjalistycznej.

Jednocześnie czołowi działacze PPS nie akceptowali leninowskiego programu walki o socjalizm, zwłaszcza w zakresie jej metod i form oraz w sposób ograniczony pojmowali solidarność z klasą robotniczą Rosji. Przejawiło się to w ewolucji oficjalnego stosunku tej partii wobec rewolucji socjalistycznej. W 1918 r., zwłaszcza po utworzeniu niepodległego państwa polskiego, z enuncjacji PPS znikały stopniowo sformułowania o Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, jako rewolucji politycznej i socjalnej, coraz częściej negowany był pozytywny jej wpływ na losy narodu polskiego.

Przedstawione wątpliwości i zastrzeżenia kierownictw PPS i PPS-Lewicy wobec leninowskiego programu walki o socjalizm, zwłaszcza w zakresie jej metod i form, nie wywierały większego wpływu na postawę szeregowych członków tych partii spontanicznie uczestniczących w ustanawianiu władzy radzieckiej. Szczególny oddźwięk wśród Polaków przebywających w Rosji wywołał dekret o pokoju, powitany z uznaniem przez wszystkie polskie ugrupowania socjalistyczne. Po raz pierwszy w dziejach proklamowane zostały nowe zasady międzynarodowej polityki pokojowej i pokojowego współistnienia, uznania całkowitego równouprawnienia wszystkich krajów, poszanowania ich niezależności narodowej i państwowej.

Deklaracja Praw Narodów Rosji z 15 listopada 1917 r.

— proklamowała prawo do samookreślenia uciemiężonych narodów, unieważniała wszystkie akta prawne decydujące o uprzywilejowaniu lub upośledzeniu poszczególnych narodów, gwarantowała mniejszościom narodowym równouprawnienie i swobodny rozwój. Nad realizacją tych zasad czuwał **Komisariat Ludowy do Spraw Narodowości.** Na mocy wewnętrznego podziału w Komisariacie **Stanisław Pestkowski** — członek SDKPiL — jako zastępca komisarza ludowego, **Józefa Stalina**, czuwać miał nad sprawami narodów zachodnich, a także narodu polskiego.

Komisariat Polski od początku dążył do rozszerzenia swojej bazy społecznej. 21 listopada 1917 r. powołano przy nim **Radę Polskich Organizacji Rewolucyjno-Demokratycznych.** W jej skład weszło po 10 przedstawicieli Centralnych Komitetów Wykonawczych trzech polskich partii robotniczych (SDKPiL, PPS, PPS-Lewicy), po 5 wysłanników **Zarządu Głównego „Promienia", Komitetu Głównego Związku Wojskowych Polaków (Lewicy)** i **Centralnego Biura Związku Kolejarzy Ewakuowanych** oraz 2 przedstawicieli zarządu **Rewolucyjnego Klubu Żołnierskiego. Rada uznała się za instytucję społeczno-rewolucyjną, sprawującą** ogólną kontrolę nad działalnością Komisariatu Polskiego. Wyznaczyła ona na stanowisko jego sekretarza generalnego **Witolda Matuszewskiego** — działacza „Promienia".

Komisariat Polski czując się odpowiedzialnym za polski majątek narodowy w Rosji zestawił wykaz ewakuowanych fabryk, nawiązał korespondencję z administracją i komitetami fabrycznymi. Specjalną opieką otoczył skarby kultury polskiej. Korzystając z pomocy **Towarzystwa Opieki nad Zabytkami** pełnomocnicy Komisariatu wyszukiwali w pałacach carskich, muzeach i składach wywiezione z ziem polskich dzieła sztuki. Usiłowali oni również ratować księgozbiory zgromadzone w pałacach magnackich oraz przedmioty sakralne. Jednym z nich był **ksiądz Żyskara**, który wyróżniał się przy wyszukiwaniu wywiezionych z Królestwa dzwonów kościelnych.

Zespolenie wokół Komisariatu całej lewicy polskiej i wielu ludzi dobrej woli o odmiennych światopoglądach umożliwiło realizację śmiałego planu zaktywizowania środowiska polskiego przy pomocy wyborów do **Rad Wygnańczych** na podstawie powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania. **Rady Wygnańcze**, traktowane zgodnie z zasadą radziecką nie tylko jako reprezentacja mas ludowych, ale również jako organ władzy, miały przejąć opiekę nad wszystkimi polskimi placówkami oświatowymi i opiekuńczymi, likwidując dotychczasowe organizacje, uznane za źródło wpływów partii burżuazyjnych w środowisku uchodźców. Celu tego nie udało się osiągnąć w miejscowościach, gdzie robotnicy przemysłowi, górnicy lub kolejarze byli w mniejszości.

Po wyborach do Rad Wygnańczych zaostrzyły się także stosunki z liberalno-demokratycznym **Polskim Towarzystwem Pomocy Ofiarom Wojny.** Jego kierownictwo, podkreślające dotychczas swą lojalność, wystąpiło z szeroką kampanią polityczną skierowaną za pomocą druków i zgromadzeń, przeciwko Komisariatowi Polskiemu i rządowi radzieckiemu. Doprowadziło to w 1918 r. do jego rozwiązania.

Partie i organizacje wchodzące w skład obozu burżuazyjnego w listopadzie 1917 r. przystąpiły do tworzenia samodzielnych oddziałów ochronnych i wojskowych. Na przykład **Polska Rada Bezpieczeństwa** zorganizowała ochotniczą płatną siłę zbrojną — **Straż Polską.** Jej członkowie ochraniali lokale polskich organizacji ratowniczych i spółdzielczych, składy, sklepy, warsztaty oraz ewakuowane z Królestwa Polskiego fabryki i banki.

4 grudnia 1917 r. przedstawiciele liberalno-burżuazyjnego **Stronnictwa Radykałów Polskich i Naczelnego Komitetu Demokratycznego** oraz proendeckiego **Bloku Jedności Narodowej i Rady Polskiego Zjednoczenia Międzypartyjnego przyjęli uchwałę** zalecającą wyodrębnienie żołnierzy Polaków z armii rosyjskiej i skupienie ich w oddzielnej polskiej sile zbrojnej. Uzgodniono, że będzie ona strzegła „życia i mienia ludności zamieszkałej w okolicy rozkwaterowanych wojsk polskich". Zgodnie z tymi decyzjami **Naczelny Polski Komitet Wojskowy (Naczpol)** przeniósł się w rejon rozlokowania **I Korpusu Polskiego.** Jego odpowiednikiem na obszarach opanowanych przez **Centralną Radę Ukraińską**, stał się **Naczelny Inspektorat Polskiej Siły Zbrojnej na Ukrainie z siedzibą w Kijowie.** Podporządkowane im formacje wojskowe skupiały na początku 1918 r. około 38 tys. osób. **I Korpus Polski**, formowany głównie na **Białorusi**, liczył blisko 29 tys. ludzi. Na froncie rumuńskim, głównie w **Besarabii** i na **Bukowinie** powstawał **II Korpus Polski.** Jego dowódcą był **gen. Stankiewicz.** Na Ukrainie, głównie w rejonie **Winnicy** tworzył się **III Korpus Polski.** Jego oddziały skupiały w lutym 1918 r. około 3 tys. żołnierzy.

Formacje te aktywnie włączyły się w obronę polskiego stanu posiadania. Doprowadziło to do licznych konfliktów z ludnością ukraińską i białoruską. Świadczyły o tym skargi, które napływały masowo do centralnych władz radzieckich z **Mohylewa i Bobrujska.** Głównodowodzący Armii Czerwonej — **Nikołaj Krylenko** uznał je za dowody terroryzowania przez jednostki I Korpusu Polskiego chłopów białoruskich. W styczniu 1918 r. ogłosił on, że dowódca korpusu jest wyjęty spod prawa i wezwał chłopów do walki.

Decyzje dowódcy Armii Czerwonej zostały uznane za błędne przez **Komisariat Polski** i należące do niego stronnictwa. Ich przedstawiciele, na czele z **Julianem Leszczyńskim** stali na stanowisku, że samosądy chłopskie nie są właściwą metodą, gdy usiłuje się przyciągnąć na swoją stronę żołnierzy. Należy zaznaczyć, że **Wydział Wojskowy Komisariatu Polskiego** z uznaniem powitał również przejście przez linię frontu **brygady Józefa Hallera**, skłonny był nawet potraktować ją jako formację rewolucyjną. Wtedy zaś, gdy rozbici pod **Kaniowem** w starciu z Niemcami hallerczycy podążali grupami **do Murmańska**, gdzie mieli połączyć się z formacjami antyradzieckimi, Komisariat Polski interweniował w obronie aresztowanych, namawiając zwolnionych z więzienia na skutek tej interwencji żołnierzy, by wstępowali do polskich jednostek rewolucyjnych.

Taktyka Komisariatu Polskiego była rezultatem zarówno jego koalicyjnego charakteru, jak i dotychczasowych konfliktów ze zwolennikami ostrego i bezwzględnego kursu wobec przeciwników władzy radzieckiej i podejrzanych o sprzyjanie im. Świadczyło o tym m.in. stanowisko jego przedstawicieli

— w sprawie tragicznych wydarzeń w Pułku Biełgorodzkim.

Oddział ten uważano za gotową bazę poczynań organizacyjnych zmierzających do stworzenia polskich formacji Armii Czerwonej. Dowiódł on swej wierności władzy radzieckiej w dniach ustanawiania władzy Rad, a następnie w grudniowych walkach z jednostkami **gen. Ławra Kornilowa pod Tomarówką i Olchówką.**

Po sukcesie pod Tomarówką pułk został przemianowany na **1 Polski Pułk Rewolucyjny** i zaliczony do armii czynnej. Liczył on wówczas około 17 tys. osób, trzykrotnie przekraczając normą przewidzianą etatem. Wielu z nich chciało jedynie uniknąć wysłania na front.

Sytuacja w pułku skomplikowała się, gdy doszło do konfliktu między władzą radziecką a nacjonalistyczną **Centralną Radą Ukraińską. 24 grudnia 1917 r.** komitet pułkowy odmówił udziału w walkach z nacjonalistami, motywując swe postępowanie względami narodowościowymi, obawą przed zaostrzeniem stosunków między Polakami a Ukraińcami. Niezależnie od motywów, jakimi się kierowano, odmowa posłuszeństwa była faktem, nastąpiła ona w miejscowości przyfrontowej, w warunkach politycznie niesłychanie napiętych, gdy Rada Komisarzy Ludowych zaalarmowała ludność wzywając ją do walki z kontrrewolucją **nad Donem i na Ukrainie.** W tej sytuacji na wezwanie przewodniczącego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego Biełgorodu **Leonida Meranville de Sant Claire'a** na rozkaz **Władimira Antonowa-Owsiejenki** — dowodzącego wojskami radzieckimi na Ukrainie, przeciągający przez Biełgorod moskiewski **oddział Sablina** rozbroił w nocy z 29 na 30 grudnia 1917 r. 1 Polski Pułk Rewolucyjny. Zastrzelony został wówczas dowódca pułku **por. Mieczysław Dackiewicz** i jego zastępca **por. Rokicki.** Aresztowano oficerów-członków komitetu pułkowego i komitetów kompanijnych, a nawet delegatów do Rady Biełgorodzkiej. Następnie **Władimir Antonow-Owsiejenko** postanowił rozwiązać pułk.

W obronie biełgorodczyków wystąpiły wszystkie polskie partie socjalistyczne. **Komitet Główny Związków Wojskowych Polaków (Lewicy)** w porozumieniu z Komisariatem Polskim wydelegował **Adama Jabłońskiego i Dziatkiewicza** w celu zbadania wydarzeń w Biełgorodzie. Jednocześnie w wyniku interwencji Komisariatu Rada Komisarzy Ludowych poleciła **Nikołajowi Podwojskiemu** — komisarzowi spraw wojskowych i **Józefowi Stalinowi** — komisarzowi spraw narodowościowych powołać specjalną komisję w celu dokładnego wyjaśnienia przedstawionych wydarzeń. Owocem tych postanowień było wstrzymanie decyzji w sprawie rozwiązania pułku. **1 stycznia 1918 r.** wydano rozkaz przeniesienia jego żołnierzy do Moskwy. Dotarła tam większość biełgorodczyków. Część rozproszyła się. Niektórzy pod wpływem przeżytego wstrząsu i rozczarowania wstąpili do **I Korpusu Polskiego.**

Przedstawione dzieje **1 Polskiego Pułku Rewolucyjnego** próbowała wykorzystać do celów antyradzieckich polska prasa demokratyczna i endecka. Los biełgorodczyków miał jej zdaniem „otrzeźwić" zwolenników udziału w wojnie domowej po stronie władzy radzieckiej. Akcja ta nie odwróciła jednak dziesiątków tysięcy Polaków od rewolucji socjalistycznej. Świadczyły o tym licznie tworzone w 1918 r. polskie oddziały rewolucyjne. W sierpniu i wrześniu zostały one połączone w jeden silny związek taktyczny — **Zachodnią Dywizję Strzelców**, składającą się z trzech brygad piechoty, dwóch pułków kawalerii oraz oddziałów artylerii, technicznych i innych. Przy dywizji zorganizowano **Szkołę Czerwonych Komunardów** — pierwszą rewolucyjną polską szkołę wojskową, która wykształciła ponad 2 tys. dowódców i komisarzy.

Polacy odegrali również ważną rolę w organizowaniu i działalności radzieckich organów bezpieczeństwa państwowego. Na czele **Nadzwyczajnej Komisji (CzK)** do walki z kontrrewolucją, spekulacją i sabotażem stał **Feliks Dzierżyński.** Jego współpracownikami byli m. in. **Józef Unszlicht, Stanisław Messing, Stanisław Redens, Jan Kulikowski-Olski, Stanisław Pintal, Jan Kepce** i wielu innych.

Nie sposób nawet wspomnieć o wszystkich Polakach — czołowych współorganizatorach władzy radzieckiej poza Piotrogrodem i Moskwą. Warto jednak zaznaczyć, że szczególnie aktywną rolę odegrali oni w rewolucyjnym kierownictwie radzieckiego Krymu. Przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych utworzonej **tam Republiki Taurydzkiej** był **Antoni Słucki**, komisarzem ludowym spraw wewnętrznych — **Stanisław Nowosielski**, oświaty — **Władysław Kobylański**, przewodniczącym Sztabu Rewolucyjnego — **Ludwik Burchard**, przewodniczącym Taurydzkiego Gubernianego Komitetu RKP(b) — **Jan Tarwacki.** Trzej z wymienionych (Słucki, Tarwacki i Nowosielski) zginęli w 1918 r. z rąk tatarskich kontrrewolucjonistów. Ludwik Burchard został rozstrzelany przez niemieckich okupantów Krymu.

Wiele odpowiedzialnych stanowisk piastowali Polacy

również w dyplomacji radzieckiej. Do najbardziej zasłużonych należą **Julian Marchlewski, Paweł Łapiński, Karol Radek i Stefan Brodowski.**

Badacze dziejów Rosji w latach 1917—1920 są zgodni, że Polacy stanowili najliczniejszą grupę cudzoziemców uczestniczących w Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i obronie jej zdobyczy. Dokładna liczba nie jest jednak znana. Według różnych szacunków wynosiła od 100 tys. do 200 tys. Tak liczny udział naszych rodaków w walkach o zwycięstwo Października jest oceniany jako godny postępowych i rewolucyjnych tradycji narodu polskiego.

I co, zamknąć budę na klucz?

Nikt nie chciał przejeść zysku

Rozmowa z FELIKSEM SZAWURSKIM — przewodniczącym Rady Pracowniczej w ZPP „FENIKS".

Czy jest pan zupełnie pewny, że ludzie tak bardzo chcą samorządności?

— Czy chcą? Różnie z tym bywa. Wiem jedno: samorządności dopiero się uczymy. Przed 1980 rokiem istniały różne jej formy, ale to nie było to, o co ludziom chodziło i wszyscy dobrze to wiedzieli.

— Jak wykazują badania 60 procent społeczeństwa wyznaje zasadę, że niech za nas inni rządzą, byle dobrze to robili. I wśród tych 60 procent tak się wypowiadających w większości są robotnicy. Natomiast wśród pozostałej mniejszości przeważają inteligenci. A jak to jest w ZPP „Feniks" gdzie przeważają przecież kobiety?

— Odpowiedź na to nie jest ani prosta ani łatwa. I zaraz powiem dlaczego. Byli i są u nas w „Feniksie" ludzie, którzy przyglądali się Radzie Pracowniczej na zasadzie: zobaczymy, co oni zrobią". Byli tacy, którzy pytali dyrektora, jakim zysku, że jest zgoda na to, aby znaczną jego część przeznaczyć na modernizację. To właśnie była umiejętność spojrzenia w przyszłość.

Rada Pracownicza pierwszej kadencji ogłosiła też konkurs na dyrektora i go przeprowadziła. Tu mogę powiedzieć, że o polityce kadrowej samorządu powinny decydować wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa. Powinna ona pełnić rolę „zaworu bezpieczeństwa". Gdy tylko stwierdzi, że coś się dzieje nie tak, jak powinno, musi natychmiast wkraczać. Powierza przedsiębiorstwo fachowcom ale musi ich cały czas kontrolować.

No i Rada Pracownicza pierwszej kadencji gdyśmy ją zastąpili, patrzyła nam na ręce czy przypadkiem nie zepsujemy tego co oni zrobili. Bo myśmy się też musieli wzajemnie dotrzeć. Każdy reprezentował jakąś grupę zawodową, jakiś wydział i najpierw chciał załatwić swoje grupowe interesy. Trzeba się było dopiero nauczyć widzieć całość.

— Były. Ale podwojenie obsługi maszyn, to też podwojenie zarobków. To zadecydowało. Teraz zarobki na dziewiarni wynoszą 60—70 tysięcy złotych miesięcznie.

— Ludzkie możliwości są jednak ograniczone. Czy to nie powoduje ujemnych skutków?

— Tak. Ludzie są już jakby zmęczeni. Wzrasta na przykład absencja chorobowa. Mamy z tym dodatkowe problemy.

— Co zatem? Jakie rozwiązanie? Zmniejszyć ilość maszyn do obsługi?

— Tak by się wydawało. Rozważaliśmy i taki wariant. Ale co to znaczy? To znaczy, że trzeba przyjąć do fabryki nowych ludzi i zmniejszyć płace, aby im też dać zarobić. Nie jest to rozwiązanie akceptowane.

— Nie wszyscy chyba pracują w takich warunkach?

— Mamy jeszcze akord wymuszony i akord indywidualny. Akord wymuszony wynika z tempa maszyn. Tutaj wszystko zależy od tego, jak się dobiora zespoły. Im mniej wychodzących na papierosa, tym lepsze wyniki pracy. Przy akordzie indywidualnym decydują zdolności manualne. Można dojść do większej wprawy. Przyjęliśmy więc taką zasadę, że jeśli w ciągu 3 miesięcy pracownica nie osiąga normy, to znaczy przyszła „zarobić na kosmetyki", to dziękujemy jej. Takie stanowisko zajęła dyrekcja i Rada Pracownicza poparła je. Jeśli mamy wielki, nowoczesny potencjał produkcyjny, to nie może on stać tylko z powodu nieudolności lub lenistwa pracownika.

— Z innych powodów nie stoi?

— Niestety, czasem tak. Z powodu braku surowca. To dla nas największe niebezpieczeństwo.

— I co wy na to?

— Tylko tyle, ile możemy. Wystąpiliśmy swego czasu do wicepremiera Zbigniewa Szałajdy z propozycją aby ograniczyć import raistop ze strefy dolarowej i za te pieniądze kupić maszyny do teksturowania przędzy.

— I takie decyzje nie zapadły.

— Zgadła pani. To był import interwencyjny dla pokrycia popytu. Tak nam tłumaczono. Nam potrzeba 12 milionów dolarów rocznie, a 17,6 procent z odpisów eksportowych nawet od całej produkcji sprzedanej za granicą, nie da nam tego, co trzeba. Brakuje więc nam surowca. Zdarzają się postoje. Musieliśmy plan na 1987 rok skorygować o 13 milionów par wyrobów w dół.

— A zamówienia rządowe? Przecież one gwarantują dostawy surowcowe.

— Przede wszystkim teoretycznie.

— Czego więc oczekujecie?

— Jakiegoś chociaż częściowego pozostawienia czegoś z systemu nakazowego.

— Czy ja dobrze słyszę? Tak się do tego systemu przyzwyczailiście, że bez niego ani rusz? I to ma gwarantować powodzenie reformy?

— To żadna tęsknota. To realizm. Proszę pamiętać, że cały przemysł został tak skonstruowany, że system kooperacji opierał się na nakazach. Moim zdaniem trzeba na początku rozwiązać sprawę w taki sposób, żeby potencjał produkcyjny takich fabryk jak „Feniks" został w 100 proc. wykorzystany. Gdyby na przykład w „Bistonie" czy w „Syntexie" czyli u dostawców surowca, doszli do wniosku, że im „Feniks" nie odpowiada, to leżymy i co, mamy budę zamknąć na klucz, bo nie ma surowca?.

— Nie można znaleźć innych rozwiązań?

— Naturalnie, że można. 270 milionów złotych zainwestowaliśmy w rozwój przemysłu surowcowego. Partycypujemy w modernizacji Przędzalni im. gen. Waltera, zakładów „Polmerino" i „Sigmatex". Tylko, że oni ten park dopiero budują i dopiero za jakiś czas będziemy mieli z tego pożytek.

— Powiedział pan wcześniej: „gdybyśmy wszystko sprzedali na eksport". A co dla kraju?

— To był przykład ale i tak stoimy wobec konieczności rozwijania eksportu, bo to warunkuje modernizację. Otóż w 1985 roku do strefy dolarowej eksportowaliśmy za 3 miliony par wyrobów, a chcemy osiągnąć w 1988 roku 15 milionów. Jest to konieczne. Gdyby było pełne pokrycie naszego zapotrzebowania na surowce, to nie byłoby problemu: eksport czy rynek krajowy. Starczyłoby tu i tu.

— Czy mimo tych trudności i tylu problemów związanych z fabryką będzie pan kandydował do samorządu?

— Tak. Kandyduję.

— Jakie są prognozy? Będzie pan wybrany?

— Nie wiem. Ale jeśli nie zostanę wybrany, to i tak będę się interesował pracą samorządu. Też będę moim następcom patrzył na ręce, czy nie marnują pracy naszych poprzedników i naszej. Jest przecież kilka spraw do załatwienia i nikt za nas tego nie zrobi.

— Kończy pan kadencję. Życzę powodzenia w tych wyborach. Ale chciałabym wiedzieć, jakie jeszcze doświadczenia — poza tymi, o których mówiliśmy do tej pory — wynosi pan z tej pracy w samorządzie. Co pan na przykład sądzi o ustawie o samorządzie?

— Myślę, że dużo złego narobiły ubiegłoroczne zamierzenia zmian ustawy o samorządzie. Ludzie to przyjęli z dużą podejrzliwością. — „Rząd już okrzepł — mówili — i już mu samorząd nie jest potrzebny". Ja nie jestem przeciwny zmianom, ale one muszą być przemyślane dokładnie i musi przyjść na nie odpowiedni czas. Trzeba być konsekwentnym, ale i umieć przewidywać skutki różnych projektów.

Według mnie ustawa jest dobra, trzeba tylko umieć się nią posługiwać. Wspominałem już o potrzebie przedłużenia kadencyjności. To bardzo ważne, bo w przedsiębiorstwach trzeba się samorządności uczyć. Wprawdzie mówi się, że „można korzystać z pomocy ekspertów" ale i w fabryce są mądrzy ludzie, trzeba tylko ich wciągnąć do społecznej roboty. Odpowiedzialność za losy fabryki przede wszystkim bierze Rada Pracownicza to poważna sprawa. To wymaga przemyśleń, dyskusji.

Dlatego tak ważny jest przełom w mentalności ludzi. Na przykład wybory do Rady Pracowniczej. Nie można wybierać na zasadzie: — tego wybieram, bo to mój kolega, a tego skreślam, bo go nie lubię. Trzeba kierować się interesem fabryki, całej fabryki. Tego ludzie się muszą nauczyć. Na to trzeba czasu. I chęci.

No i trochę się boję, żebyśmy się wszyscy nie przedyskutowali. Żebyśmy nie zmarnowali tego, cośmy osiągnęli. Żebyśmy zaczęli trzeźwiej, zdrowiej myśleć.

— Tak, jak w „Feniksie"! Życzę powodzenia.

— Owszem, jak w „Feniksie". Dziękuję.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

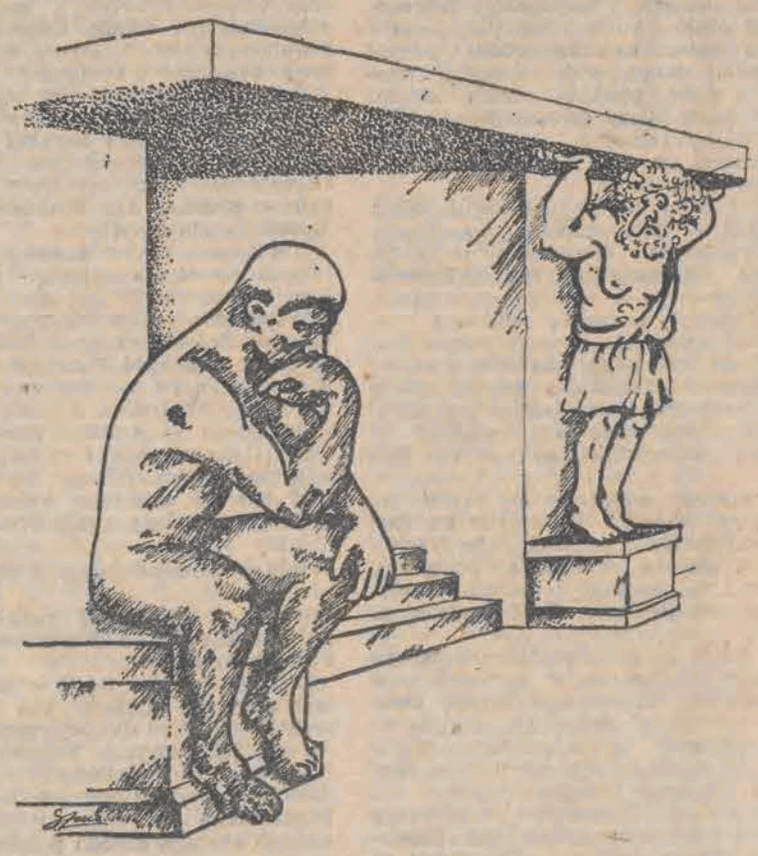

Rys. Sławomir Łuczyński

Uroczystość

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mafia na Górniaku

Pan Turecki

ROMAN KUBIAK

(1)

Imieniny Bożeny z Górniaka będą namiętać wszyscy Nawet ci którym zerwał się film po trzeciej kwaterce czyściochy. Wspomną głównie osuszone do dna wiadro gorzały, które na stragan przytargała solenizantka. Ustawiła je obok drugiego wiadra ze zwykłą wodą, tego na kwiaty. Zaraz też przybiegli swoi i wrogowie, tłuste handlary i zwyczajni stacze, szefowie klanów, proste umpy i mali kanciarze. Czerwone jak krew badyle od pyskate' kwiaciary z sąsiedztwa nieśli Knur i Gonzo za nimi potulnie Tolek i Cyganka. Każdy wolał ściągnąć jakiś bukiet dla Bożeny, choćby po to, żeby nie narazić się Papie. Bo ta Bożena jest rodzoną samego Kulosa, czyli Papy zwanego z obca Corleone, alias Króla, alias Tureckiego i czort jeden wie, alias kogo jeszcze.

Pili ostro pod zgodne życzenie, żeby interes rozkwitał jak te kwiaty u tóp Bożeny. Ciągnęliby pewnie jeszcze, ale przykuśtykał Papa i kazał wracać do roboty. Więc kończyli wieczorem w ulubionej knajpie „Europa".

Połową Górniaka rządzi stary Kulos. To znaczy, on trzęsie swoją branżą bez dwóch zdań sprzeciwu, a jak trzeba, potrafi osobiście naprać laską po pysku, albo łapami najemnych bandziorów. Stary Kulos robi teraz w galgankach, bo teraz najlepiej idzie turecki ciuch. Taki dżinsowy, zafajdany w jasne plamy albo białe pręgi, zupełnie jakby zgrabnym ubrankiem wyszorować hektar betonu. Ale ludzie za nim szaleją, bo jest w modzie. Biorą dżinsowe kurtki, biorą dżinsowe spodnie i bulą wyżyłowane ceny. Na tej modzie i na forsie łapę trzyma Kulos. On, to jest cała instytucja. Pan Turecki. Można by śmiało powiedzieć, że monopol nawet, ale takie słowo zaraz kojarzy się z wódą, a Kulos we flaszkach nie robi. Żaden tam dla niego interes, raczej dla dzieciaków. Znacznie lepiej mieć pod sobą cały jeden rynek, na przykład ciuchy z kontrabandy. Mieć rynek pod sobą, znaczy rozprawić się z konkurencją. Są na to proste sposoby, wypróbowane nieraz. No bo kiedy już nie ma żadnej konkurencji, a przytrafi się wpadka i gliny przechwycą towar za trzy lub cztery miliony, wtedy nikt nie ma prawa wejść na dżinsową działkę Pana Tureckiego. Zresztą Kulos szybko wróci z pierdla i odbije sobie straty najdalej w miesiąc. Dowiódł tego już kilkakrotnie, ostatnio we wrześniu.

Od tego, żeby nikt nie wlazł na dżinsową działkę Kulosa są Knur, Gonzo i jeszcze paru chłopaków mocnych w pięści. Wszyscy kochają Tureckiego, póki szef śmierdzi forsą. Kochają go tą samą miłością, co pół litra powszedniego ich chleba. Dlatego jest to związek silny, szczery i prawdziwie męski. Oprócz miłości chłopcy dostają swoje dole. Za każdą uczciwie shandlowaną sztukę towaru mają okrągły tysiączek i lepiej. Jeśli się postarają, mogą opchnąć furę ciuchów, orżnąć frajera ze wsi, skubnąć jakąś głupią gąskę i wziąć na rękę więcej niż niejeden profesor uniwersytetu. Ale gdyby któremuś strzeliło do łba, żeby przewalić szefa, wtedy koniec. Koniec, to znaczy nóż w plecy. Takie jest pierwsze prawo Górniaka.

Gdyby nie służba u Kulosa, chłopcy poszliby pewnie pisaną im drogą, przez ciemną bramę, rozwaloną witrynę sklepu, prościutko do mamra. Za niezasłużone wyróżnienie nawet ostatni łotr potrafi okazać swą wdzięczność, dlatego chłopcy zrobią dla Kulosa wszystko, tak samo jak dla wódki.

Wyżej od chłopców stoi tylko rodzina Papy: żona, trzy córeczki i dorodny synalek. Wszyscy także w dżinsowym interesie. Wyłączając jedną córkę od lat wspierającą rodzinkę przesyłkami z gościnnej Ameryki, krajowy klan dżinsowy z siedzibą w Łodzi liczy pięć obrotnych głów. Zawistni twierdzą jednak, że więcej. Każą dodać jeszcze stadko zięciów Kulosa, nie zawsze ślubnych, a przecież przy rodzinie. Tak wszak że podszeptują wrogowie, którzy familii życzą jak najgorzej. W ślad za życzeniami idą regularne donosy.

„My, rzemieślnicy targowiska na Górniaku zwracamy się z prośbą o interwencję w sprawie dotyczącej incydentów mających miejsce w rejonie sprzedaży spodni, kurtek i spódnic, tj. zaraz przy ulicy Piotrkowskiej. Sprawa dotyczy znanej na całym targowisku rodziny, która trudni się sprzedażą wyżej wymienionych artykułów. Nie przeszkadza nam to, że handlują oni bez zezwolenia, a także, że jeżdżą samochodami po kilka milionów złotych. Chodzi między innymi o to, że śmieją się z nas, bo my, płacąc podatki, będziemy całe życie jeść chleb ze smalcem"

Po tych wywodach o niesprawiedliwości społecznej w środowisku handlarzy następuje wyliczenie gangsterskich czynów obciążających sumienie Kulosa i jego mafii. Jeden z donosów kończy się tak:

„Pisaliśmy już w tej sprawie do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź--Górna i choć kilkakrotnie widzieliśmy jak funkcjonariusze MO zabierają członków rodziny, to oni po powrocie śmieją się, że najpierw trzeba wymienić personel komendy, aby ktoś mógł zaszkodzić im w działalności".

Na Górniaku dobra pamięć wyraźnie nie jest w cenie. Z tej przyczyny nikt nie chce się przyznać do autorstwa donosów na rodzinkę. O wiele bezpieczniej zapomnieć, kto z kim, kiedy i dla kogo. Krótka pamięć, to długie życie i spokojna droga do domu. Pamięci nie odświeży nawet grubsza forsa, szczególnie jeśli w pytaniu padnie któraś ksywa Papy.

Pan Turecki kpi sobie z ujadania sfory. Może wkurzyłby się trochę przy czytaniu wrednych anonimów, gdyby potrafił składać litery w słowa pisane. Lecz do tego potrzebna jest szkoła, a jego szkołą był bazar. Czasem głośno czytają Kulosowi, co też o nim wypisali w gazetach. Wtedy stary cieszy się szczerze i wysoko unosi siwą głowę. Raz napisali w gazecie, że on to nie on, tylko jakiś Corleone, gangster znaczy. Ano może być gangster, ale żeby nie bandzior. Przecież Kulos nikogo własnoręcznie nie zaciukał, najwyżej orżnął do gołego. Nikt Tureckiemu nie czytał „Ojca chrzestnego", trochę mu opowiadali. Ładna z niej książka. W książkach Kulos nigdy nie robił, chociaż książka też towar jak każdy inny, tylko gorszy, bo mniej chodliwy. Więc niech sobie będzie ten szef gangsterów Corleone. Mogą tak mówić, pozwala.

Liczyć Kulos umie jak sam diabeł, na grubych paluchach i w pamięci. Zawsze ciągnęło go do rachunków. Z tego rachowania trafił wreszcie na Górniak, będzie z dziesięć lat temu. Był jeszcze zdrowy, sprawny i równie daleki od ochoty na państwową posadę. W nielicznych papierach, bo reszta gdzieś się zapodziała, stoi, że jest z niego rolnik urodzony pod Opocznem, rocznik trzydziesty drugi, żonaty, bez przejrzystego życiorysu. Jedyne odnotowane wydarzenia, to daty urodzin kolejnych dzieci. Ostatnie zameldowanie — Łódź. Na targowisku przy Piotrkowskiej zaczyna jak każdy pospolity stacz od małych interesów i małych posług. Nie gardzi odpustową drobnicą. Chętnie zahandluje przygodnym zegarkiem wziętym za grosze od spragnionego pijaczka, czasem w podobnych okolicznościach kupi i sprzeda ślubną obrączkę. Próbuje obracać zielonymi i bonami. Jest lękliwy, niepozorny, mocny raczej w gębie. Wielkim i mniejszym szefom klanów potulnie schodzi z drogi. Przy kieliszku — a stawia z ochotą — pilnie słucha wykładów rutyniarzy z Górniaka. Wie już, co to takiego założyć gościowi wałek i jak to uskutecznić na trzy rozmaite sposoby. Szybko chłonie praktyczną wiedzę o czarnym rynku, przebitkach, frajerach i modzie.

Właśnie nadciąga moda na peruki, więc bez namysłu chwyta okazję. Skupuje hurtowo, sprzedaje w detalu. Interes rozwija się nadzwyczaj obiecująco, rośnie też apetyt handlarza. Z czasem zauważa, że posiadanie worka peruk może przynieść jeszcze inne korzyści. Od Cyganek kupuje garść obrączek z żółtego bezwartościowego metalu. Metal nazywa się tombak i do złudzenia przypomina złoto. Kulos (wtedy jeszcze znany pod prawdziwym imieniem) wyławia z tłumu naiwnie wyglądających wieśniaków. Dyskretnie proponuje im nabycie rzekomo złotych obrączek po wyjątkowo okazyjnej cenie. Inkasuje gotówkę i prędko znika w bramie, gdzie zmienia peruki i ubrania. Bywa że przebiera się kilka razy dziennie. Jest bezkarny. Oszukani próbują sami dopaść kanciarza lub szukają pomocy u milicjantów podając różne rysopisy szulera. Raz ścigają bruneta w kraciastej marynarce, innym razem blondyna w jasnym golfie...

Zdrowa jeszcze wówczas noga podwija się Kulosowi w 1978 roku. Głupio wpada łapiąc dwa i pół roku odsiadki oraz 180 tysięcy złotych grzywny. Ale szczęśliwie obejmuje go amnestia, toteż szybko wraca na bazar.

Drugim wielkim szczęściem w podłym życiu Kulosa jest kryzys. Zawodowy handlarz nie może marzyć o większym farcie niż puste półki w sklepach. Kryzys z dnia na dzień rodzi bazarowych milionerów, chude płotki wykarmia na grube ryby. Wystarczy zwykła bezczelność, chamska siła i odrobina ryzyka. W Kulosie drzemie dość tupetu, lubi też smak ryzyka. Błyskawicznie rozwija spekulancki talent. Działa prawie w każdej branży, gdzie można skubnąć parę kryzysowych tysiączków. Ma już swoich zaufanych dostawców, kurierów i naganiaczy. Stopniowo wciąga do interesu bliższą i dalszą rodzinę. Córka Bożena rzuca posadę w fabryce, jej matka stara się o papiery rzemieślniczki dziergającej szydełkiem. Takie uprawnienie pozwala otworzyć stragan z koszmarnymi czapeczkami z włóczki. Lecz nie one będą źródłem dochodów, stanowią tylko legalną przykrywkę do nielegalnego handlu ciuchami z przemytu i zrzutów. Drugą córeczkę rodzinka ekspediuje za granicę bynajmniej nie w celach turystycznych. Tak powstaje kanał zaopatrzeniowy. Odtąd do Łodzi będą wysyłane pękate paczki z odzieżą, a z powrotem popłynie wartki strumień waluty.

Ferajna z Górniaka, która prócz biegłego liczenia potrafi niezgorzej patrzeć na ręce sąsiadów, rychło ocenia fortunę rodziny na grube miliony w szmalu i towarze. Szef klanu umiejętnie lokuje kapitał, tak by nie kłuł wrażliwych oczu. Sobie funduje jedynie skromnie urządzone mieszkanie, dla dzieci jest bardziej hojny. Dziwnym trafem unika większych wpadek gdy tymczasem jego kumple po fachu coraz częściej tracą towar i wolność podczas milicyjnych akcji przeczesywania targowiska. Sprytnie wykorzystuje ich pecha zagarniając klientów i zyski. Rośnie w siłę. Właściwie mógłby już sobie pozwolić na zdalne sterowanie rynkiem bez osobistego pętania się między stoczkami, lecz pociąga go hazard. Kilkakrotnie zatrzymany ma przy sobie tylko pojedyncze egzemplarze towaru i marne grosze, wychodzi więc bez szwanku. Nabiera cutyny, staje się hardy. Ale tupet i bogactwo nie chronią od utraty zdrowia. Papa cierpi na chorobę Bergera, musi mieć amputowaną nogę. Zabiegu, dokonano w szpitalu MSW. Historią pobytu w szpitalu resortowym pan Turecki będzie nieraz rozbawiał towarzystwo, opowiadając, jak to on, stały klient dzielnicowego i organów ściągania leżał sobie na oddziale pośród chorych milicjantów.

Okaleczony Pan Turecki wraca na targowisko pilnować interesu. Ponieważ kuśtykanie na protezie nogi wyraźnie przeszkadza mu w robocie, postanawia nabyć szybki samochód. Decyduje się na nowoczesnego Mercedesa 190 E cenionego na kilkanaście milionów złotych. Może sobie śmiało pozwolić na taki zakup, gdyż w razie czego nikt nie ma prawa położyć łapy na Mercedesie, bo jest on zarejestrowany jako wóz inwalidzki. Będąc inwalidą drugiej grupy, Kulos stara się o zapomogę społeczną. ZUS będzie mu wypłacał co miesiąc 11400 złotych.

Teraz Górniak ma dwóch Kulosów, ale ważniejszy jest stary Corleone. Młodszy Kulos robi w złocie i nie ma takiego uważania. Bierze złoto od oprychów i małolatów. Każdy wie, że woreczek z towarem młody trzyma w majtkach. Rzadko kiedy nosi przy sobie mniej niż pół miliona w gotówce. Gdy wpada na gorącym, łapie żyletę i chce się chlastać, a na przesłuchaniu wali łbem o ścianę albo łyka co popadnie, choćby pęk kluczy. Młody Kulos nie ma farta, raz Cyganie obrobili mu chatę wynosząc nawet meble. Innym razem cwaniszy koleś opchnął mu cienko pozłacaną bransoletę inkasując jak za szczery kruszec. Wtedy młody poskarżył się milicjantom, czyli zakapował. Dlatego młodszy Kulos jest trefny.

Tymczasem pazerność starego rośnie szybciej niż łupy ze spekulacji. Nie ma czystych zamiarów, kiedy trafia mu się okazja pośredniczenia w sprzedaży sztabki złota najwyższej próby. Właściciel sztabki — jubiler, pragnie szybko upłynnić towar za jedyne 800 tysięcy złotych, co pośrednikowi gwarantuje niezły udział w spółce. Obaj wspólnicy zawierają dżentelmeńską umowę, chociaż Górniak nie jest świątynią wiary w człowieka. Kulos podejmuje się znaleźć kupca na złoto, które póki co bierze w komis dając w zastaw obietnicę rychłego spłacenia wspólnika. W umówionym terminie jubiler przychodzi po swoje, lecz zamiast forsy Kulos serwuje mu bajeczkę o tym, jak to podczas ryzykownej transakcji zdarzyła się wpadka i szlag trafił złoto razem z ukochaną córeczką Papy, co wyrównuje bolesne straty obu stron. Jubiler wpada w panikę i chce wiać machając na wszystko ręką. Kulos zatrzymuje go jednak twierdząc, że można uratować towar i dziewczynę. Trzeba tylko dać w łapę odpowiednim gliniarzom, wystarczy 200 tysięcy złotych, które naiwny wspólnik wykłada bez szemrania. Oczywiście nigdy nie zobaczy swej forsy ani złota, najwyżej uśmiechniętą córeczkę Kulosa.

Grubsza forsa ma to do siebie, że jeśli przytrafi się maluczkim, potęguje ich bezczelność. Następne numery Kulosa pachną już jawnym gangsterstwem. Jest bezwzględny, nie zna granic hazardu. Ale z wolna zaciska się pętla wokół rodzinki i samego szefa. Nękany konfiskatą towaru i karami pieniężnymi przyzna kiedyś, że stracił tyle, ile śmiało wystarczy na utrzymanie komendy dzielnicowej. Przy próbach zatrzymania Kulos urządza cyrk na cały Górniak. Pada na ziemię wymyślając milicjantom, że znęcają się nad kaleką. Wie, że tłum gapiów stanie w obronie biedaka. Niebawem wynajmie sobie osobistego adwokata.

CDN.

Rys. Andrzej Grun

Co ma Łódź z tego, że jest filmowym centrum Polski?

Magiczna siła snu na jawie

MAREK KOPROWSKI

Ktoś kiedyś szumnie, hucznie i przesadnie, z typowo polskim hurraniedowarzeniem i arealizmem, nazwał miasto — tyle efektownie, co bzdurnie — Hollyłódź. Kalambur jest dość zgrabny, ale można go oceniać li tylko w kategoriach kalamburu. Co prawda, mamy w Łodzi, jak wyliczył dyrektor Muzeum Kinematografii — Antoni Szram — trzynaście instytucji związanych bliżej lub dalej z filmem (i to od kolebki, czyli PWSFTviT, do cmentarza, czyli rzeczonego Muzeum Kinematografii), ale kudy nam, nawet w psychopatycznej wyobraźni jakiegoś nawiedzonego szowinisty, do amerykańskiego centrum filmowego.

Bo Hollywood, to, mówiąc z grubsza, historia i legenda kina, smak i zapach wielkiego świata, to styl i sposób bycia, to dramaty i tragedie, to bajeczne kariery współczesnych Kopciuszków (płci obojga), to fortuny i nędza, to szczyty powodzenia i kula w niespełniony łeb...

Hollywood, to miejsce dla wielu święte, przyciągające amerykańską (choć nie tylko) młodzież, kuszące nadzieją migotliwej sławy i przemieniające ją najczęściej w spopielałe złudzenia.

To również, a może przede wszystkim, wielki, gigantyczny biznes, w którym nie ma miejsca dla nieudaczników, gdzie nie można przez dwadzieścia lat uchodzić za „nadzieję kina", gdzie po pierwszym filmie nie zrobiłby pięciu następnych ani Franciszek Trzeciak, ani Marek Nowicki, bo tam jest się dobrym od razu lub wcale. W wielkim nowoczesnym imperium przemysłu filmowego nie można nie szanować pieniędzy.

Hollywood wyznacza kierunki rozwoju kina, lansuje mody, style, nazwiska, korzysta z najnowszych zdobyczy techniki. Wyłapuje z rzeczywistości to, co gorące, reaguje na wielkie i mniejsze wydarzenia światowe. Często jest podporządkowane polityce i propagandzie, ale co i gdzie nie jest dziś temu podporządkowane. Najnowszy przykład, to nabycie przez wytwórnię „Metro-Goldwyn-Mayer" od autora najnowszego hitu wydawniczego „Zasłona: Tajne wojny CIA", B. Woodwarda, prawa ekranizacji książki. Pomyłki zdarzają się tam rzadko.

Odwrotnie niż u nas.

Ostatnie legendy polskiego kina, to Roman Polański, Zdzisław Maklakiewicz i Jan Himilsbach. Pierwszy z nich jest daleko, drugi jeszcze dalej, a trzeci, cóż... niewiele może zdziałać ostatni schorowany Mohikanin, nawet jeśli był kiedyś Wielkim Wodzem.

Poza tym, nasi wielcy reżyserzy i aktorzy mieszkają głównie w Warszawie, na różnych osiedlach, w blokowych M-ileś, stoją w kolejkach (sam widziałem), piją kefir lub kwaśne piwo i, na zewnątrz, wyglądają jak inni, a niekiedy dużo gorzej. A tam — Bulwar Zachodzącego Słońca, gdzie można spotkać tych największych, słynne wille i pałace, odkupywane przez gwiazdy lśniące od gwiazd przygasłych, tworzą łańcuch tradycji przechodzącej w legendę.

Tak więc, już pierwsze, powierzchowne łypnięcie okiem na podobieństwa i różnice, każe wykpić megalomańskie porównanie i spaść pyskiem na twarde łódzkie podwórko filmowe, gdzie dzieła rodzą się w znoju i szarzyźnie dnia potocznego.

Dobrze się stało, że nie rąbnęliśmy plecami o zasłużony dziedziniec łódzkiej Szkoły Filmowej. Pisanie o tej uczelni jest wielce ryzykowne, i, jakkolwiek się o niej napisze, zawsze wywoła to czyjś gwałtowny sprzeciw. Pisałem już o Szkole — i wiem, co mówię. Niech więc inni podejmą ten temat i narażą się ludziom, którzy wierzą, że Szkoła jest w dalszym ciągu tak wielka, jak wielka była kiedyś. W Szkole wiele się jednak zmienia, przynajmniej takie dochodzą słuchy, wiele ma się zmienić, należy więc poczekać, by ocenić jakość i skuteczność tych zmian.

Spadliśmy jednak z wyżyn na parking przed Wytwórnią Filmów Fabularnych. Wchodzimy więc do środka, i, po zmyleniu portiera, wkraczamy w plątaninę przejść, korytarzy, schodów i przesmyków. Gdybyśmy nie bywali tutaj wcześniej, łacno byśmy się mogli pogubić w napotykanym co rusz świecie iluzji, umowności i pomieszania czasów. Nie zgubiliśmy się jednak, a szkoda. Wcześniej próbowaliśmy wejść w kontakt z dyrektorem firmy. Niestety, z górą dziesięciokrotne podejścia pod jego gabinet (telefoniczne, telefoniczne) pozostały bez rezultatu. Pozytywnego, ma się rozumieć. Dyrektor, albo *„ledwie wyszedł"*, albo *„rozpoczął naradę, bardzo mi przykro"*, albo *„wyjechał do Warszawy"* lub *„będzie za dziesięć minut"*, a za 10 minut: *„już dzisiaj nie będzie, ma pan pecha"*. Mam pecha, nawet nie wiem, jak wygląda dyrektor wytwórni filmów.

Gwałtowna ruchliwość szefa takiej instytucji, to chyba dobry objaw — pomyślałem, by jakoś się pocieszyć i poszedłem na herbatę do tzw. tramwaju, czyli bufetu na I piętrze, gdzie stoliki stoją w długim szeregu, bo tylko na takie ustawienie pozwala kiszkowaty korytarz. A tam, przy sąsiednim stoliku, popija herbatkę, jakby nigdy nic, sam Krzysztof Zanussi w otoczeniu mocno opalonych przystojniaków, rozmawiających w jakimś obcym języku. W bliskiej odległości, na wyciągnięcie ręki, przechodzi rektor Henryk Kluba, który po latach przerwy powrócił na plan filmowy jako reżyser i kręci „Gwiazdę piołun" według prozy Władysława Terleckiego. A w ogóle — ruch jak na Piotrkowskiej w godzinach pracy, gwar rozmów, dyskretne odgłosy mieszania cieniutkiej herbaty, mnóstwo znajomych twarzy, bułeczka z topionym serem, napięcie i luz, śmiechy i zamyślone skupienie — wielki świat w naszym wydaniu.

Potwierdzenie przekonania, że *„gwałtowna ruchliwość dyrektora..."* itd., znajduję w rozmowie z szefem produkcji WFF, panią Heleną Nowicką.

— *Mamy dobry rok, produkcja idzie bez przerwy. Mimo iż powinniśmy jednocześnie obsługiwać najwyżej siedem filmów, w tej chwili pracujemy przy dziewięciu. Są to, m.in.: Andrzeja Konica „Pogranicze w ogniu", 20 odcinków dla TV, Jacka Koprowicza serial dla telewizji „Sędziwy" i dla kina „Alchemik", Janusza Łęskiego, dla RFN, serial „Janka". A dla kina: Wojciech Has kręci w koprodukcji z Francją „Przypadki miłosne Baltazara Kobera", Kazimierz Tarnas z Czechami robi „Tajemnicę tajemnic", Krzysztof Zanussi w koprodukcji z Kanadą „Gdziekolwiek jest", Krzysztof Nowak „Co lubią tygrysy", Leszek Wosiewicz — „Kornblumenblau", film o obozach hitlerowskich, dla Studia im. Karola Irzykowskiego. Zakończyliśmy zdjęcia i rozpoczęliśmy udźwiękowianie takich filmów: „Roztoki" Wandy Jakubowskiej, „Trójkąt bermudzki" Wojciecha Wójcika i Andrzeja Barańskiego „Tabu". W przygotowaniu do produkcji są: 10 odcinków „Kanclerza" Ryszarda Bera według powieści Sajjana, Zbigniewa Kuźmińskiego „Desperacja", film o Powstaniu Styczniowym i Roberta Glińskiego „Łabędzi śpiew".*

— A jakie korzyści dla WFF wynikają z nowej ustawy o kinematografii? — pytam.

— *Jeszcze za wcześnie o tym mówić, ustawa dopiero wchodzi w życie i tak naprawdę jeszcze nie wiemy, co nam przyniesie. Wszystko jest na razie za mgłą.*

Istotnie. Jak podała prasa, ustawa obowiązuje od 1 września 1987 roku, *„a jej dotychczasowym konkretnym wyrazem stało się powołanie przewodniczącego Komitetu Kinematografii Jerzego Bajdora"*. Rzeczywiście, bardzo konkretny to wyraz.

Na marginesie: Komitet Kinematografii został powołany po raz pierwszy w 1957 roku, ale uległ likwidacji, nim się na dobre narodził. Drugi raz powołano Komitet w 1958 r., ale rychło przemieniono go w Radę Kinematografii. Nic więc nowego, przynajmniej jeśli idzie o nazwę. Oby ten trzeci w historii polskiego kina Komitet, pożył trochę dłużej niż poprzednie, i zdołał co nieco naprawić. W środowisku słychać jednak głosy, że nowa ustawa nie jest tym, czego oczekiwano. Ponieważ będzie się o tym pisać w setkach publikacji prasowych, dajmy dziś temu spokój.

— *Uczyniliśmy jednak pewien precedens* — kontynuuje pani Helena Nowicka — *jeszcze przed wejściem w życie ustawy. Jesteśmy, mianowicie, współproducentem filmu Juliusza Machulskiego „Kingsajz". A to gwarantuje nam udział w spodziewanych zyskach.*

Dla wyjaśnienia. Wytwórnia Filmów Fabularnych jest dawcą usług filmowych, własnego sprzętu i ludzi, hal zdjęciowych, pomieszczeń biurowych, dekoracji, kostiumów, charakteryzacji i wszystkiego, co potrzebne do produkcji filmów. Tutaj film przechodzi przez wszystkie etapy produkcji, a więc, obróbkę taśmy, montaż, udźwiękowienie. Tutaj wykonuje się tzw. forszpany, czyli zwiastuny lub zajawki nowego filmu. Producentem natomiast, czyli stroną finansującą jest Przedsiębiorstwo Realizacji Filmów „Zespoły Filmowe" w Warszawie bądź Telewizja. Tak było dotychczas. Teraz WFF przewidując sukces kasowy jakiegoś filmu, może wejść w współprodukcję, uczestniczyć w kosztach, ale i w zyskach. Oczywiście nie ma żadnego wpływu na jakość scenariusza, dobór reżysera, aktorów, scenografii, plenerów, muzyki, słowem: nie ma wpływu na przyszły kształt artystyczny dzieła filmowego. Te decyzje zapadają w Warszawie i tylko tam mogą zostać zmienione. Dobrze to czy źle? — nie wiem. Wydaje mi się jednak, że ktoś, kto ładuje niemałe przecież pieniądze w takie przedsięwzięcie, mógłby móc się wypowiedzieć na temat biznesu, do którego przystępuje. Ale to już nie moje zmartwienie.

Oczywiście, przewidywane zmiany systemu rozliczeń finansowych wynikające z ustawy są dużo głębsze i bardziej skomplikowane. Tak bardzo, że człowiekowi, który od dzieciństwa czuł obrzydzenie do wszelkich wyliczeń i rozliczeń, a maturę z matematyki zdał dzięki ściągawce przykrytej plastrem żółtego sera, mimo wysilenia mózgu aż do niebezpiecznego trzeszczenia, nic się nie udało z tego zrozumieć ani zapamiętać. Żeby się więc nie zbłaźnić, pominę ten wstydliwy temat. Poza tym, pisanie o procentach, udziałach, sumach, operacjach (pieniężnych) i wyliczeniach podatkowych jest nudne i niewdzięczne jak poborca skarbowy. Czytanie zresztą również. Nie męczmy się więc wzajemnie.

W czasie rozmowy z panią Heleną Nowicką przyszło mi do głowy pytanie, które bez ociągania się zadałem:

— Czy to, że łódzka Wytwórnia pracuje na granicy pęknięcia szwów, a wrocławska zaledwie na pół mocy, wynika z, na przykład, sentymentu do tej naszej, starszej?

— *Nie, nie, powody są bardziej przyziemne. Po prostu większość realizatorów i aktorów mieszka w Warszawie. Do Łodzi jest bliżej niż do Wrocławia. A każdy aktor związany jest z jakimś teatrem. Bywa, że prosto ze zdjęć wracać musi na wieczorne przedstawienie. A nawet jeśli ma dwa-trzy dni wolne od teatru, a gra w filmie, to i tak woli przyjechać do nas, bo podróż jest przecież krótsza i mniej męcząca.*

Zastanawialiśmy się kiedyś w redakcji, czy nie dałoby się wykorzystać obecności w Łodzi najwybitniejszych artystów teatru i filmu? I zorganizować w „Grandzie" lub w „Centrum", bo tam najczęściej nocują, kabaret. Dziwny kabaret, bo dziś nikt by nie wiedział, kto wystąpi jutro. Aktorzy bywają krótko w Łodzi, ale przecież bywają. Jeśli mogą wrażenia ze zdjęć wprost na spektakl, to mogliby chyba wystąpić w łódzkim kabarecie, gdy wracać nie muszą. I pieniądze dodatkowe by zarobili, a i wprowadzili wreszcie nieco ożywienia w beznadziejny smętek kulturalny wieczorowo-nocnej Łodzi. Wbrew pozorom — możliwe jest zorganizowanie takiego latającego kabaretu z niewiadomą. Teoretycznie. Bo z drugiej jednak strony, mam smutną pewność, że nie ma w Łodzi instytucji, która porwałaby się na urzeczywistnienie takiego pomysłu. A i mecenasa pewnie by się nie znalazło. Niestety, łódzka kultura od lat nie ma szczęścia do urzędowego mecenasa z krwi i kości. Ma tylko urzędników. Bo jeśli człowiek odpowiedzialny za kulturę w mieście Łodzi, osoba urzędowa, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ, usprawiedliwia brak wydarzeń artystycznych i ogólne średniactwo tym, że tak jest wszędzie w Polsce, to o czym my rozmawiamy?! Nowa polityka państwa idzie w kierunku wyzwolenia aktywności grup i jednostek, wyzwając na udeptaną ziemię miernoty i średniaków. Ciekawe, jak to się ujawni w Łodzi, gdzie dotychczas likwidowano pomysłowość i inicjatywę różnych niepokornych, i stąd, między innymi, ów żałosny stan, który próbuje usprawiedliwić dyrektor Ryszard Czubaczyński.

Tak oto pojawił się zwiastun szerszego zagadnienia, które można ująć w pytaniu: *„Co Łódź ma z tego, że jest centrum filmowym Polski?"*. Odpowiedzieć, przynajmniej w odniesieniu do WFF, spróbujemy nieco dalej, na to jednak zwiastunowe pytanie, przy okazji mowy o aktorach pozałódzkich, odpowiadam — że nic.

Nie wypada pytać szefa produkcji WFF o kłopoty, no bo kto ich nie ma, pytam jednak, choć to pytanie dyżurne i łatwizna.

— *Kłopotów i potrzeb mamy masę. Jeśli udało się nam zupełnie przyzwoicie wyposażyć montażownię, a trzeba przy okazji powiedzieć, że montażystki mamy znakomite; jeśli za roczne wpływy dewizowe zdołaliśmy zakupić kamerę filmową, to i tak jest to pyłek w mgławicy potrzeb. Park samochodowy szybko się nam starzeje, sprzęt oświetleniowy wymaga ciągłego uzupełniania i unowocześniania, to samo ze sprzętem filmowym, stale są kłopoty z barwną taśmą filmową, bo dostępną wyłącznie za dewizy, z odczynnikami i innymi potrzebami Wydziału Obróbki Taśmy, przeprowadzamy właściwie bez przerwy jakieś remonty. Gdy jedno się kończy, wchodzi kilka nowych potrzeb. Ale tak jest wszędzie i nie wypada nawet narzekać. Na szczęście ludzi mamy oddanych: ci, którzy zachorowali na pracę w filmie, już od nas nie odchodzą, mimo że praca wcale nie jest łatwa. Częste wyjazdy, kilkutygodniowe plenery, rozłąki z rodziną; trzeba być odpornym albo „zarażonym" śmiertelnie. Wysyłamy naszych pracowników na zagraniczne szkolenia, mimo iż obciążamy dodatkowymi obowiązkami tych, którzy pozostają. Opłaca się to jednak, bo podnoszą swoje umiejętności i czują się bardziej jeszcze z nami związani. Staramy się różnymi sposobami poprawić zarobki naszych pracowników, bo przecież nikt nie zarabia tu kroci. Owszem, odeszło sporo rzemieślników, skuszonych dużo wyższymi zarobkami, najczęściej do firm zagranicznych.*

— Właśnie. Mówi się, że teraz, na ich miejsce przyszło sporo osób przypadkowych, lekkoduchów, ptaków niebieskiej krwi i kiepskich fachowców, których przyjęto do pracy z braku kogoś lepszego.

— *To niepełna prawda. Prawdą jest, że mimo utraty dobrych fachowców, w dalszym ciągu nie ma dla nas rzeczy niemożliwych. Na przykład: do filmu „Kingsajz" trzeba było wykonać różne popularne przedmioty, jak telefon, wrotka, opakowanie po jogurcie, sztućce, ale powiększone do olbrzymich rozmiarów. Wcale nie było to łatwe. Efekt ekranowy jest jednak znakomity.*

No, pięknie. Teraz jednak trzeba zadać pytanie, do którego, po przemyśleniu, mam nieufny stosunek. Mimo iż podczas rozmowy w redakcji, wydawało mi się ono słuszne i uzasadnione. Mówiliśmy bowiem o tym, że: gdyby wytwórnię filmów fabularnych przenieść w całości do innego miasta, mało kto zauważyłby jej brak; Szkoła Filmowa jest mało lub zgoła wcale widoczna w mieście; mimo iż w Łodzi wytwarza się kopie filmowe i opracowuje filmy zagraniczne, nie mamy z tego tytułu żadnych przywilejów itd., itp.

Choć zawężające problem, pytanie jednak pada:

— Co miasto ma z tego, że na jego terenie jest WFF?

Moja nieufność do tak postawionego zagadnienia wynika z tego, że jestem w fabryce, „fabryce snów" jak to ktoś określił, ale jednak w fabryce, swoistym zakładzie przemysłowym, a nie w domu kultury, którego zadaniem jest upowszechnianie tejże.

W odpowiedzi słyszę:

— *Jak to? A to, że Łódź jest najlepiej zdokumentowanym filmowo miastem w Polsce, to mało? Że można zobaczyć, jak wyglądało kiedyś i jacy byli ludzie w minionych latach? Że uwieczniono miejsca, których dziś już nie ma, że oglądają te filmy ludzie na całym świecie? To Łódź ma od WFF. Oczywiście, patronujemy jednemu z łódzkich liceów i wpuszczamy, choć niechętnie i bronimy się przed tym, różne wycieczki. Ale głównym naszym zajęciem jest przecież produkcja filmów i je dajemy ludziom nie tylko w Łodzi. Poza tym przyjeżdżają do nas znani aktorzy, których zobaczyć można dzięki temu na żywo, na ulicy, w sklepie, w kawiarni...*

Trudno nie przyznać racji, ale i łatwo polemizować.

Kończymy miłą rozmowę. Znów wchodzę w rozgwar i nerwowy ruch wytwórnianych korytarzy. Ci ludzie (i to od perukarki po reżysera) są jednak bardzo przejęci tym, co robią. Dla wielu praca tutaj jest ich życiem. Nie zmienią jej na inną, za wielkie nawet pieniądze. Pracują w krańcowo odmiennych warunkach niż ich koledzy zza oceanu, z pobliża Los Angeles. Coś ich jednak łączy z pewnością: narkotyk kina, udział w tworzeniu dzieła sztuki, magiczna siła snu na jawie.

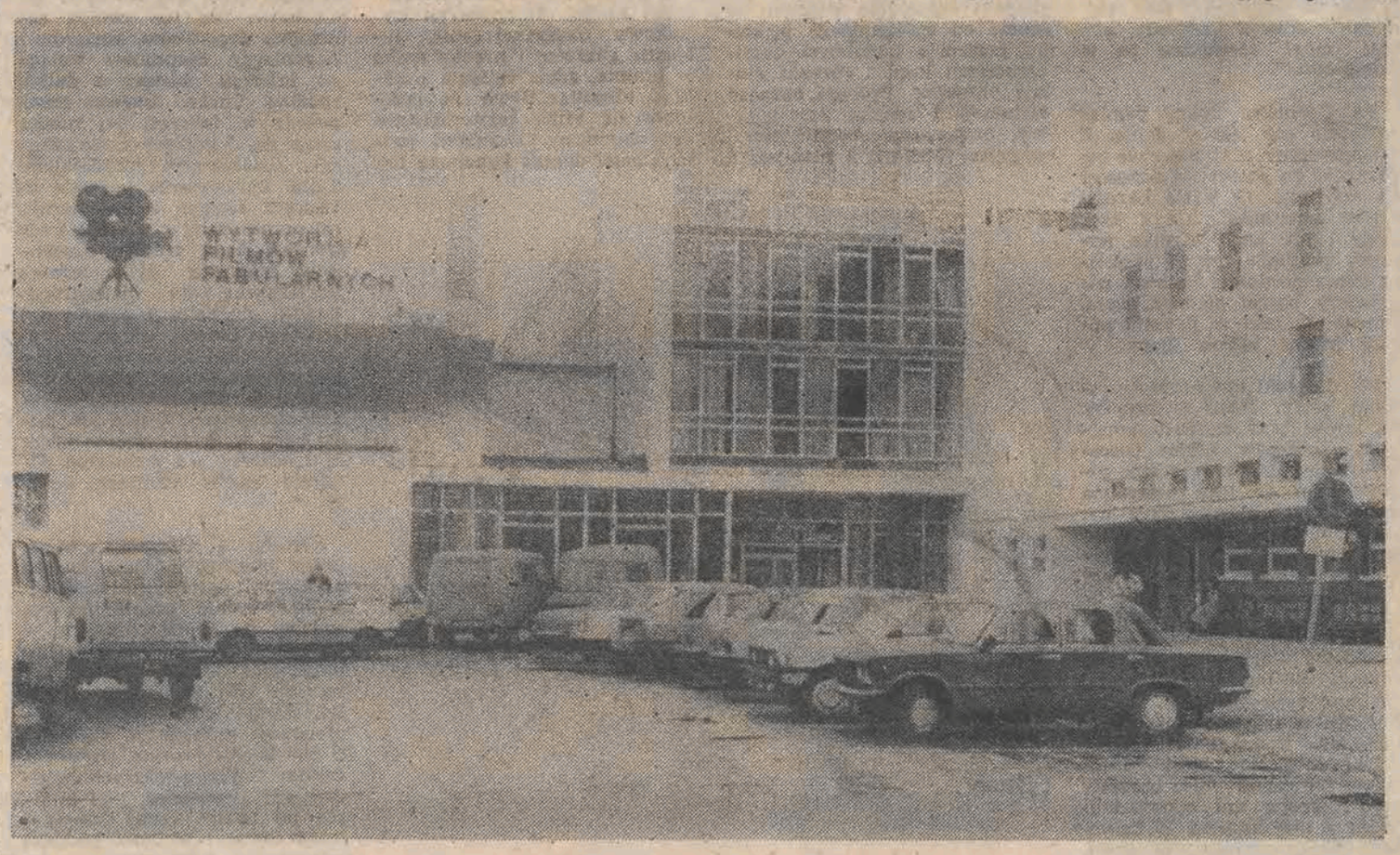

Fotos: Grzegorz Galasiński

Bo żeby szczęście samo do nas przyszło, trzeba trafić w czas

Chciałabym być jak biała, nie zapisana karta

Rozmowa z ANNĄ CHODAKOWSKĄ

Anna Chodakowska jako Przybyszewska.

Foto: Romuald Kucheiak

— „Szukam siebie" — powiedziała pani wiele lat temu. **Czy pozostała pani wierna tej maksymie?**

— Człowiek może szukać siebie i powinien, do końca życia. To przecież oczywiste. Nikt nie chciałby życia przespać, przejść, przechorować. Bo jak mówił Edward Stachura — człowiek jest tylko czasem i niczym innym, tylko czasem. Czas jest równocześnie słabością wszystkich, więc wygrać z czasem to pokonać słabość, ale nie chodzi tu o wyścigi, lecz o taki szantaż, żeby czas zaczął pracować na nas a nie przeciwko nam.

— W czternastym roku pracy aktorskiej może pani sobie pozwolić na więcej czy mniej?

— Mogę sobie pozwolić na więcej, bo bardziej panuję nad tym, co chciałabym zrobić, w zawodzie a czego powinnam unikać. Kiedyś pracowałam chaotycznie, przyjmowałam dużo różnych propozycji nie mając jasności, pod jakim kątem je selekcjonować. Dzisiaj robię prawie tylko te rzeczy, które mnie naprawdę interesują, tzn. takie w których mogłabym zrealizować część swojego światopoglądu i rzeczy bliskie mojej wrażliwości.

— Wtedy, gdy pani zaczynała łatwiej było zrobić karierę?

— Na pewno łatwiej było zagrać coś interesującego i znaleźć oddźwięk u widowni teatralnej niż obecnie. Teraz trudniej jest zainteresować sobą publiczność. Jednak z mojego pokolenia dwa—trzy lata przed i po mnie zaistniało kilka znanych dzisiaj nazwisk, które reprezentują coś w tym zawodzie Wydaje mi się, że obecni młodzi aktorzy (tuż po studiach) przepadają w teatrze. Widać ich trochę w filmie i często filmowi zawdzięczają popularność, ale tak trudno w naszym kraju o wypracowanie osobowości aktorskiej w filmie: myślę, że głównie jednak przez brak dobrych scenariuszy i brak dobrze napisanych ról.

— Wszystko postawiła pani na aktorstwo, kosztem normalnego domu, męża, dzieci...

— To nie zawód tak mnie ukierunkował tylko charakter. Jestem osobą, która przede wszystkim chce realizować swoje zainteresowania. Gdyby ich przedmiot stanowił dom i dzieci, to jaka siła mogłaby mnie przed tym powstrzymać? Zresztą to bardzo trudno rozdzielić. Czy naprawdę interesuje mnie aktorstwo jako takie, z ciągłym zaliczaniem ról, czy też tak naprawdę wiedzie mnie materiał aktorski, czy literacki, który wybrałam, w którym mogę się zrealizować, wyjść do ludzi z propozycją interpretacji pewnych zjawisk estetycznych i pewnych stanów duchowych, będących dla mnie punktem wyjścia.

— A jak wygląda pani dom?

— Tworzą go oprócz mnie: ojciec, narzeczony i dwa psy. Uwielbiam zwierzęta, widząc w nich coś więcej niż czworonoga do zabawy. Jeden z moich psów ma 12 lat, stracił wzrok i ma wadę serca. Oba psy zabrałam z ulicy, wręcz ze śmietnika. Czuję się odpowiedzialna za ich egzystencję i dbam, aby ich nie stresować. Pomaga mi dochodząca gosposia.

— Narzeczony, znany reżyser telewizyjny Krzysztof Bukowski wciąż ten sam?

— Wciąż, tylko bardziej zapracowany, więc widuję go rzadko. Nie jest to normalny, typowy związek, za to darzymy się wzajemnie dużym zaufaniem. Tak w życiu jak w sztuce. Dużo razem pracujemy i myślę, że inspirujemy się i uzupełniamy.

— To właśnie Krzysztof Bukowski podpowiedział pani pomysł na zajęcie się poezją Edwarda Stachury, na śpiewanie jego wierszy, na monodram „Msza wędrującego"?

— Stachura, z przyczyn światopoglądowych, był od początku do końca naszą wspólną wypowiedzią.

— Pani z natury jest chłodna i ma dystans do wszystkiego, w przeciwieństwie do poety?

— Chciałabym umieć spojrzeć na siebie z boku, z zewnątrz i ta potrzeba często uchodzi wśród ludzi za chłód. Zaakceptowałam tę opinię społeczną i czasem ją przytaczam. Z biegiem lat nie jest mi łatwo w tym zawodzie. Dotyczy to stanu ducha i niezbędnej higieny psychicznej. Nie jest mi łatwo ulegać słomianym zapałom, musi to być coś bardzo wartościowego i trafionego w punkt zainteresowań. Tak, żeby ów ogień napłynął i abym mogła ująć go w formę i wyrazić na scenie. Nie jestem typową aktorką, bo nie żyję z zawodu, lecz z własnych fascynacji, potrzeb duchowych, niepokojów.

— Jaka jest naprawdę Anna Chodakowska? Czy boi się pani upływającego czasu?

— Bałabym się upływającego czasu tylko wtedy, gdyby zaczął pracować przeciwko mnie, tzn. gdybym straciła sens tego, co robię. Ponieważ jest to tak naturalne, choć trudno się z tym pogodzić, że zmieniamy się zewnętrznie. Zmiany wewnętrzne tworzą nową wartość, którą można podzielić się z ludźmi. I gdybyśmy stracili te szansę z powodu zastoju w sobie samym, to wtedy czas jest inkwizytorem, który sprawiedliwie udowadnia nam, że zaczynamy się kończyć, także zawodowo.

— Dla kobiety-aktorki czas płynie podwójnie szybko?

— To z kolei ograniczenie kobiecości jako takiej, a jedną z jej sił jest młodość, co u mężczyzn aktorów nie jest takie oczywiste. W repertuarze teatralnym, filmowym, do 40 roku życia przypadają dla aktorek te najciekawsze role, później są kłopoty. Zaczyna się poszukiwanie wśród ról charakterystycznych. Poza tym kobieta w istocie swojej kobiecości jest najsilniejsza do 40-tki, następnie przechodzi w inną funkcję. W momencie, gdy wydaje owoc, w zasadzie kończy swoją naturalną misję.

— Powiedziała pani kiedyś: „Czasem boję się, że czas płynie, że nie zdążę, że nie zaproponowałam jeszcze siebie takiej, jaką bym chciała".

— Jest taka zasada: „Bo żeby szczęście samo do nas przyszło, trzeba trafić w czas". To taka prawda, że pewne rzeczy, które są do powiedzenia w danym okresie, trzeba podawać w tym czasie a nie w innym. Dlatego każde zaniedbanie, które często wynika z inercji pozostaje zaniedbaniem i zamiast stworzyć odskocznię do dalszych działań tworzy lukę i pustkę. Jest jeszcze drugi powód, wraz z naturalnym zmęczeniem, które przychodzi z biegiem wydatkowanej energii, coraz trudniej się zmobilizować. Poza tym nie wierzę w szczęśliwy zbieg okoliczności, nie wolno wierzyć że na tym coś się zbuduje.

— A gdy otrzymuje pani zadanie zagrania właśnie kogoś takiego?

— Wówczas muszę się odwołać do swoich umiejętności zawodowych, których częścią jest np. pamięć emocjonalna, do zachowań spontanicznych, które przecież każdy człowiek ma w swoim życiu.

— Za to jest pani mocna i ekspansywna?

— Jeśli jestem mocna to dlatego, że wiem dokładnie — czego mogę od siebie wymagać. Mam też pewne doświadczenie, które daje mi spokój. Coś było, coś się zdarzyło i było zaakceptowane po obu stronach rampy.

— Szczególnie, gdy pani widzi jak jej koleżanki rówieśniczki idą ciągle do przodu. Największe pani rywalki: Grażyna Szapołowska i Krystyna Janda zrobiły większe kariery, jedna pobiła panią w filmie, druga zrobiła karierę międzynarodową. Jak pani to przeżyła?

— Bardzo cieszę się, że Grażyna Szapołowska, która z uwagi na swoją urodę mogłaby stać się ozdobą ekranu, okazuje się krok po kroku bardzo dobrą aktorką i bardzo cenię to, co zrobiła w dwóch filmach: „Bez końca", „Inne spojrzenie". Krystyna Janda tak w życiu, jak i w sztuce jest ogromną indywidualnością i to właśnie skutecznie toruje jej własną drogę.

— Jakich ludzi pani lubi?

— W ogóle lubię ludzi z ich słabościami i siłą, tylko że bardziej inspiruje mnie siła. Co za tym idzie jest to z mojej strony zainteresowność. Coraz częściej łapię się na tym, że sprawia mi satysfakcję bycie z kimś, kto pobudza mnie do przemyśleń, do działania Obecność kogoś kto budzi moje wątpliwości, burzy pewne schematy, od kogo mogę się czegoś nauczyć lub wręcz ukraść coś, co oczywiste wykorzystuję w swojej pracy.

— A jakich ludzi stara się pani unikać?

— Nie znoszę gadających głów, czyli dużo słów a treść oczywista.

— Kiedy pani mówi jest łagodna, spokojna, wyciszona, a kiedy śpiewa jest ostra, drapieżna, krzycząca, rozdygotana...

— To chyba jest tylko wynik repertuaru, w którym się obracam. Stać mnie na łagodność i wyciszenie w śpiewie, w roli też. Tylko że takich ról grałam mało.

— Ostatnio częściej spotykamy się z panią śpiewającą niż grającą. Czyżby i pani uległa modzie na uprawianie piosenki aktorskiej?

— Nie uległam modzie, bo śpiewałam, gdy tej mody u nas nie było. Nie uległam również modzie na Stachurę, za to byłam jednym z pierwiosnków tej mody.

— Pani lubi być wolna, niezależna, nie lubi być na usługach i nie chce realizować cudzych pomysłów. To stwierdzenie, ale i pytanie — czy dobrze na tym wychodzi?

— Jeszcze nie pora na wnioski. Najbliższy czas pokaże, jak ja na tym wychodzę.

— Grała pani w filmie, ale wiem, że role filmowe nie spełniły pani aktorskich ambicji?

— To raczej brak szczęścia, zbieg okoliczności. Nie traktuję filmu jako rozdziału zamkniętego. Zakończyłam niedawno pracę nad filmem fabularnym „Brawo mistrz", w którym gram główną rolę kobiecą. Obecnie kręcę zdjęcia do komedii filmowej „Co lubią tygrysy".

— Jak pracuje się pani u Jerzego Grzegorzewskiego w Teatrze „Studio"?

— Jerzy Grzegorzewski jest artystą, który bez względu na to, czy gram u niego role duże, czy mniejsze, powoduje, że współpraca z nim, kontakt są dla mnie bardzo inspirujące.

— Ale mimo to wydaje się, że czuje pani niedosyt?

— Zawsze odczuwam niedosyt.

— Co z planami zrobienia spektaklu o Marii Komornickiej i jej tragicznej próbie przeistoczenia się w mężczyznę?

— Wciąż powstaje scenariusz. Przez pewien okres był to temat zarzucony, ale wrócę do niego jeszcze w tym roku.

— Ale pani woli być kobietą?

— Wolę być sobą. A czy mężczyzną czy kobietą czy trzecią płcią w ogóle mnie nie interesuje. Kiedy spojrzy się na to, co wybrałam z perspektywy czasu, to wówczas będzie można ocenić, jak to było naprawdę.

— Wyzwoloną, wyemancypowaną, równą mężczyźnie?

— Nie mam się z czego wyzwalać. Mnie to nie dotyczy.

— W związku prywatnym kto dominuje?

— Mnie się wydaje, że Krzysztof, a jemu, że ja.

— Jaki głos ma w domu ojciec?

— Ma głos zdrowego rozsądku. Posiada przedwojenne wykształcenie (ekonomista) i zawstydzająco dużo wie. Jeśli spotkam się ze słowem, którego nie rozumiem, to w zasadzie mogę liczyć na to, że ojciec mi wyjaśni.

— Jaka naprawdę jest Anna Chodakowska — pytają wielbiciele. No właśnie, jaka ona jest?

— Chciałabym być jak biała, nie zapisana karta, na której każdy z moich widzów, mógłby choć raz zobaczyć cząstkę odpowiedzi lub koloru, której, którego — szuka.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Mówi: Tadeusz Pluciński

— Czy trudno być całe życie amantem?

— Być czy próbować? Bo albo się to ma, albo nie. Osobiście nigdy nie starałem się być amantem, po prostu mam to zapewne przekazane w genach.

— Amant to mężczyzna, który może wprost nieograniczenie korzystać z uroków płci pięknej. Czy pan to potwierdza?

— Oczywiście. Jednak nikomu nie przeszkadza z tych uroków korzystać. To, że za mną idzie opinia amanta, to nie jest moja wina. To raczej otoczenie wykreowało mnie na takiego właśnie faceta, a ja oczywiście nie stronię od pewnych przywilejów, z których amant korzysta.

— Podejrzewam, iż miał pan w swoim życiu sporo tego typu przywilejów. A może kłopotów?

— Nie nazwałbym tego kłopotami. Zresztą nigdy nie żałowałem tego, co przeżyłem, nawet jeśli później — bo przecież zanim cokolwiek przedsięweźmiemy, winniśmy już być przygotowani do rozstania — następowało nieuniknione rozstanie. Nigdy, powtarzam, nigdy nie żałowałem tego, co przeżyłem i nigdy źle nie wspomiam tych zmian.

— Myślę, że i panie również nie wspominają pana źle.

— Mam nadzieję.

— Mimo to ożenił się pan...

— Po raz czwarty. Jakoś tak się układało, że z każdą żoną dochodziliśmy do wniosku, iż każde z nas ma trochę inny pomysł na życie. I rozstawaliśmy się. Ale jestem w kontakcie i w przyjaźni ze wszystkimi byłymi moimi żonami rozrzuconymi po świecie.

— Co z tych małżeństw panu zostało?

— Wspaniałe wspomnienia.

— A materialnie?

— Dwóch synów z Jolą Wołłejko. Może właśnie dlatego ten związek trwa najdłużej. Mówiąc w cudzysłowie: „rozmnażać się" zacząłem dość późno, tak, że jeden z synów ma 17. a drugi 12 lat, z tym, że ten siedemnastolatek mnie już przerósł, ma bowiem 1.87 cm wzrostu, a ten drugi go goni...

— Czy chcą być aktorami?

— Nie.

— A czym?

— Jeszcze nie wiedzą. W teatrze interesują ich kulisy, ale jak dotąd nie przyszło im do głowy, aby powtarzać to, co ja i matka robimy

— Skończmy temat żon. Jaka jest pańska definicja żony?

— Żona to jest niepotrzebny, szalenie kosztowny dodatek do tego, za czym uganiają się samce.

— Zanim został pan aktorem, studiował pan prawo.

— Tak, byłem rok na prawie.

— Jak zatem trafił pan do teatru?

— Urodziłem się w Łodzi i chodziłem tam na uniwersytet. Bardzo lubiłem sport i właściwie większość dyscyplin sportowych uprawiałem z zamiłowaniem, choć nie wyczynowo. Pływałem i na basenie poznałem dziewczynę wyróżniającą się urodą i sylwetką. Okazało się, że była tancerką i występowała w „Syrenie". Tak to się zaczęło.

— Myślę, że polska palestra niewiele straciła, zyskało natomiast niepomiernie aktorstwo.

— Przyjmuję to jako komplement.

— Ile lat jest pan na scenie?

— 33.

— Ile zagrał pan ról?

— Tego nie wiem. Jest taki moment, kiedy człowiek chciałby zaprowadzić taką bardzo osobistą kronikę. Ale jak dotąd to mi się nie udało.

— Każdy aktor chciałby zagrać Hamleta. A pan?

— Nigdy.

— Serio?

— Daję słowo. Owszem, umknęła mi jedna rola, którą chciałem w swoim życiu zrealizować, i którą widziałem graną w sposób bardzo podobny do moich o niej wyobrażeń. Grał to w leningradzkim teatrze Olenin. Mordwinow grał Otella, a on Jagona. I ten Jagon był mi szalenie bliski...

— Wspomniał pan o sporcie.

— Próbowałem wszystkiego: piłka nożna, biegi na średnich dystansach, oszczep, kula, pływanie, jazda konna...

— Z jakim wynikiem?

— Trochę więcej niż średnim.

— Ma pan może jakieś szczególne hobby?

— Nie, nie mam. Mam natomiast wspaniałego przyjaciela i chciałbym, aby ta rasa jakoś w Polsce się rozpowszechniła. To pies rottweiler, pastersko-obronny, duży, potężny, kulturysta. Jego rodowód ciągnie się od czasów legionów rzymskich.

— Zapewne ma więcej medali niż pan?

— Jeszcze nie ma, to młody pies, dopiero skończył rok.

— Czy ma pan w domu kolekcję obrazów lub drogich książek?

— Obrazów nie mam, a książki tylko te, które są mi potrzebne do mojego zawodu.

— Może zatem kolekcjonuje pan Bilety Narodowego Banku Polskiego?

— Po co zbierać? Żyjemy na bieżąco.

— Pańskie marzenia?

— Mam natury ogólniejszej: pragnąłbym abyśmy pewne sprawy potraktowali poważniej, a inne z uśmiechem. To bardzo trudno, ale speszyło mnie, kiedy mój starszy syn mnie zapytał: Tato, czy studia i dyplom, to jest zaspokojenie twojego snobizmu? Czy to jest w ogóle potrzebne? Takie pytanie w ustach nastolatka zastanawia. I właśnie z tą naszą reformą: pragnąłbym, abyśmy pewne rzeczy potraktowali poważnie, przeprowadzili całą sprawę jak najszybciej, aby ci młodzi ludzie, którzy zadają takie pytania jak mój syn, wiedzieli, że w minionym czasie myśmy co nieco zrobili.

— Czy potrafi pan gotować?

— Strzelił mnie pan w bardzo bolesne miejsce: ja nawet potrafię przypalić wodę na herbatę.

— Więc nie pomaga pan żonie?

— Ależ tak: zmywam naczynia.

— Ma pan działkę?

— Tak, jest to połać ziemi, chałupa kurpiowska, obok Puszczy Białej, nad rzeczką Zimna Woda, gdzie „woda czysta i trawa zielona". Godzina jazdy samochodem z Warszawy. Pełnia relaksu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Hanna Prosnak

★ ★

jestem kołem
upadku
lotu
obracam się przez mózg
serce
stopy
im szybciej
tym mocniejsze światło
napadam się coraz ciszej
coraz jaśniej
oddalam od wrogów
przyjaciół
domu
wszelkiego mienia
przeistaczam postać
do unicestwienia

1986

★ ★

świadomość
ma ten sam początek co
śmierć

proch jest po to by ciało powstało
śmierć jest przemianą
bo w proch obraca się
ciało

powstaje pieśń z refrenem
jesteś
nie ma
1986

★ ★

kapliczki milczenia
budujemy w sobie
aby nie zaznać rozpaczy
eminąć trwogi

żyjemy wśród siebie
jak drzewa wśród lasu
jesteśmy konary
w przestrzeni kosmosu

krzyżujemy mowę i pewność
chcemy mówić do siebie
nie poza sobą

wirujemy wokół własnych osi
planety sensu wśród
planet kosmosu

1985

★ ★

kiedy umrą ostatnie zwierzęta
a człowiek skończy pieśń
zanurzy się w ogniu niebieska planeta
by powstać w innej mgle
nie będę wiedzieć nic
przeobrażona w pył
rozpaczą bladych aniołów
ulegnę z pokorą żywiołom
jeśli jednak jeszcze raz
gwiazda da mi ciało
nie potknę się o miłość
z potłuczonego serca nie będę zlizywać krwi
wyjmę je z siebie
zasuszę w liść —

1984

Cel został osiągnięty

Rozmowa z ANDRZEJEM HUNDZIAKIEM, kompozytorem, kierownikiem artystycznym Ogólnopolskiego Festiwalu Współczesnej Twórczości Muzycznej dla Dzieci i Młodzieży DO-RE-MI

W Łodzi rozpoczyna się kolejny Festiwal DO-RE-MI. Impreza urządzana jest po raz piąty a jednocześnie mija 10 lat od jej zainicjowania. Jakie były jej początki?

— Kiedy w 1977 r. grupa działaczy wystąpiła z inicjatywą, aby propagować twórczość dla dzieci i młodzieży w tej właśnie formie — nie bardzo nawet wierzono w szerszy oddźwięk u kompozytorów. Może dlatego że taki rodzaj komponowania nie wiąże się z korzyściami, nie przynosi zysków, ma jedynie charakter ambicjonalny i sentymentalny (często kompozytorzy piszą po prostu dla własnych dzieci).

— A jednak pomysł „chwycił".

— Tak. I choć początki imprezy były jeszcze o tyle skromne, że nadsyłano głównie „remanenty z szuflad", to sytuacja wkrótce się zmieniła i teraz około 90 proc. festiwalowych propozycji stanowią już utwory nowe, napisane specjalnie dla DO-RE-MI.

— Którą z dotychczasowych edycji Festiwalu ocenia pan najwyżej?

— Powinienem chyba powiedzieć, że — jak zawsze — tę najnowszą, bieżącą, bo jest ona jeszcze przed nami i kto wie, czy nie okaże się rewelacyjną. Wydaje się jednak, że niezależnie od tego, jak ocenimy minione edycje, ważne jest, iż festiwal daje pogląd na stan polskiej twórczości. Jest taki, jaka jest aktualna twórczość muzyczna dla dzieci w Polsce, ujawnia możliwości i zainteresowania kompozytorów. A że twórczość rodzima nie jest zła — mogę stwierdzić choćby na podstawie licznych podróży i dokonywanych przy tej okazji porównań.

— Spróbujmy może sformułować zasadniczy cel Festiwalu.

— Głównym celem jest, oczywiście, inspirowanie kompozytorów do pisania dla dzieci i młodzieży. Organizatorom chodzi o to, żeby stale i systematycznie dopływały nowe utwory. I niewątpliwie ten cel został osiągnięty. Jest już pokaźna liczba twórców zainteresowanych „dziecięcą" tematyką, wielu bierze nawet udział we wszystkich kolejnych festiwalach, i to z bardzo dobrymi efektami. Każdego roku pojawiają się też nowe nazwiska. Cieszy nas, że np. tym razem grupa kompozytorów młodych i bardzo młodych jest większa niż poprzednio.

— A zatem liczba utworów adresowanych do dzieci i młodzieży, a także kompozytorów piszących taką muzykę, ciągle się powiększa. Jednak czy rzeczywiście trzeba tworzyć wciąż nowe kompozycje, czy do umuzykalnienia najmłodszych nie wystarczą już istniejące — myślę np. o znakomitych zbiorach miniatur Schumanna, Czajkowskiego czy — powiedzmy — pieśniach Noskowskiego?

— Wymienieni przez pana autorzy należą do tych bez których nie wyobrażam sobie umuzykalnienia dzieci. To jest podstawa, tak samo jak w wykształceniu inteligentnego człowieka baze stanowi spuścizna kulturalna i dorobek naukowy poprzednich epok. Ale również nie można wyobrazić sobie wychowania młodego obywatela bez żywego kontaktu ze współczesnością. I tak samo, jak dzisiejszy uczeń winien zgłębić tajemnice komputera czy innych zdobyczy techniki, powinien też poznać współczesną sztukę. A przecież piękne skądinąd piosenki Noskowskiego nie są współczesne, nie nawiązują do dzisiejszych realiów, nie ma tam mowy o samolotach lub rakietach.

— To tylko kwestia tematu literackiego...

— Niewątpliwie, lecz poprzez temat literacki inspiruje się kompozytora do szukania nowych środków warsztatowych, bo trudno pisać piosenkę o rakiecie techniką Noskowskiego.

— Jednakże w postępowaniu kompozytorów prezentujących swe utwory na Festiwalu DO-RE-MI zaobserwowałem niejednokrotnie niekonsekwencję. Właśnie piosenki, niezależnie od ich tematu, utrzymane są często w konwencji XIX-wiecznej.

— Jeśli myśli pan o melodyce — zgoda. Proszę wszakże zwrócić uwagę, że piosenki przekazują mimo wszystko pewne nowe jakości w sposób — powiedziałbym — bezbolesny, zawoalowany. Biorąc pod uwagę możliwości dziecka twórcy świadomie rezygnują z współczesnej melodyki opartej na trudnych do zaśpiewania i odbioru interwałach, ale „przemycają" wielokrotnie niebanalną harmonikę, nietradycyjną formę, czy pobudzające fantazję efekty kolorystyczne.

— Jakie są zasady wstępnej selekcji utworów nadesłanych na DO-RE-MI?

— Ponieważ nie ma jakichś gatunkowych czy też formalnych rygorów, kompozytorzy przysyłają takie utwory, jakie chcą. Jedyne ograniczenie wiąże się z dostosowaniem prac do możliwości wykonawczych i percepcyjnych dziecka. Specjalnie powołana komisja repertuarowa, której w tym roku przewodniczył prof. Tadeusz Paciorkiewicz z Warszawy, wybiera prace najlepsze (na ogół spośród około 250 propozycji), starając się uwzględnić — w miarę możności — różne gatunki.

— Czy poza utworami przeznaczonymi do wykonania przez dzieci Festiwal nie powinien obejmować także kompozycji przewidzianych do wykonania przez artystów profesjonalnych, ale do dzieci adresowanych, tak jak to się działo w przypadku „Scen dziecięcych" Schumanna, „Karnawału zwierząt" Saint-Saensa czy „Piotrusia i wilka" Prokofiewa?

— Byłoby dobrze, gdyby i taki wątek na DO-RE-MI zaistniał. W przeszłości jedynie sporadycznie prezentowane były utwory „do słuchania" (myślę choćby o pieśniach Słowińskiego czy cyklu „Piosenek pana Jachowicza" Wasowskiego, wykonywanym przez Lucję Prus). Chcę zaznaczyć, że do tej pory korzystaliśmy jedynie z tego, co nam kompozytorzy sami nadsyłali. Ponieważ od niedawna dysponujemy środkami na zakup utworów zakwalifikowanych, przypuszczam, że będziemy mogli skuteczniej kształtować repertuar. Zresztą gdyby łódzkie teatry muzyczne wykazały zainteresowanie nowymi operami lub musicalami dla dzieci, już dziś można by je pokazać. Otrzymaliśmy bowiem bardzo interesujące zgłoszenia.

— Chyba zorganizowany w tym roku, po raz pierwszy, Konkurs Kompozytorski DO-RE-MI jest również próbą oddziaływania na repertuar?

— Naturalnie. Konkurs obejmował dziedziny — nazwijmy to — deficytowe, w których jest największe zapotrzebowanie na nowe utwory. W szkołach są „nietypowe" chóry 3-głosowe, dla których nie ma klasycznych pozycji repertuarowych. Deficytowe są też niektóre instrumenty dęte, jak obój, puzon czy róg. Tu też mało się pisywało, a młodzieży uczy się grać dużo.

— Ilu kompozytorów przewinęło się dotąd przez Festiwal?

— Ponad stu. Dla orientacji wspomnę, że w ZKP zrzeszonych jest około 200 osób.

— Czy mógłby pan wskazać na takich twórców, których udział organizatorzy szczególnie sobie cenią? A może byli i tacy, których mimo zachęt nie udało się pozyskać?

— W DO-RE-MI brała udział czołówka twórców krajowych, m.in. Baird, Lutosławski, Górecki, Kilar (poza Pandereckim). Niektórzy, jak np. Bloch czy Twardowski, nadsyłają prace na każdy kolejny festiwal. We wszystkich edycjach uczestniczyli też łódzcy kompozytorzy: Bauer, Przybylski, także i ja. W tym roku wchodzą „na arenę" najmłodsi: Markowska, Puchalska, Oślizło.

— O niektórych blaskach DO-RE-MI już powiedzieliśmy. Jakie są festiwalowe cienie?

— Przede wszystkim szkoda, że możliwości stworzonych przez Festiwal nie wykorzystuje radio i telewizja. Jednorazowe audycje typu informacyjnego, to stanowczo za mało.

— Co przyniesie festiwal tegoroczny?

— Ponieważ staramy się podczas każdej edycji wprowadzać pewne nowości, są one i tym razem. Poza wspomnianym konkursem kompozytorskim warto zwrócić uwagę na udział — wśród wykonawców — młodzieżowej orkiestry symfonicznej z Bułgarii i zespołu kameralnego z NRD. Niewątpliwą ciekawostką będzie też koncert utworów skomponowanych przez dzieci z różnych krajów — materiały do niego zaczerpnęliśmy ze zbiorów Centrum „Sztandar Pokoju" w Sofii. Chyba zainteresowanie wzbudzi ponadto przygotowana na Festiwal przez Polskie Nagrania płyta wraz ze śpiewnikiem.

— A jakie pańskie utwory znajdą się w programie?

— Będzie kilka drobiazgów, wśród nich „Concerto" na chór żeński.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Z półki recenzenta

MÓWI STANISŁAW LEM

Jest to szczególna książka i wróżę jej nie mniejszą poczytność, niż mają książki autorstwa Stanisława Lema. Mówię o „Rozmowach ze Stanisławem Lemem", które przeprowadził z nim Stanisław Bereś w latach 1981—1982. Jest to także książka ważna nie tylko jako przewodnik po całej twórczości autora „Cyberiady", lecz także z powodu wielu opinii i ocen, jakie wygłasza Stanisław Lem o niektórych dziedzinach nauki i sztuki, a w tym o polskiej literaturze współczesnej. We wstępie Stanisław Bereś pisze, że przecież pozostało jeszcze tak wiele pytań, że gdyby autor „Summy technologiae" chciał na nie odpowiedzieć, to „musielibyśmy rozmawiać do końca świata".

Stanisław Bereś: „Rozmowy ze Stanisławem Lemem". WL 1987. Str. 400. Cena 45 zł.

REEDYCJA POEZJI RILKEGO

Krytyka dość wcześnie okrzyknęła go „jednym z największych poetów świata". Jego poezje zostały przetłumaczone na wiele języków. U nas zawsze znajdował gorących zwolenników i pokaźną liczbę translatorów. Obecny tom, który polecam czytelnikom, jest reedycją z 1974 r. Jest on najpełniejszym zbiorem, a jednocześnie, za co należą się słowa uznania Wydawnictwu Literackiemu specjalizującemu się w tego rodzaju publikacjach, jest dwujęzyczny. Dla znawców i miłośników poezji jest to niewątpliwie cenna publikacja. Przekład Mieczysława Jastruna.

R. M. Rilke: „Poezje". WL 1987. Str. 424. Cena 750 zł.

08/15

Przed laty tłumy waliły do kina na zachodnioniemiecki film pod tytułem „08/15" wg głośnej książki Hansa Hellmuta Kirsta. Autor w RFN przeżył procesy, konfiskaty książki, napaści na księgarnie, a także ogromną popularność, jaką przynosi pisarzowi dzieło nietuzinkowe. Treść książki, to dzieje bombardiera Ascha w czasie ostatniej wojny, a tak naprawdę, to opis wielkości i upadku hitlerowskiego Wehrmachtu. Pierwsza klęska systemu nazistowskiego rodzi się w świadomości żołnierzy. Ostatnie zdanie książki brzmi: „Człowieku — powiedział Kowalski. — Może nawet powstaną kiedyś Niemcy, w których przyjemnie i zabawnie będzie żyć!".

Przekład Jacka Frülinga.

Hans Hellmut Kirst: „08/15". MON 1987. Tomy I—III. Str. 844. Cena 1.300 zł.

NA ARYJSKICH PAPIERACH

W dobrze napisanej książce Bronisław Szatyn opowiada o własnych dziejach w czasie okupacji hitlerowskiej, którą przeżył jedynie dzięki posiadaniu tzw. „aryjskich papierów". Jednakże, wbrew autorowi, jego opowieść ma szerszy wymiar, bowiem przedstawione są w niej zdarzenia oraz losy Żydów, którzy owych „papierów" nie mieli.

Książkę tę czyta się właściwie jako pamiętnik, choć autor zbeletryzował akcję, nadał jej literacki kształt.

Bronisław Szatyn: „Na aryjskich papierach". WL 1987. Str. 344. Cena 370 zł.

Znad Warty i z Karaibów

Z Polskim Teatrem Tańca — Baletem Poznańskim, zwanym potocznie od swego założyciela i długoletniego kierownika „Baletem Drzewieckiego" spotykaliśmy się w Łodzi wielokrotnie, czy to w programie Łódzkich Spotkań Baletowych, czy poza tą imprezą. Pamiętamy wielkie osiągnięcia choreograficzne Conrada Drzewieckiego, jak np. „Pavanę na śmierć infantki", pamiętamy sukcesy artystyczne jego tancerzy, a w ostatnich latach utwory wzbudzające rozbieżne opinie wśród recenzentów i widzów.

A tymczasem spotkaliśmy się z mocno odmłodzonym zespołem, kierowanym obecnie przez wychowanka poznańskiej szkoły baletowej, absolwenta studiów baletowych w Moskwie, **Mirosława Różalskiego**, który był ponadto asystentem Conrada Drzewieckiego. Młody artysta nie uległ bezwolnemu naśladownictwu sławnego mistrza, a jego twórcza osobowość o oryginalnym typie wyobraźni ujawniła się w pierwszym punkcie programu pt. „Wir", stanowiącym choreograficzny debiut Różalskiego do muzyki **Pink Floyd.**

Utwór ten, najzupełniej dojrzały, charakteryzuje się silnie zaznaczoną przewagą motoryczności nad scenami o nastroju lirycznym. Młodzi tancerze dynamicznie i zarazem swobodnie wykonywali swoje zadania na kanwie dookolnego, wirowego biegu z rękami zwisającymi luźno wzdłuż tułowia, w jawnej niezgodzie ze sportową efektywnością biegu, co jednak stwarza wrażenie spętanej energii, a trochę kojarzy się z ruchem manekinów czy robotów.

Całe to krążenie przywodzi na myśl zmaganie się z zagrożeniem, uosobionym przez opuszczające się w pewnym momencie dziesiątki monstrualnych rąk, sięgających ziemi.

Po tak godnym początku nastąpiła **„Legenda"** do znanego utworu Henryka Wieniawskiego, w choreografii **Conrada Drzewieckiego**, o wybitnie romantycznym nastroju i klimacie, ze zbyt może dosłownie potraktowaną symboliką skrzypiec.

Z kolei oglądaliśmy **„Balladę"** do kilku utworów fortepianowych **Aleksandra Skriabina**, w choreografii amerykańskiej artystki **Anny Sokołow.** Mimo zmienności nastrojów, zgodnych z muzyką, cechowała choreografię znaczna jednolitość stylistyczna, był to jednak taniec chłodny emocjonalnie w porównaniu z silną ekspresją muzyki.

Na zakończenie obejrzeliśmy utwór **Różalskiego** do muzyki Krzesimira Dębskiego pt. **„Party"**. Według zapowiedzi miała to być demaskacja aktorskich póz, przyjmowanych przez nas w różnych okolicznościach życiowych. Zamysł niewątpliwie ambitny, ale „rozmył się" w natłoku zbiorowych tanecznych działań, niejako zamazujących indywidualne akcenty interpretacyjne. Wieczór alkoholowo-taneczny został niestety, strywializowany drastycznością towarzyskich incydentów.

Niejeden widz, odczytując z afisza nazwę **Danza Nacional de Cuba** mógł ją sobie kojarzyć z baletem Alicji Alonzo, znanym dobrze łódzkiej publiczności, a który zwie się Ballet Nacional de Cuba. Ale nawet jeśli kogoś zwiodła ta różnica jednego słowa, ten swojej wizyty w Teatrze Wielkim z pewnością nie pożałował, zespół ten bowiem, goszczący u nas po raz pierwszy, dorównuje w niejednym tanecznej klasie sławnego rywala. W odróżnieniu zresztą od „Ballet" uprawia „Danza" sztukę o wyraźnie ludowym rodowodzie, sięgającą także swoich murzyńskich korzeni, a sam zespół składa się w przeważającej mierze z czarnoskórych Kubańczyków.

Otwierający występy gości taniec **„Gryf"** (opatrzony, podobnie jak pozostałe punkty programu niejasnym komentarzem) okazał się kompozycją o wielkim i umiejętnie stopniowanym napięciu emocjonalnym. Pod magicznym wpływem przewodniczki czy kapłanki obrzędowej grupy ogarnia cały zespół zbiorowa ekstaza, przynosząca upragnione katharsis.

Z kolei **„Polowanie"** w wykonaniu wspaniałego solisty było jakby zobrazowaniem nagonki handlarzy niewolników na samotnego myśliwego, na tle doskonałej ilustracji akustycznej. Można chyba śmiało ryzykować opinię, że następny taniec „Sulkary" w wykonaniu trzech czarnoskórych par, a oparty na elementach tańców afrykańskich plemion, był najwspanialszą manifestacją kunsztu tanecznego i wyobraźni choreograficznej, nie wahającej się przed bardzo śmiałymi sytuacjami erotycznymi, związanymi z kultem fallicznym, co jednak wolne było od jakiejkolwiek trywialności. Arcyciekawy to przykład przetworzenia sztuki pierwotnej w taniec nowoczesny.

Zamykający wieczór **„Faust"**, to na poły żartobliwa, chwilami groteskowa parafraza faustowskiego motywu, z wyraźną dominacją cielesnych uciech. Utwór kończy się szaleńczym korowodem tanecznym.

W moim odczuciu drugi wieczór był mniej interesujący, a inaugurujące go **„Lunetario"** nie spełniało oczekiwań rozbudzonych przez nadmiernie rozrośniętą quasi-ekspozycję, a całość wypadła chłodno jak techniczna etiuda. Świetnym pomysłem było umożliwienie widzom obejrzenia rewelacyjnego „Sulkary" po którym nastąpiła dość zagadkowa w swoim przesłaniu **„Metamorfoza"**, ukoronowana, być może w sposób niezamierzony, jakby obrazem ewolucji ludzkiego gatunku, od przygłego do ziemi małpoluda po współczesnego homo erectus (ale co miała obrazować beczka?).

Najwyższe uznanie i podziw mógł wzbudzić swoją sztuką taneczną solista kreujący Davida wg rzeźby Michała Anioła w utworze pt. **„Michelangelo"**. Jego taniec symbolizował prastary motyw walki bohaterskiej jednostki z przemocą, ale tu znów chyba nastąpiło zachwianie proporcji na korzyść technicznego popisu.

Na zakończenie pokazano nam **„Hołd"**, będący sprawdzianem bardzo wysokiej sprawności zespołu. Mimo pewnego nadmiaru różnych treści emocjonalnych umiejętności taneczne i interpretacyjne zespołu oraz sugestywność układów choreograficznych sprawiły, iż udało się przezwyciężyć niebezpieczeństwa agitacyjnej plakatowości, a nawet czysto i szlachetnie zabrzmiał rewolucyjny patos.

Występy znakomitych kubańskich tancerzy były oklaskiwane przez publiczność niezwykle gorąco.

JERZY KWIECIŃSKI

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

Wyprzedził swój czas

W swoim eseju o sztuce Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro Yve-Alain Bois napisał: „*Istnieją dzieła, które pojawiają się zbyt wcześnie i te, które zjawiają się za późno, prorocze teksty, których przedwczesność była i jest nadal niekorzystna dla ich odbioru. Są dzieła, których spóźnione ponowne odkrycie powoduje, że stajemy się bezbronni — w obliczu tych tekstów, tych dzieł, czujemy się tak jakbyśmy trafili na nieprawdopodobny gatunek którego nie potrafimy sklasyfikować przy ewolucyjnym odczytywaniu historii. Teksty i prace Strzemińskiego i Kobro z lat 20-tych i 30-tych należą do takiej kategorii*".

Twórczość Władysława Strzemińskiego była prekursorska, choć nie miała naśladowców. Jego dzieła, także teoretyczne, zdają się być inspiracją dla awangardy lat sześćdziesiątych, mimo że narodziła się ona na dobrą sprawę nie wiedząc nawet o istnieniu swego wielkiego poprzednika. Nie zapominajmy jednak o tym, że prace Władysława Strzemińskiego dwukrotnie skazywane były na zapomnienie — najpierw podczas okupacji, kiedy to z trudem udało się je ocalić przed zniszczeniem przez Niemców i powtórnie, po roku 1950, gdy twórcę i jego dzieło potępili ówcześni dyktatorzy kultury. Z tego zapomnienia nie wydobył nazwiska Strzemińskiego rok 1956, stąd ponowne „odkrywanie" artysty niesie ze sobą i element zdumienia, i owej

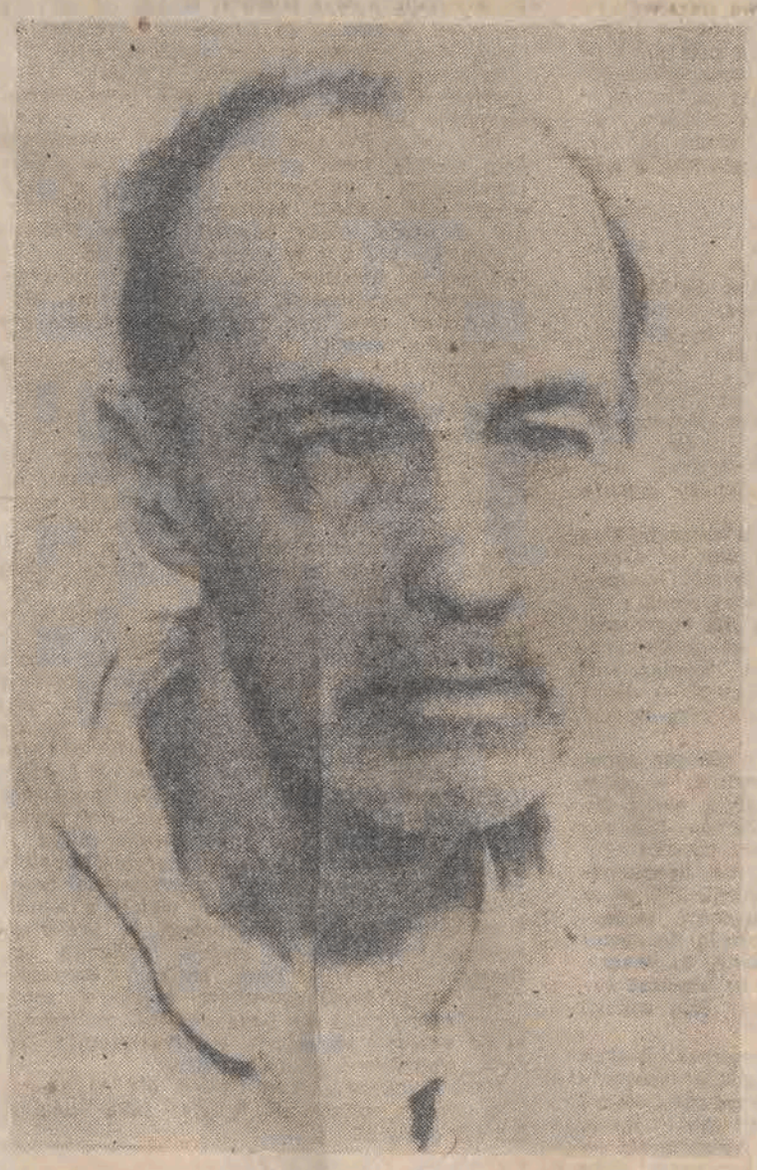

Ostatnia fotografia Władysława Strzemińskiego wykonana tuż przed śmiercią w szpitalu gruźliczym w Łodzi.

bezradności, którą muszą odczuwać historycy sztuki stwierdzając, że modernizm narodził się gdzie indziej i kiedy indziej niż przywykło się uważać.

Twórczość Władysława Strzemińskiego przez wielu uważana jest za hermetyczną, wyspekulowaną chłodną. Patrząc na przykład na jego obrazy unistyczne trudno domyślić się jak wiele pasji było w tym człowieku, w jego próbach dotarcia do granic sztuki, w nieustającym badaniu jej możliwości i poszukiwaniu nowego języka. Ta pasja wypełniła całe jego życie.

Władysław Strzemiński urodził się 21 listopada 1893 roku w Mińsku. Po ukończeniu Wojskowej Szkoły Inżynieryjnej w Petersburgu w lipcu 1914 roku, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny, jako oficer saperów zostaje skierowany do twierdzy Osowiec. W 1916 roku, w pobliżu miasteczka Pierszaje, w wyniku nieszczęśliwego wypadku, kiedy to jego własny żołnierz wyskoczywszy z sąsiedniego okopu potknął się i rzucił odbezpieczony granat, Strzemiński zostaje ciężko ranny. Traci prawą nogę i lewą rękę. Rekonwalescencja odbywa się w szpitalu w Moskwie, gdzie poznaje Katarzynę Kobro, młodziutką maturzystkę, która jest tam pielęgniarką. Po opuszczeniu szpitala, w 1918 roku podejmuje studia w Pierwszych Państwowych Wolnych Pracowniach Artystycznych w Moskwie, gdzie wstępuje również Katarzyna Kobro. O tym zwrocie w życiu ojca córka Władysława Strzemińskiego napisze: „*W ojcu musiał tkwić potężny talent artystyczny, który nagle eksplodował. Może zostałby zaprzepaszczony, gdyby nie kalectwo. Przecież trudno sobie wyobrazić, by w Korpusie Kadetów, Szkole Inżynieryjnej, twierdzy Osowiec, a tym bardziej na froncie miał czas i możliwość zajęcia się sztuką*".

Strzemiński szybko staje się znanym artystą. Przerywa studia i całkowicie oddaje się pracy twórczej. W tym czasie wiele udziela się w życiu artystycznym Mińska, Moskwy (zostaje między innymi wybrany do Kolegium do Spraw Sztuki i Przemysłu Artystycznego) i Smoleńska. Zostaje członkiem grupy UNOWIS (Utwierdzający Nowe w Sztuce). Utrzymuje kontakty z Tatlinem i Malewiczem. Bierze udział w wystawach Porewolucyjna sztuka Rosji Radzieckiej, początkowo tak awangardowa, bogata wielością kierunków, jakimi biegła myśl artystów, zaczyna kostnieć i preferować tradycyjniejsze, bardziej realistyczne nurty. Nowatorsko tworzący artyści zmuszeni są często do podjęcia trudnej decyzji wyjazdu z kraju. Strzemiński i jego żona Katarzyna Kobro również postanawiają wyjechać. W 1921 roku przez zieloną granicę przedostają się do Polski i zamieszkują w Wilnie.

W 1922 roku w „Zwrotnicy", piśmie awangardy krakowskiej, ukazuje się artykuł Strzemińskiego „O sztuce rosyjskiej. Notatki". Jest to podsumowanie osiągnięć współczesnej sztuki rosyjskiej i analiza przyczyn zahamowania jej rozwoju wskutek nacisków ze strony ludzi kierujących polityką kulturalną.

W latach 1923—24 Strzemiński uczy rysunków w Państwowym Gimnazjum Koedukacyjnym im. H. Sienkiewicza w Wilejce. Zaczyna już wówczas tworzyć syntetyczne, zapowiadające narodziny unizmu, obrazy. Pokazuje swoje prace na wystawie Nowej Sztuki w Wilnie, której jest współorganizatorem. Biorą w niej udział artyści, których twórczość związana jest z nurtem konstruktywistycznym. Wystawa ta jest jakby pierwszym, nieoficjalnym wystąpieniem założonej w 1924 roku grupy artystów awangardowych „Blok".

Strzemiński i Katarzyna Kobro wziąwszy ślub w kościele katolickim, co było warunkiem uzyskania przez Kobro polskiego obywatelstwa, zamieszkują kolejno w Szczekocinach, Brzezinach, Żakowicach, Koluszkach. Strzemiński pracuje w tym czasie w szkolnictwie.

W 1924 roku na łamach czasopisma „Blok" ukazał się artykuł Strzemińskiego pt. „B — 2...", w którym zawarty był zarys teorii unizmu, sformułowanej w ostatecznej wersji w opublikowanym w 1928 roku „Unizmie w malarstwie". Według tej teorii celem konstrukcji dzieła malarskiego miała być jego absolutna jednorodność formalna. „*Sposoby i system kształtowania malarstwo abstrakcyjne czerpie nie z zewnątrz, nie przez wzajemne dostosowywanie się systemu plastycznego i natury widzianej, lecz od wewnątrz, z praw swojej logiki, z obserwacji i studiowania zjawisk powodujących łączność wszystkich elementów obrazu, jego jedności i organiczności*". Unistyczna koncepcja malarstwa eliminowała z obrazu elementy iluzji, narracyjności, ekspresji oraz wrażenie przestrzenności i ruchu.

W latach 1925—26 na tle rozbieżności w rozumieniu teorii konstruktywizmu dochodzi do rozłamu grupy „Blok". Strzemiński uczestniczy wówczas w zakładaniu stowarzyszenia awangardowego, grupy „Praesens", skupiającej współpracujących ze sobą architektów i plastyków. Współpraca ta na dłuższą metę nie powiodła się jednak i po rozłamie w „Praesensie" Władysław Strzemiński zakłada w 1929 roku w Łodzi nową grupę „a.r.". Skrót „a.r." znaczył według niego „awangarda rzeczywista", według Przybosia, który dołączył do grupy — „artyści rewolucyjni".

W grupie „a.r." dochodzi do połączenia działalności poetów i plastyków. Jednym z ważniejszych przejawów tej współpracy było poszukiwanie nowych form plastycznego opracowania druku, łączenie języka poezji z językiem plastyki. Swoje idee artyści propagowali dzięki stworzonej przez siebie serii wydawniczej — bibliotece „a.r.".

Wybitnym osiągnięciem grupy „a.r." było stworzenie Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej. Złożyły się na nią m.in. dzieła najwybitniejszych ówczesnych artystów europejskich przekazywane przez nich w darze dla kolekcji. Jako depozyt grupy „a.r." została ona przekazana Muzeum Miejskiemu Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi stając się zalążkiem przyszłych zbiorów dzieł sztuki współczesnej Muzeum Sztuki.

Od 1931 roku Władysław Strzemiński wiąże się już na stałe z Łodzią. Otrzymuje tu stanowisko kierownika i wykładowcy w Publicznej Szkole Dokształcającej Zawodowej nr 10 (gdzie uczy między innymi przyszłych drukarzy opracowanych przez siebie zasad tzw. druku funkcjonalnego, który jest nowoczesnym spojrzeniem na zagadnienia typografii) oraz wykładowcy w Państwowej Szkole Przemysłowo-Handlowej. Wraz z Katarzyną Kobro wydaje w tym czasie pracę pt. „Kompozycja przestrzeni. Obliczenia rytmu czasoprzestrzennego", rozszerzającą teorię unizmu na kompozycje przestrzenne. Zgodnie z poglądami Strzemińskich dzieło sztuki powinno organicznie łączyć się ze swoim naturalnym środowiskiem, stanowić jedność z nieskończonością przestrzeni. Podstawy tej teorii stanowiły formuły matematyczne. Została ona zastosowana w cyklu architektonicznych obrazów Strzemińskiego i wspaniałych przestrzennych rzeźbach Katarzyny Kobro.

Działalność Strzemińskiego w Łodzi lat trzydziestych miała ogromny wpływ na życie artystyczne miasta. Dzięki niemu Łódź stała się wówczas znaczącym ośrodkiem nowoczesnej sztuki. W 1932 roku twórca otrzymuje liczącą się Nagrodę Artystyczną m. Łodzi. Wręczenie nagrody stało się zresztą okazją do wystąpienia przeciwników idei Strzemińskiego, którzy tak podczas uroczystości, jak i na łamach prasy zaatakowali go hasłami „Precz z bolszewizmem w sztuce", „Precz z trucicielami sztuki polskiej".

W tym czasie Strzemiński bardzo wiele pracuje, wiele wystawia, ogłasza drukiem swoje teorie.

Wybuch wojny powoduje decyzję wyjazdu do Wilejki, do brata artysty. Jednak w 1940 roku Strzemińscy podejmują decyzję powrotu do Łodzi. Wiąże się to z podpisaniem po pełnym wahań okresie tzw. listy rosyjskiej. Zapewniało to im bezpieczeństwo oraz niewielkie przywileje — nieco większe przydziały żywności na kartki. Po wyzwoleniu obojgu artystom zarzucono „odstępstwo od narodowości polskiej" i dopiero po pewnym czasie zaniechano rozliczenia z przyjętej podczas wojny postawy. Jest dość prawdopodobne, że ta sprawa stała się źródłem konfliktu między Strzemińskimi i przyczyną rozpadu ich małżeństwa.

W 1945 roku Strzemiński zostaje powołany na stanowisko wykładowcy w utworzonej wówczas łódzkiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Jego wykłady z tego okresu złożą się na pośmiertnie już wydaną „Teorię widzenia". Lata czterdzieste to dla artysty czas wytężonej pracy twórczej i pedagogicznej.

W 1948 roku zaczyna malować cykl obrazów solarystycznych, tzw. powidoków. Julian Przyboś tak pisze o tym okresie twórczości Strzemińskiego: „*W ostatnich obrazach olejnych (...) sięgnął do samego źródła wszelkiego koloru i światła. Jak van Gogh w ostatnim szaleńczym okresie, Strzemiński malował słońce. Ale gdy van Gogh ukazywał je na płótnie — naiwnie — jako żółtą kulę wirującą, Strzemiński szaleńcze marzenie malarzy uczynił rozumnym. Malował nie widok słońca, lecz jego powidok, dał kolor wnętrza oka, które spojrzało w słońce. W dwu jego ze znanych mi obrazów, jakie malował w czasie, gdy był profesorem w szkole łódzkiej, płonie to słońce rzeczywiście schwytane przez oko człowieka na zawsze. To był szczyt twórczy Strzemińskiego. Szczyt, a rychło potem nastąpił upadek. Upadek spowodowali ślepi na sztukę barbarzyńcy, którzy doszli do władzy w polityce kulturalnej*".

Decyzją ówczesnego ministra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego z 19 stycznia 1950 roku Strzemiński został zwolniony z pracy na uczelni w trybie natychmiastowym — „dla dobra służby". Usunięty ze związku plastyków, pozbawiony wszelkich środków do życia, zostaje dekoratorem witryn sklepowych. Strażnicy czystości doktryny socrealistycznej nie darowali nawet pracy Strzemińskiego, przedstawiającej Murzynów na tle morza, dźwigających worki z kawą, zatytułowanej na wszelki wypadek „Wyzysk kolonialny", która w formie polichromowanej rzeźby wykonanej przez przyjaciół artysty miała zdobić ścianę kawiarni „Egzotyczna" przy ul. Piotrkowskiej. Rzeźbę kazano skuć, a Strzemińskiego pozbawiono nawet należnej mu zapłaty.

Pewnego dnia po wyjściu z pracy artysta mdleje na ulicy z wyczerpania. Lekarze stwierdzają u niego gruźlicę. W szpitalu przebywa ponad rok. W tym czasie pamięta o nim jedynie garstka przyjaciół. Umiera 26 grudnia 1952 roku.

We wrześniu 1987 roku Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi otrzymuje imię Władysława Strzemińskiego.

NOWE ATENY Andrzeja gruna

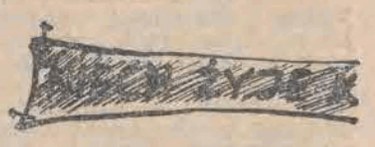

Kronika kulturalna

DO JEDNYCH Z NAJBARDZIEJ INTERESUJĄCYCH PROPOZYCJI ARTYSTYCZNYCH, przygotowanych z okazji 70 rocznicy Rewolucji Październikowej, należy, bez wątpienia, **wystawa w Muzeum Sztuki w Łodzi — pn. „Od obrazu do fotografii".**

Prezentowane są na niej osiągnięcia artystyczne radzieckiej awangardy z lat dwudziestych.

Radzieccy twórcy awangardowi z tych lat, jak na przykład wybitny dokumentalista filmowy Dziga Wiertow, w sposób często szokujący współczesnych, ukazywali człowieka, tłum, przedmioty w ruchu — poprzez nakładanie obrazów, montaż i fotomontaż.

Jest to ekspozycja, do której obejrzenia wszystkich gorąco zachęcam. Czynna będzie do 6 grudnia br.

PREMIERĄ GŁOŚNEGO OBRAZU „GONIEC" Karena Szachnazarowa, zainaugurowane zostały 5 XI. w kinie „Iwanowo", Dni Filmu Radzieckiego w Łodzi. Potrwają one do końca listopada.

W trakcie tej imprezy widzowie będą mogli zapoznać się z bogatym dorobkiem artystycznym — ostatnich lat — kinematografii radzieckiej.

Na liście tytułów premierowych są aż cztery „półkownik" („Pożegnanie", „Temat", „Próba wierności", „Plumbum czyli niebezpieczna gra").

Przewidziane są również liczne seminaria, prelekcje i konkursy o kinie radzieckim.

NA CYKL KONCERTÓW przyjechał do Polski słynny „klan" muzyczny Ojstrachów.

Wraz z Igorem Ojstrachem występować będzie jego syn Walery który poszedł w ślady ojca, oraz żona — Natalia Zierca1owa (pianistka).

Nasz kraj jest szczególnie bliski sercu Igora Ojstracha. Tutaj rozpoczął bowiem światową karierę artystyczną, zdobywając pierwszą nagrodę w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu.

W JEDNYM Z WYWIADÓW dla prasy amerykańskiej, wybitny radziecki poeta Jewgienij Jewtuszenko powiedział:

„To poeci ukształtowali ludzi, którzy dzisiaj przekształcają Związek Radziecki (...) Dzisiejsza »głasnost« jest dalekim echem naszych poetyckich posłań... Niektórzy z dzisiejszych przywódców przedzierali się, często bez biletów, do domów kultury, do teatrów, w których czytaliśmy poezję (...).

Myślę, że moja generacja poetów zrobiła wiele, aby przebić żelazną kurtynę (...)"

WYBITNY ŁÓDZKI UCZONY, współtwórca polskiej demografii, prof. dr Edward Rosset obchodził 90-lecie urodzin.

Z tej okazji, list z gratulacjami i serdecznymi życzeniami wystosował do Jubilata m.in. I sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa — gen. armii Wojciech Jaruzelski.

PIERWSZY W POLSCE tygodnik osiedlowy pod nazwą „Pasmo" — adresowany do mieszkańców warszawskiego Ursynowa — wzbudził duże zainteresowanie w Stolicy.

Pachnący jeszcze farbą drukarską pierwszy numer „Pasma". kolportowali pod koniec ubiegłego miesiąca dziennikarze tej gazety.

Marek Przybylik — redaktor naczelny nowego pisma — wysłuchiwał na gorąco, wraz z zespołem redakcyjnym, uwag i propozycji czytelników.

Należy sądzić, znając jego dziennikarskie zainteresowania z „Życia Warszawy", że odtąd ursynowscy handlowcy nie zaznają „błogiego spokoju".

W MYŚL UMOWY zawartej na Międzynarodowych Targach Książki w Belgradzie między Wydawnictwem Łódzkim i belgradzką oficyną „Novo Dela" — od przyszłego roku ukazywać się będzie w Jugosławii seria pn. „Biblioteka polska" (na wzór Biblioteki jugosłowiańskiej", której patronuje WL).

Zapoczątkują ją utwory Witolda Gombrowicza i Wojciecha Żukrowskiego.

NASZA KULTURA narodowa wzbogaciła się niedawno o bezprecedensowy dar od rodaków zamieszkałych na obczyźnie.

Państwo Janina i Zbigniew Karol Porczyńscy ofiarowali Muzeum Archidiecezji Warszawskiej kolekcję obrazów, składającą się z dzieł artystów tej miary, co Tycjan, Rembrandt, Rubens, van Gogh, Renoir...

Kilka obrazów ofiarodawcy przekazali również muzeom państwowym.

W ZORGANIZOWANYM przez katowicki „Sport" konkursie na reportaż pod hasłem „Po prostu przyjaźń", pierwszą nagrodę (równorzędną z Janem Dziadulem z Katowic) otrzymał znany łódzki dziennikarz — Zbigniew Wojciechowski.

OD KILKU MIESIĘCY Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej organizuje — wespół z Łódzkim Domem Kultury — koncerty kameralne.

Kolejny wieczór odbędzie się 25 bm. w Sali Kolumnowej ŁDK, wystąpi Kubin-Quartet z Czechosłowacji (zespół działający od 15 lat i mający na swym koncie liczne sukcesy w międzynarodowych konkursach). Wykonane zostaną kompozycje Haydna, Szostakowicza i Janaczka.

ROMAN POLAŃSKI — podczas pobytu w kraju — wyznał m.in.:

„Gdy byłem w łódzkiej szkole, wydawało mi się, że to strata czasu. Trzeba było dojrzałości i dystansu, żeby uświadomić sobie, jak wiele zawdzięczam pałacykowi na Targowej. Im jestem starszy, tym częściej wracam myślami do Łodzi, do przyjaciół z tego okresu: Kostenki, Kondratiuka, Leszczyńskiego, Kluby".

ADRIANNA BIEDRZYŃSKA (panna, lat 25), aktorka Teatru Nowego, absolwentka PWSTviT w Łodzi, gra jednocześnie w trzech filmach: Istvana Szabo, Wojciecha Hasa i Andrzeja Domalika.

Wojażuje więc między Budapesztem, Pragą, Zakopanem, Wiedniem i Berlinem Zachodnim.

Jej partnerem w „Hanussenie" Istvana Szabo jest sam... Klaus Maria Brandauer.

Jak powiedziała młoda, wybijająca się artystka: — zawsze chciałaby być tak zapracowana i grać z takimi aktorami.

W czasie letnich wakacji lubi relaksować się na nartach wodnych.

Oprac. JAX

ANATOLIJ RYBAKOW

(23)

Dzieci Arbatu

Jest ogromny dom bez słońca, bez powietrza, wydychający z piwnic zapachy kiszonej kapusty i gnijących kartofli. Przeludnione wspólne mieszkania z kłótniami, sądami. Schody, przesiąknięte zapachem kotów. Kolejki po chleb, cukier, margarynę. Nie zrealizowane kartki. Inteligentni mężczyźni w połatanych spodniach. Inteligentne kobiety w wyświechtanych bluzkach.

I obok, na rogu Arbatu i Smoleńskiej, sklep Torgsinu, gdzie jest wszystko, ale tylko dla posiadaczy złota i obcej waluty. I także obok, w zaułku Płotników, zamknięta rozdzielnia, gdzie też jest wszystko. I również tutaj na Arbacie — jest „Piwniczka arbacka", gdzie też jest wszystko, ale dla tych, którzy mają dużo pieniędzy. Podle, niesprawiedliwie.

W szóstej klasie Waria należała do kółka teatralnego, prowadziła je była aktorka Jelena Pawłowna. Aktywiści oskarżyli ją o to, że wystawia Ostrowskiego i Gribojedowa, a nie wystawia propagandowych sztuk radzieckich autorów. Jelenę Pawłownę zwolniono, a miała na utrzymaniu chorą córkę. Warię przerażało okrucieństwo, z jakim starego człowieka pozbawiono kawałka chleba. Od tamtej pory minęły trzy lata, kółko teatralne nie wznowiło działalności, nie można było znaleźć instruktora za taką nędzną stawkę. Położono całą sprawę. I nikt za to nie odpowiadał. Waria uciekała ze szkolnych zebrań, tam o wszystkim decydowano wcześniej, a wyciągać ręce — to jest poniżające. I Ninka ich broni, Ninka jest głupia, na każde pytanie ma gotową odpowiedź. Pytania są różne, a odpowiedzi jednakowe.

Waria chroniła się na podwórzu pomiędzy chłopcami i dziewczynkami, tak samo zagubionymi, jak i ona. Nie wolno palić — chłopcy palili, malowanie ust jest karygodne — dziewczyny malowały, pudrowały się, zapuszczały włosy, nosiły ażurowe pończochy, jaskrawe apaszki.

Ale teraz i to przestało ją interesować. Wstrząs, którego doznała Waria na dworcu, pchał ją na drogę poszukiwania innej niezależności. I w owym czasie już zdecydowanie podwórko zastąpiło inne towarzystwo.

6.

Dwudziestego dziewiątego czerwca rozpoczęło obrady plenum KC, a trzydziestego przyszła wiadomość o zabójstwie dowódcy sztabu szturmowców Roehma i wielu dowódców SA. Akcją, która weszła do historii pod nazwą „noc długich noży" kierował osobiście Hitler.

Już pierwszego lipca „Prawda" i inne gazety opublikowały artykuły, między innymi artykuły Zinowjewa i Radka, w których wydarzenia te oceniono jako konwulsje reżimu faszystowskiego, zwiastujące jego nieuniknione załamanie.

Stalin nie protestował przeciw takiemu podejściu: słabość czyjejś władzy uwypukla się własnej. Chociaż sam dobrze wiedział, że rozłam nie osłabia ruchu politycznego, lecz rozszerza jego bazę społeczną, przyciągając doń różnych zwolenników i wzmacniając w walce z rozłamowcami nurt główny. Najbardziej oczywistym przykładem tego jest chrześcijaństwo.

Lenin nie obawiał się rozłamu, zanim zagarnął władzę państwową, ale rozłamu wewnątrz rządzącej partii obawiał się. W tym tkwi przyczyna jego tak zwanego testamentu. Władzę państwową pojmował jako czynnik jednoczący ludzi, zainteresowanych jej utrwaleniem i umocnieniem. Ale tak naprawdę, to władza dzieli, ponieważ każdy dąży do jej zagarnięcia. Czynnikiem konsolidującym władzę staje się wówczas, gdy jest ona skoncentrowana w takich rękach, z których nie tylko nikt nie jest w stanie jej wyrwać, ale nawet nie śmie o tym zamyślać.

W tym celu należy wytworzyć w narodzie przekonanie o niezłomności władzy i zniszczyć tych, którzy są zdolni do targnięcia się na nią.

Lenin swoją partię doprowadził do rewolucji, on ją stworzył i nikt nie sięgał po jego władzę. Dzisiaj jest inna sytuacja. ON, Stalin, umacnia swoją władzę w warunkach, kiedy jest do niej wielu pretendentów, przekonanych, że mają większe prawa niż ON do spuścizny po Leninie. Nawet pokonani nie tracą nadziei. Choćby ten Zinowjew... Czy nie rozumie, że zabójstwo Roehma nie osłabia, ale wzmacnia Hitlera? Nie jest nowicjuszem w polityce. I łotr Radek też rozumie. Ale chcą wpoić masom partyjnym przekonanie, jakoby wszelkie rozłamy osłabiały władzę, jakoby fizyczne zniszczenie przeciwników było właściwe tylko faszyzmowi, a bolszewizm, rzekomo, odwrotnie — zawsze dążył do zwarcia szeregów, swoich sił. Oni stanowią siłę?! Dawno powinni byli wycofać się z polityki. Nie wycofują się. Piszą, występują, przypominają o sobie, chcą być na widoku, na powierzchni, szamocą się, czekają swojego czasu, straszą go wojną. Co więcej, oni tę wojnę prowokują. Jakże inaczej można ocenić zamiar redakcji pisma „Bolszewik" opublikowania artykułu Engelsa „Polityka zagraniczna rosyjskiego caratu"? Skąd nagle? Po czterdziestu latach od jego powstania? Na dwudziestą rocznicę wojny światowej, myślałby kto. Prymitywny wybieg Zinowjewa — członka kolegium redakcji „Bolszewika", na który, jednak, dał się nabrać redaktor naczelny, bałwan Knorin.

W swoim artykule Engels twierdzi, jakoby w okresie największej potęgi wojskowej Rosji kierowali nią utalentowani cudzoziemscy awanturyści, głównie Niemcy: Katarzyna Druga, Nesselrode, Lieven, Hirs, Benkendorf, Dubelt i inni. Po co to podkreślać właśnie teraz? Po co dawać kartę hitlerowskiej propagandzie, gloryfikując Niemców? Po co w ogóle podkreślać rolę elementu nierosyjskiego w kierownictwie Rosji? Czyż nie jest to aluzja do niego, do jego gruzińskiego pochodzenia? Zinowjew i Knorin też nie są Rosjanami, ale kto o nich myśli, komu są potrzebni?! Takie skojarzenie nie przyjdzie nikomu do głowy. Do głowy przyjdzie towarzysz Stalin, na to jest to pomyślane. A całą koncepcję o nierosyjskim elemencie podrzuca się czystej krwi Rosjaninowi — Kirowowi, jemu daje się w prezencie tę wygraną, na niego teraz stawiają w pierwszym rzędzie, tak samo, jak w swoim czasie stawiali na towarzysza Stalina, żeby usunąć Trockiego.

Ale tym razem posunęli się dalej, dużo dalej. Jako że nie tylko tezę o nierosyjskim elemencie w kierownictwie Rosji dojrzeli w artykule Engelsa. Engels nazywa Rosję ostoją europejskiej reakcji, oskarża o ekspansję, przyszłą wojnę przeciwko Rosji przedstawia omalże jako wyzwoleńczą. Tak też pisze: „Zwycięstwo Niemiec to znaczy zwycięstwo rewolucji... Jeśli Rosja rozpęta wojnę — dalej, na Rosjan i ich sojuszników, ktokolwiek by to był". I ani słowa o sprzecznościach pomiędzy Anglią i Niemcami, a przecież to właśnie stało się głównym czynnikiem wybuchu wojny światowej. Nie wszystko, jak widać, potrafił przewidzieć Engels.

A zatem, najważniejszy sens publikacji tego artykułu jest taki: ONI chcą pokazać Hitlerowi, że w ZSRR istnieją siły oczekujące wojny, w wojnie pokładające wszystkie swoje nadzieje na obalenie obecnego kierownictwa, i dlatego gotowe dobić targu z Hitlerem, ustąpić mu co nieco; dać mu iluzję sukcesu w polityce zagranicznej, potrzebną mu do usprawiedliwienia idei odwetu, a w idei tej tkwi cała siła Hitlera, wokół niej skupia naród.

Jednak narodowi radzieckiemu wojna nie jest potrzebna. Związek Radziecki nie jest gotowy do wojny — przemysłowy rozwój kraju jeszcze się nie zakończył. Wojna potrzebna jest IM, i tylko IM, jako że innymi sposobami, aby obalić JEGO, nie dysponują, innych dróg do objęcia władzy nie widzą. W ustnych wystąpieniach Zinowjew i Radek ja-

G. Zinowjew.

wią się jako nieprzejednani przeciwnicy Hitlera, a próbując dzisiaj opublikować artykuł Engelsa, przysługują się Hitlerowi, podgrzewają jego ambicje, podrzucają mu pomysły porozumienia z Zachodem, szykują zmowę za JEGO plecami i JEGO kosztem.

Stalin wziął arkusz papieru, umoczył pióro w atramencie i swoim drobnym, ale czytelnym pismem napisał list do członków Biura Politycznego o artykule Engelsa. Tylko o zawartości artykułu. Swoich własnych przemyśleń, związanych z Zinowjewem, Radkiem i Kirowem, nie przedstawił i ich nazwisk nie wymieniał. List Stalin zakończył tak:

„Czy powinniśmy po tym wszystkim, co było powiedziane, publikować artykuł Engelsa w naszym bojowym organie, w „Bolszewiku", jako artykuł przewodni, albo, w każdym razie, głęboko pouczający, bo jest jasne, że opublikować go w „Bolszewiku", to znaczy dać mu taką właśnie cichą rekomendację?

Myślę, że nie powinniśmy. J. Stalin".

Potem przeciął gabinet i otworzył drzwi do pokoju przyjęć, które jednocześnie służyły też jako gabinet Poskriebyszewa. Stalin rzadko używał dzwonka, jeżeli potrzebny mu był Poskriebyszew, otwierał drzwi i prosił go, albo za jego pośrednictwem wzywał osobę, której potrzebował. Poskriebyszew zawsze był na miejscu, a jeśli oddalał się na krótki czas, to zamiast niego przy biurku siedział Dwinskij.

Poskriebyszew był na miejscu. Stalin podszedł do wiszącego na ścianie wykazu. Codziennie wprowadzano do niego dane o przebiegu siewów — wiosną, żniw — latem, dostaw — jesienią. Jak zwykle, uważnie na niego popatrzył i jak zwykle ani słowem nie skomentował. Wracając do gabinetu, powiedział do Poskriebyszewa:

— Wejdźcie.

Poskriebyszew wszedł za Stalinem do gabinetu, ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi (Stalin nie lubił, kiedy drzwi pozostawały otwarte, ale także nie lubił, kiedy nimi trzaskano), i zatrzymał się o kilka kroków od biurka, tak by nie stać koło Stalina (tego Stalin też nie lubił), a dostatecznie blisko, żeby słyszeć cichy głos Stalina i o nic nie pytać (Stalin nie lubił, kiedy go pytają).

— Weźcie ten list — rzekł Stalin.

Poskriebyszew podszedł, wziął podawane mu kartki.

— Zapoznajcie z listem członków Biura Politycznego. Razem z listem roześlijcie członkom Biura Politycznego projekt uchwały: towarzysz Knorin zostaje zwolniony z funkcji redaktora naczelnego czasopisma „Bolszewik". Na funkcję redaktora naczelnego powołuje się towarzysza Steckiego. Zinowjew zostaje wykluczony ze składu kolegium redakcji „Bolszewika", zamiast niego zostaje wprowadzony towarzysz Tal.

Poskriebyszew rozumiał w pół słowa, czego chce towarzysz Stalin. W tym wypadku towarzysz Stalin chce: a) żeby jego list pozostał w jednym egzemplarzu i po przeczytaniu przez członków Biura Politycznego żeby został umieszczony w jego osobistym sejfie; b) list wyjaśnia członkom Biura Politycznego przyczyny zmian w składzie kolegium redakcji „Bolszewika"; oficjalnego wyjaśnienia tych przesunięć nie będzie.

— Tak jest! — odpowiedział Poskriebyszew.

Ale nie odchodził. Posiadał jeszcze jedną cechę: z twarzy Stalina dokładnie wiedział, czy ma już odejść, czy jeszcze zostać.

Stalin wziął z biurka ciemnoczerwoną safianową teczkę i podał Poskriebyszewowi.

— Pocztę zabierzcie.

Teraz Poskriebyszew wiedział, że ma odejść, cofnął się, potem się odwrócił i wyszedł z gabinetu, znowu starannie i ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi.

Usiadłszy przy swoim biurku, Poskriebyszew przejrzał zwróconą mu przez Stalina pocztę w safianowej teczce.

Korespondencję towarzyszowi Stalinowi przedkładano najważniejszą. Umiejętność odróżniania ważnego od nieważnego była zaletą Poskriebyszewa. Przeczytać całej korespondencji, która przychodziła do Stalina, on sam, oczywiście, fizycznie nie był w stanie, zajmowali się tym specjalni ludzie w sekretariacie, sortowali pocztę i przekazywali Poskriebyszewowi to, co uważali za istotne. A dopiero on sam wybierał to, co uważał za wskazane do przekazania. Ludzie w sekretariacie rozumieli, o co chodzi w ich pracy, wiedzieli, czego się od nich żąda, wiedzieli, że listy, dotyczące członków KC, a szczególnie członków Biura Politycznego, należy przekazywać obowiązkowo. Pocztę Poskriebyszew kładł na biurko towarzysza Stalina co rano, w tej samej czerwonej safianowej teczce, a zabierał, kiedy Stalin sam ją zwracał, jak zwrócił dzisiaj.

Jak zwykle, zwróconą mu korespondencję Poskriebyszew rozłożył na dwie kupki: listy, które dotknęło pióro towarzysza Stalina i listy, których jego pióro nie dotknęło. Pierwsze zaraz przekazywał do sekretariatu, żeby wciągnięto je do rejestru i postąpiono z nimi zgodnie z decyzją Stalina. Pozostałe, to znaczy listy, na których nie było żadnej decyzji, nie były rejestrowane i przechowywano je w sejfie do czasu, aż ich zażądał towarzysz Stalin.

Ale jeszcze jedna grupa listów — te, których Stalin nie zwracał od razu, a zdarzało się, że i w ogóle nie zwracał, przechowywał u siebie, a bywało, że i niszczył. Były to listy wyjątkowej wagi.

Kładąc rano korespondencję na biurku towarzysza Stalina, Poskriebyszew przeliczał i notował liczbę listów. Odbierając korespondencję od Stalina, znowu ją przeliczał i w ten sposób wiedział, ile listów Stalin zostawił u siebie. Wiedział także, które mianowicie zostawił. Miał chwytliwą kancelaryjną pamięć: kładąc rano Stalinowi na stół korespondencję, pamiętał w ogólnych zarysach jej zawartość.

Tym razem wszystko było na miejscu, oprócz zamkniętej koperty z raportem Jahody. Ale te koperty Stalin zawsze zostawiał u siebie.

7.

Mark Aleksandrowicz przyjechał do Moskwy dwudziestego dziewiątego czerwca, rano, akurat na rozpoczęcie plenum KC, i wyjechał pierwszego lipca wieczorem, skoro tylko plenum zakończyło obrady. Spieszył się. Czeka go rozruch walcowni, z jej rozruchem huta stanie się przedsiębiorstwem o kompletnym cyklu produkcyjnym. Największe dzieło życia Marka Aleksandrowicza — stworzenie największego na świecie metalurgicznego giganta — będzie ukończone.

Z posiedzenia plenum Mark Aleksandrowicz nie wychodził. Omawiane problemy — dostawy zboża i mięsa, poprawa i rozwój hodowli — są częścią polityki ekonomicznej partii, i on, jeden z kierujących gospodarką, ma obowiązek być na bieżąco ze wszystkimi jej zjawiskami. Nie zaszedł nawet do ludowego komisariatu: główne zadanie — rozruch walcowni — decyduje się już nie w Moskwie, ale tam, w hucie.

I tylko jedna, nie związana z plenum sprawa czekała Marka Aleksandrowicza — spotkanie z Sonią. Sasza dostał wyrok, został zesłany i już nic nie może mu pomóc. Nie pomogły starania przed ogłoszeniem wyroku, tym bardziej nie pomogą teraz: wyrok Specjalnego Posiedzenia nie podlega apelacji. To, że w sprawie Saszy zabiegał on, Riazanow, zastępca członka KC, niewątpliwie dotarło do samej góry, jednak Sasza został skazany, to znaczy, że jest w coś zamieszany. Ale to nie jest katastrofa: Sasza jest młody, trzy lata szybko miną, życie przed nim.

A jednak myśl o Saszy dręczyła Marka Aleksandrowicza. W jego rodzinie zdarzały się komplikacje, ale z tymi sprawami wszystko zawsze było w porządku, czysto, jasno, bez żadnych odchyleń, żadnej frakcyjności — ani w jego przypadku, ani w przypadku jego bliskich. Wyrósł w rodzinie, nie mieszającej się do polityki, tylko on, Mark, został członkiem partii. Jego siostry są bezpartyjne, ich mężowie także. Członka partii, komunistę, widział w Saszy. I oto, co się stało z Saszą. Jego, Riazanowa, siostrzeniec skazany z artykułu pięćdziesiąt osiem — kontrrewolucyjna agitacja i propaganda. Mark poczuwał się do winy wobec partii — nie dopatrzył, nie dopilnował, zaniedbał. Pozostała na nim plama. Gdyby coś takiego zdarzyło się zaraz po rewolucji, to by było zrozumiałe: rewolucja niejedną rodzinę rozdzieliła. Gdyby się coś takiego zdarzyło nawet w latach dwudziestych, też dałoby się to objaśnić: lata dwudzieste — to lata zmiany kierownictwa, lata odchyleń, opozycji, pociągającej dla pewnej części naszej młodzieży, zwłaszcza młodzieży uczącej się, demagogii Trockiego. Ale teraz, w trzydziestym czwartym roku, kiedy na zawsze skończono z odchyleniami i opozycjami, kiedy okrzepło nowe kierownictwo partyjne, ustabilizowała się generalna linia partii, kiedy w partii i w narodzie panuje niebywała jedność i zwartość, to co stało się z Saszą, jest niesłychane, skandaliczne, rzuca cień także na niego.

Czego Saszy brakowało? Miał wszystko: Moskwę, dom, instytut, piękną przyszłość. Konflikt z wykładowcą, gazetka ścienna — za to nie mogli go wsadzić, za to nie mogli go skazać. To znaczy, że było coś jeszcze, to znaczy, że coś ukrywał. Poddał się czyjemuś wpływowi? Ale przecież nie jest małym chłopcem, dwadzieścia dwa lata, jest dorosłym człowiekiem, ma obowiązek myśleć. I nie tylko o sobie. Ma obowiązek myśleć o matce, mógłby pomyśleć też o wuju, który zastąpił mu ojca, pomyśleć, jak to się odbije na nim, na jego sytuacji, na jego reputacji w partii i w kraju. Nie pomyślał. Nie liczył się z tym. Dlaczego? Mędrkował. „Przydałoby się więcej skromności" — to on, smarkacz, śmiał powiedzieć o Stalinie, śmiał roztrząsać, jaki ma być Stalin. Mark Aleksandrowicz ma w kombinacie jedenaście tysięcy komsomolców, chłopców i dziewcząt, oni pracują. Po szesnaście godzin na dobę pracowali, kiedy wznosili drugi piec, bez wolnych, zimą, w siarczyste mrozy, w lodowatym wietrze. Wrócił z Moskwy (wezwał go na kilka dni Ordżonikidze) — doniesiono mu: piasek, żwir i cement zamarzają w wagonach. A beton powinien być ciepły. I ci chłopcy i dziewczęta, którzy dopiero co przyjechali ze wsi, przecież się domyślili: rozpalili w parowozach, przeciągnęli rury, rurami całą dobę przesyłali parę i gorącą wodę — oto, jak pracowali, ubiegając się o zaszczyt nazwania tego drugiego pieca komsomolskim. Jedzenie gotowali sobie zaraz obok w ogniskach. Konie grzęzły w glinie, taczki staczały się z desek — głównym środkiem transportu był wóz, wykopy, góry ziemi, kurz do samego nieba, hałas, huk — oto z jakiego chaosu powstał największy, nowoczesny zakład. I ci młodzi ludzie, młodzi entuzjaści, nie oszczędzali się, nie rozprawiali o trudnościach. Mieszkali nie na Arbacie w domu z wygodami, tylko w namiotach, ziemiankach, barakach, cała rodzina na jednej pryczy, na jednym sienniku, wypchanym sianem. Mieli wszystko. Wszy, pchły, karaluchy, tyfus... Brakowało nauczycieli, dzieci uczyły się w tych samych barakach, w których spały, filmy wyświetlano pod gołym niebem, sklepy urządzano w szopach, a co w sklepach — puste półki. Przodowników nagradzano talonem na spodnie, na spódnicę, na buty, a czasem po prostu torebką landrynek. I z takiego wyróżnienia byli dumni. Rozumieli, że tworzą bastion socjalistycznego przemysłu, pokonują wielowiekowe zacofanie kraju, umacniają jego siłę obronną, jego samowystarczalność ekonomiczną, budują nowe, socjalistyczne społeczeństwo.

Oto, co rozumieli ci chłopcy i dziewczęta. Oni nie stawiali zarzutów towarzyszowi Stalinowi. Stalin — to symbol ich życia, ich bezprzykładnego trudu. Oni, ci chłopcy i dziewczęta, tworzą historię, oni, a nie jego siostrzeniec Sasza, który się stoczył do więzienia i do zesłania na Syberię.

Mark Aleksandrowicz podszedł do dobrze znanego domu siostry.

Od frontu budynek był wyłożony glazurą, nad kinem „Arbacki Ars" wiatr poruszał jaskrawe afisze, głębokie podwórko otoczone ciasno stojącymi budynkami. Sasza często się tu bawił, wybiegał na spotkanie, wyciągał do niego ręce i razem z nim szedł na górę do mieszkania, krzyczał radośnie: „Wujek Mark przyjechał, hura!" — wyraźnie artykułował wszystkie „r" i „l".

Tak, świat nie jest bezchmurny, towarzyszą nam niedole, teraz zwaliły się na Sonię, najłagodniejszą i najbardziej bezbronną z jego sióstr: mąż odszedł, zesłano syna. Było mu jej żal wtedy, kiedy odszedł Paweł Nikołajewicz, ale nie był w stanie jej pomóc, i dzisiaj jest też bezsilny. Może dać jej tylko swoją miłość, współczucie, pomoc materialną. Musi wytrwać, musi być dzielna. Nieszczęścia nie są wieczne, mijają.

Przypomniał sobie ostatnie odwiedziny u siostry. Jaką miała żałosną, rozedrganą twarz, jak się płaszczyła przed nim w rozmowie, jak gorączkowo szukała jakichś papierków, wygładzała je nerwowymi palcami. Jeszcze zanim wszedł do mieszkanie, poczuł łamanie w karku. Zaraz znowu zobaczy jej wzrok pełen nadziei i strachu, że te nadzieje się nie spełnią. Nic nie można zrobić dla Saszy, czas to zrozumieć i pogodzić się z tym. Sasza będzie w domu za trzy lata.

Zofia Aleksandrowna tylko co wróciła z pracy, podgrzewała obiad. Przywitała się z nim spokojnie, bez tej radości, z jaką witała go zazwyczaj. Przedtem przygotowywała się na jego przyjście, piekła pieróg, stroiła się, teraz zaś przyszedł do domu samotnej pracującej kobiety, która codziennie chodzi do pracy i dlatego jest jej nie do pierogów i przyjęć. Przywitała się z bratem, zaproponowała mu obiad, chociaż nie była pewna, czy będzie jadł zupę z perlakiem i pekławane mięso z kartoflami smażonymi na margarynie. Obojętnie popatrzyła na paczkę, przyniesioną przez Marka, na zawiniątka, które wyjął z teczki. Mark pomyślał z zadowoleniem, że praca korzystnie wpłynęła na siostrę, zmieniła ją. Dawniej była tylko żoną, matką, gospodynią domu. Teraz życie zawodowe, kolektyw, sprawy, rozgrywające się poza domem, odciągnęły ją od przeżyć osobistych, rozprzestrzeniły jej świat, przydały odporności i siły.

Mark Aleksandrowicz cieszył się za siostrę i za siebie: wizyta nie będzie taka trudna, jak się obawiał.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

WSZYSTKIM JEDNAKOWO CZY WEDŁUG PRACY?

Przeczytałem artykuły L. Włodkowskiego „Jeśli nie my, to kto" (nr 44) i „Nie wybieram się na Haiti" oraz Jerzego Kwiecińskiego „Wokół gwarancji" (nr 45) i uznałem, że powinienem powiedzieć, co ja myślę o sprawach w nich poruszonych. Moje poglądy w wielu punktach będą zasadniczo odmienne od zdania obu autorów, a nawet poglądów powszechnie prezentowanych przez publikatory.

Najpierw sprawa gwarancji. Pisze L. Włodkowski „Gwarancji nikt nam nie da. Gwarancją może być tylko nasza praca, nasz inny, nowy, rewolucyjny sposób myślenia i postępowania" J. Kwieciński twierdzi natomiast, że „ludzie nie wiedzą dość jasno jakie to mają być gwarancje". Obaj autorzy zdają się zapominać, że nie wszystko, a nawet bardzo niewiele, zależy od rządzonych. To rząd ustala i zmienia przepisy organizacyjne, finansowe i prawo pracy. Uważam, że rząd powinien dać pełne gwarancje. W sposób uroczysty zapewnić naród, że będzie skrupulatnie przestrzegał praw i nakazów reformy, że nie będzie ich modyfikował w taki sposób jak to np. miało miejsce z umorzeniem należności podatkowych z tytułu FAZ, że reforma gospodarcza będzie dotyczyła w równym stopniu wszystkich przedsiębiorstw, że nie zważając na branżowe interesy ustali takie przepisy prawa pracy, które wymuszą wydajność i jakość, a to zagwarantuje osiągnięcie celu, jakim jest poprawa warunków życia za około 3 lata.

Nasze władze wciąż apelują o dobrą pracę i wszystkie niepowodzenia tłumaczą tym, że część zatrudnionych źle pracuje. Ale taką pracę umożliwiają im przepisy wydane przez władzę. Chcę również zauważyć, że jak podała ubiegłoroczna „Trybuna Ludu" tylko 25 proc. strat czasu pracy jest zawiniona przez pracowników, ale i to można wyeliminować, jeżeli weźmie się pod uwagę starą prawdę, że człowiek jest istotą myślącą. Na przestrzeni dziejów człowiek myślał nad tym jak najmniejszym wysiłkiem osiągnąć maksymalne efekty (również finansowe). Dokonał dzięki temu epokowych wynalazków. Z natury jest więc człowiek istotą niejako leniwą i egocentryczną. Tylko nadzór i kontrola wymusić więc mogą, że w danych warunkach pracował będzie wydajnie i solidnie. Może to brak wiary w człowieka, ale niestety, wiarą niewiele dotąd osiągnęliśmy. Czy możemy mieć pretensje do pracowników, że starają się maksymalnie wykorzystać przysługujące im prawa?

Wracając do spraw gwarancji, to moją wiarę w powodzenie szybkiej przebudowy podważa np. niejasność zawarta w wyjaśnieniach do pierwszego pytania referendum. Jak dotąd, mimo że pytałem w wielu miejscach, nikt nie umie odpowiedzieć na następujące pytanie: jeżeli ceny mają odzwierciedlić wartość towaru, to czy obok zapowiedzianych podwyżek mających na celu zniesienie dotacji, nastąpią również obniżki cen artykułów obłożonych wysokim podatkiem, np. telewizorów, pralek, lodówek itp.? Odpowiedź na to pytanie stanowi dla mnie rzeczywisty sprawdzian intencji władzy i gwarancję poczynań reformatorskich. Wbrew temu co niektórzy twierdzą, nie osiągniemy w sprzedaży tych dóbr cen równowagi, a ludzie stoją po nie w kolejkach, bo boją się nagłych podwyżek cen, których nie wyrównają odsetki za oszczędzanie w PKO.

Chciałbym również wypowiedzieć swoje zdanie na temat polityki płacowo-socjalnej. Uważam, że zbyt pochopnie potępiliśmy tezę o „jednakowych żołądkach". Interpretowana jest tylko ona niewłaściwie, przez potępiających ją, a więc w ten sposób, że każdy powinien dostawać tyle samo bez względu na to, czy pracuje dobrze czy źle. Ja natomiast uważam, że wszyscy bez względu na rodzaj wykonywanej pracy, wykształcenie i stanowisko powinni otrzymywać tyle samo za dobrze wykonaną pracę, a za złą potrącone odpowiednie kary pieniężne. Wobec niepoprawnych należy stosować usunięcie z pracy bez względu na warunki rodzinne i stworzyć kontrolowane bezrobocie. Bezrobotni otrzymywaliby zasiłek w wysokości 1/3 minimum socjalnego na osobę.

Moim zdaniem — system płac winien być oparty na następujących zasadach:

1. ustalenie, ogłoszenie i stałe modyfikowanie minimum socjalnego, jednakowego dla wszystkich grup ludności;
2. ustalenie preferowanego przez państwo modelu rodziny np 2 + 2;
3. płaca minimalna każdego zatrudnionego powinna wynosić co najmniej minimum socjalne pomnożone przez ilość osób w modelu rodziny; kto chce mieć więcej dzieci, jego sprawa — niech na nie dodatkowo zarobi;
4. płacę taką otrzymywałby każdy zatrudniony, natomiast małżeństwa bezdzietne z 5-letnim stażem małżeńskim, osoby samotne po ukończeniu 25 roku życia, rodzice, których dzieci usamodzielniły się, płaciliby podatek wyrównujący standard materialny;
5. za złą pracę proporcjonalna kara pieniężna.

Zalety tego systemu to:

1. umożliwienie dorobienia się bez niczyjej pomocy ludziom młodym;
2. dzieci rodzin, w których pracuje jedna osoba miałyby zapewnioną opiekę w domu, prawidłowe wychowanie i standard materialny;
3. w rodzinach, gdzie pracują oboje rodzice, byłyby pieniądze na poniesienie pełnych kosztów utrzymania dzieci w żłobku, przedszkolu itd.;
4. zapanowałaby równość ekonomiczna wszystkich obywateli związana ściśle z jakością pracy.

Zwiększanie płac następowałoby w miarę poprawy sytuacji gospodarczej przez zwiększanie kwoty minimum socjalnego o określony procent, a konieczne dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki różnice w wynagrodzeniach mogłyby wynikać tylko z: braku dostatecznej liczby chętnych do wykonywania określonej pracy, pracy wielozmianowej, pracy w dni ustawowo wolne od pracy. Trudne, szkodliwe warunki pracy rekompensować należy tylko skróconym dniem pracy i dodatkowymi urlopami zdrowotnymi. Za długoletnią pracę zamiast dodatków do pensji wypłacać znaczne jednorazowe nagrody.

Ktoś może powiedzieć, że nie będzie wtedy chętnych do wykonywania pracy nadzorczej, kierowniczej i kształcenia się. Uważam, że obawy te są nieuzasadnione. Zawsze znajdą się tacy, którzy woleli będą pracować głową, a nie rękami, a kształcić się będą zawsze ci, dla których wiedza i określony zawód będą powołaniem, co gwarantować będzie wysoką jakość i etykę ich pracy. Unikniemy również pułapek obecnego systemu, czego przykładem jest sytuacja w służbie zdrowia: — niby lekarze zarabiają mało, a kandydaci pchają się na wydział lekarski „drzwiami i oknami". Czegoś tu nie rozumiem.

Wprowadzane obecnie zmiany w systemie płac związane z atestacją i wartościowaniem pracy mogą mieć, moim zdaniem, tylko opłakane skutki. Wysoki prestiż i wynagrodzenia będą miały prace skomplikowane, wymagające wykształcenia i wyposażenia technicznego, a np. praca sprzątaczki, dozorcy, śmieciarza niczego takiego nie wymaga, pozostanie więc najmniej płatna i w niedalekiej perspektywie „dobrobyt" utonie w brudzie, śmieciach i chorobach. Wiem, że przeciw temu co piszę, zaprotestują ludzie, którzy uważają, że uczyli się i męczyli wiele lat w szkole i na studiach, więc powinni być wysoko opłacani. Uważam, że nie mają takiego prawa. Wykształcenie w Polsce zdobywa się na koszt społeczeństwa i dlatego winno się spłacić dług społeczeństwu. Na Zachodzie jest inaczej. Tam płaci się za szkołę średnią czy studia. Wykształcenie jest więc inwestycją, na której należy zarobić.

Teraz kilka słów o świadczeniach socjalnych. Uważam, że dostęp do nich jest niesprawiedliwy. Najwięcej korzystają ci, którzy mają możliwości, dostęp i lubią jeździć na klasyczne wczasy — im droższe tym lepiej. Dla wielu ludzi idealnym odpoczynkiem jest np. działka, wędrówki piesze, rowerowe itp. i to nie zorganizowane, ale samotne lub w gronie rodziny. Ci nie korzystają z funduszu socjalnego.

Każdy pracownik winien mieć własne konto socjalne, na którym pieniądze nie wykorzystane w danym roku kumulowałyby się i mógłby np. raz na trzy czy pięć lat zebrać sumę na bardzo drogie wczasy, np. zagraniczne lub wykorzystać je na zakup czy urządzenie działki, kupno sprzętu sportowego, rekreacyjnego lub indywidualną wycieczkę.

Na koniec jeszcze jedna propozycja. Szukamy rezerw, brak nam pieniędzy na służbę zdrowia, szkolnictwo i inne cele społeczne. Czas już, mówiąc o sprawiedliwości, przestać płacić zasiłki chorobowe tym, którzy popadli w chorobę z własnej winy. Dlaczego prawo do zasiłku ma ten, kto prowadząc samochód w stanie nietrzeźwym spowodował wypadek i jest niezdolny do pracy? Niech wie o tym, że nic nie dostanie siadając po pijanemu za kierownicą. To samo dotyczyć powinno tych, którzy ulegli po pijanemu wypadkowi przy pracy lub nie przestrzegali przepisów bhp.

Moje propozycje są może bardzo radykalne, ale sensowne i przyniosą pożądane skutki. Nie uważam się jednak za jedynego mądrego i dlatego dopóki jednoznacznymi argumentami nie zostaną obalone, będę je podtrzymywał. Z góry uprzedzam jednak, że argumenty typu: to trudne do wprowadzenia, nikt tego jeszcze nie robił, wymagałoby to zbyt daleko idących zmian — są dla mnie bezwartościowe.

E.G.
(Imię, nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji)

Łódź, 10 listopada 1987 r.

Cieszy mnie, gdy ktoś się ze mną nie zgadza, gdyż nie mam monopolu na rację i jeśli ktoś ma argumenty lepsze od moich, chętnie ich wysłuchuję. W polemice i w walce poglądów mogą narodzić się interesujące koncepcje, a także te już istniejące ulec niezbędnej weryfikacji. Ucieszył mnie więc list, który powyżej drukujemy, ale nie przekonują mnie zupełnie zaprezentowane tam argumenty.

I tak. Nie mogę się zgodzić z tym, że „wszyscy bez względu na rodzaj wykonywanej pracy, wykształcenie i stanowisko powinni otrzymać tyle samo za dobrze wykonywaną pracę". Nie jest to nic nowego. Już takie koncepcje, zwane „urawniłowką" próbowano lansować. Zresztą nasz obowiązujący system, trochę jest do tego zbliżony, a choć występują w nim znaczne różnice, to akurat nie tam, gdzie trzeba. Nasz system płac budowano na tej zasadzie, że dodawano płacy tym zawodom, które akurat były potrzebne.

„Urawniłowka" prowadzi do stagnacji gospodarki i życia społecznego. A dlaczego ludzie utalentowani, znakomici specjaliści, wybitni fachowcy różnych dziedzin, ludzie z inicjatywą, śmiali i odważni w podejmowaniu decyzji nie mieliby zarabiać dużo, znacznie więcej niż średniacy i przeciętniacy? Dlaczego ludzie w PRL nie mieliby się dorabiać swoją pracą, a nie tylko cwaniactwem i kombinowaniem? Jestem absolutnie za tym, aby płacić wedle pracy, a więc również stworzyć możliwość dorabiania się pracą. Może wtedy zniknęłaby emigracja zarobkowa, która nadal znakomicie rozwija się. Dlatego jestem zdecydowanie przeciw „urawniłowce", którą nam proponuje nasz Czytelnik. Zresztą —, wbrew pozorom — „urawniłowka" nie ma nic wspólnego z socjalizmem.

I druga sprawa. Jeśli mówi się u nas, że lekarze mało zarabiają — a rzeczywiście mało zarabiają — podobnie zresztą, jak i nauczyciele, to nie dlatego, że się długo i żmudnie uczyli i z tego powodu muszą zarabiać więcej. Nic podobnego. Lekarzom powierzamy nasze zdrowie i tylko dlatego powinni być dobrze opłacani w jednym miejscu, aby nie musieli dorabiać w kilku innych i popełniać „błędy w sztuce lekarskiej", co często kończy się tragicznie dla leczonego. Podobnie ma się sprawa z nauczycielami. Im powierzamy — może to zabrzmi fatalnie, bo zwrot to oklepany, ale taka jest prawda — przyszłość naszego narodu. I powinniśmy chcieć, aby ta przyszłość była dla narodu pewna, a nie wadliwie wychowywana, uczona i przygotowywana. Zależność między oświatą a sposobem funkcjonowania państwa zauważono już bardzo dawno. Tylko jakoś nikt nie potrafi u nas z tego wyciągnąć właściwych wniosków.

Reszta koncepcji opiera się na przesłankach wynikających z „urawniłowki", a skoro podważam przesłanki, to i o reszcie koncepcji nie dyskutuję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY W ŁODZI WARTO ORGANIZOWAĆ FESTIWALE POEZJI?

Zaledwie kilka tygodni minęło od ostatniego XV Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji zorganizowanego tradycyjnie już w Sieradzu i w Łodzi. Miałam zaszczyt przysłuchiwać się prawie wszystkim obradom, dyskusjom począwszy od I Festiwalu w 1966 r., na ostatnim XV — kończąc.

Może wybaczą mi poeci i krytycy literatury, że dyskusję, albo głos w dyskusji, która i tak się toczy wokół Festiwalu Poezji, przeniosę na łamy prasy. A zatem: czy należy organizować w Łodzi następne, kolejne Festiwale Poezji? To pytanie zadają niestety, coraz częściej działacze kultury, dysponenci środków finansowych, a także i inne kręgi mieszkańców Łodzi (— czytelników). Jest to pytanie zadawane również i przez samych poetów.

Może więc warto wspólnie zastanowić się nad odpowiedzią? Szczególnie teraz, kiedy jest jeszcze to pytanie „ciepłe" i kiedy jest jeszcze sporo czasu przed podjęciem decyzji w sprawie następnego festiwalu, zwłaszcza że wiele głosów jest nieprzychylnych i radzi zaprzestania organizacji festiwalu na ostatnim, czyli XV. Skąd takie nieprzychylne opinie?

Hasło ostatniego festiwalu brzmiało: „Między retoryką a milczeniem". **Po dyskusji, która toczyła się w drugim dniu obrad** w murach Miejskiej Biblioteki im. L. Waryńskiego należałoby powiedzieć, że o poezji współczesnej prawie nic się nie mówiło. Widać **realizowało się drugi człon hasła festiwalu: milczenie.**

Dwa referaty: „Poeta wobec historii" — Mariana Kisiela i „Między Scyllą baroku a Charybdą szczery" — Leszka Żulińskiego, były jedynym pretekstem spierania się nie o sens poezji, a nawet wartość referatów, ale o pojedyncze sformułowania referatów w oderwaniu od kontekstu. A przecież była to znakomita okazja, aby omówić w najbardziej kompetentnym gronie sytuację poezji współczesnej, odpowiedzieć na szereg pytań, m.in.: dlaczego obserwujemy spadek zainteresowania poezją współczesną? A może zajwisko inflacji objęło również poezję?, całe życie kulturalne? Może język mass mediów sprawia, że występuje zapotrzebowanie na inne słowo, słowo szyfr, a poeci w związku z tym tak już zaszyfrowali swoje słowa, że czytelnik nie znajduje do nich kluczą i odrzuca poezję w ogóle?

Może należałoby właśnie na festiwalu odpowiedzieć sobie szczerze, czy nadal należy troszczyć się o szeroką popularność poezji, czy tylko tworzyć warunki, by po tomik poetycki mógł sięgnąć każdy dla kogo słowo poetyckie jest potwierdzeniem egzystencjalnej odrębności, potrzebę intymnego dialogu z twórcą. Czy poezja ma być wizją tego świata, czy ocaleniem od niego, czy po prostu składnikiem codzienności? Myślę, że na te lub może na zupełnie inne jeszcze pytania powinny paść tu odpowiedzi.

Jedno jest pewne, że dyskusja powinna dotyczyć sporu o poezję. Czytelnicy czują się zagubieni. Poezja jest zaszyfrowana. Nie pomagają należycie krytycy, a sami poeci widać też się pogubili, bo kto ma rację? Czy Tadeusz Chróścielewski, który w dniach trwania festiwalu mówi (cytuję z pamięci), że rozczarowuje go ostatnio poezja, a poeci zajmują się raczej sobą i to od pasa w dół, czy Marek Wawrzkiewicz, który dwa dni później stwierdza również w telewizji (również cytuję z pamięci), że żyjemy w czasach wielkich indywidualności w poezji i fenomenów, co czas potwierdzi niewątpliwie. **KOGO SŁUCHAĆ**, komu wierzyć? Dwaj poeci piszący współcześnie, dwa AUTORYTETY i sądy też dwa. Tyle, że krańcowo różne.

W dyskusji dalszej padało wiele nieprzychylnych słów pod adresem krytyków, ale ani jednego wyraźnie sformułowanego zarzutu poza jednym, że krytyka stała się informacyjną. Czy słuszny to zarzut, czy tylko źle sformułowany? Bo niby dlaczego krytyka ma się wyrzekać jednej ze swoich funkcji, jeżeli rzeczywiście nie najważniejszej, to w każdym razie ważnej. Zarzutem winno być chyba to, że zbyt rzadko spełnia pozostałe funkcje choćby instrukcyjną czy orientacyjną.

Czytelnik niezwykle ceni sobie zwykle informacje o nowościach, wznowieniach literackich, ułatwia mu to bowiem wybór literatury. Taka krytyka nie musi być naukowa, postulatywna czy historycznoliteracka, choć szkoda, że tak rzadko wartościuje się wychodzące tomiki. A jeżeli już, to jedna recenzja jest od sasa druga od lasa.

Nie ukrywam, że jeszcze niepokoi mnie jedno pytanie, czy krytyka, owa myśl wartościująca sama nadąża za przemianami w poezji? Nikt nie zadał takiego pytania. Może byłoby niegrzeczne? Czasem jednak dobrze jest pokłócić się, trochę posprzeczać. Może wyłoniłaby się z tej kłótni odpowiedź: regres, udziwnienie, czy myśl fenomenalna?

Wyjątkowo jest przecież na festiwalach poezji okazja do owienia aktualnej kondycji poezji polskiej. Odbywają się one wszak dość często co 2 lata (poza jedną 5-letnią przerwą między XIII a XIV). Choć łza się kręci na wspomnienie jeszcze tych, które odbywały się z reguły w maju każdego roku. Jakież nazwiska notowaliśmy wśród zaproszonych gości spoza Łodzi, choćby wśród gości jurorów: Juliana Przybosia, Kazimierza Wykę, Jana Błońskiego, Mieczysława Jastruna, Jana Zygmunta Jakubowskiego, Artura Sandauera, Ernesta Brylla, Wisławę Szymborską, Anatola Sterna itd. Lista zaproszonych spoza Łodzi poetów też była imponująca. Nie sposób wszystkich wymienić, każdego festiwalu. Przykładowo wymienię poeów-gości z VI Festiwalu: Zbigniewa Herberta, Urszulę Kozioł, Edwarda Stachurę itd. Na VII Festiwal został zaproszony m.in. Jan Brzękowski z Paryża i wiele kolejnych znakomitych poetów. Co zatem stało się teraz?

Nie jestem zwolenniczką zebrań i narad, ale może tym razem warto by spotkać się w gronie tradycyjnych organizatorów i odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Ustalić dużo wcześniej program festiwalu, podzielić kompetencje, zabiegać o tzw autorytety w Polsce, zadbać o spotkania autorskie z prawdziwego zdarzenia. Chyba należy przekonać środki masowego przekazu, że ogólnopolska impreza winna być inaczej zaznaczona na mapie kulturalnej Polski. Wydział Kultury i Sztuki UML musi mieć prawo koordynacji również terminów większych imprez w mieście. Nic bardziej fatalnego, niż utopić festiwal w barwnym, ciekawym skądinąd widowisku, jakim były Imieniny Piotrkowskiej. Nie muszę dodawać, że ta druga uroczystość była bardziej spektakularna.

Jeżeli udałoby się to wszystko zrealizować, to być może Warszawska Jesień Poetycka miałaby konkurencję w Festiwalu Poezji w Łodzi? Inaczej wszyscy nadal będą zadawać pytanie: czy warto organizować festiwale poezji w Łodzi?

A przecież warto! Tyle że inaczej.

ELŻBIETA PAWLICKA

TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na notatki zamieszczone w rubryce „Temat dla reportera" — „Odgłosy" nr 40 z 3.10.br. uprzejmie wyjaśniamy:

— kursowanie tramwajów linii 43 zostało zawieszone na skutek podmycia i zniszczenia torowiska przez ulewny deszcz w czerwcu br. W związku z tym nastąpiło wzmocnienie istniejącej linii 43-bis przebiegającej przez obszar Konstantynowa na długości 4.250 m licząc od granicy z Łodzią do pętli na pl. Wolności. Obejmuje ona swoim zasięgiem całe centrum miasta oraz nowe osiedla mieszkaniowe. Na odcinku pozbawionym komunikacji tramwajowej, tj. od pl. Wolności w Konstantynowie do Lutomierska i Kazimierza uruchomione zostały linie autobusowe Z-3 oraz Z-4. Zgodnie z istniejącymi przepisami taryfowymi opłaty za przejazd liniami autobusowymi należy dokonać niezależnie od opłaty w tramwaju linii 43-bis, ponieważ jest to kontynuowanie podróży z przesiadką. Zjawisko takie występuje zawsze przy trwałym zastąpieniu linii tramwajowej autobusową. Jednocześnie informujemy, że nie uległa zmianie cena biletów okresowych na tej trasie, ponieważ uprawniają one do przejazdu z domu do miejsca pracy lub nauki, niezależnie od liczby przesiadek występujących na wyznaczonej trasie przejazdu.

— zobowiązano służbę dyspozytorską z ekspedycji „Strykowska" do bezwzględnego używania urządzenia nagłaśniającego, co usprawni informację dla pasażerów.

mgr inż. LUCJAN STRAWA
z-ca dyrektora ds. ruchu

UWAGA CZYTELNICY

ŁODZIANIE W ANEGDOCIE

Czas jest nieubłagany, upływa niezauważenie, a wraz z nim — pamięć. Także o ludziach. Nawet wybitnych, nieprzeciętnych, o których krążą rozmaite opowiastki, anegdoty, świadczące o ich indywidualności, barwności. Takich ludzi żyło w naszym mieście wielu, bardzo wielu. Wystarczy przypomnieć czasy, gdy Łódź była stolicą kultury polskiej, gdy znaleźli tutaj dom tak wybitni twórcy jak: Zofia Nałkowska (w Łodzi napisała „Medaliony", drugą część „Węzłów życia"), Mieczysław Jastrun i Stanisław Dygat (pierwszy tu napisał wybitne dzieło: „Mickiewicz", drugi — „Pożegnania" i „Pola Elizejskie"), Jan Brzechwa, Władysław Broniewski, Stanisław Jerzy Lec, Artur Sandauer, Paweł Hertz; rysownicy: Zaruba, Grus, satyrycy — Janusz Minkiewicz, Jerzy Jurandot i Stefania Grodzieńska, czołówka teatru z Leonem Schillerem i Aleksandrem Zelwerowiczem na czele, kwiat aktorstwa polskiego, najwybitniejsze nazwiska ze świata nauki, którego jednym z pierwszych przedstawicieli był prof. Tadeusz Kotarbiński — rektor Uniwersytetu Łódzkiego oraz wielu, wielu najwybitniejszych Polaków, nie mówiąc już o żyjących do dziś.

Z myślą o Nich redakcja „Odgłosów" postanowiła zbierać, gromadzić, publikować anegdotyczne ślady pamięci, by w ten sposób ocalić od zapomnienia postacie wybitne, które swoją barwnością, indywidualnością zapisały się w historii miasta. Może przy Waszej pomocy powstanie zbiór: „Łodzianie w anegdocie", a z niego — trwała pozycja książkowa? Chcesz być jej współautorem, nadeślij znane Ci anegdoty o wybitnych ludziach, którzy w naszym mieście żyli, tworzyli, bodaj przez pewien czas.

Listy z anegdotami prosimy kierować pod adresem redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, z dopiskiem „Łodzianie w anegdocie". Interesujące materiały postaramy się wykorzystać na naszych łamach z podaniem nazwiska autorów.

M.Z.

Przystanią w mieszczańskiej Odysei jest burdel, a współczesna Penelopa ulega popędom i zdradza małżonka.

Nie obrzydzać seksu

MIROSŁAWA SARBIŃSKA

W atmosferze skandalu i sensacji pojawiały się na rynku książki pisarza amerykańskiego Henry Millera (1891—1980). W niektórych krajach zostały wyklęte, zakazano ich rozpowszechniania. Cenzorzy świeccy i duchowni byli wstrząśnięci obscenicznym językiem i pornograficznymi fragmentami.

Pierwsza skandalizująca powieść autobiograficzna Henry Millera pt. „Zwrotnik Raka" ukazała się w 1934 roku w Paryżu. Trzy lata później zabroniono jej publikacji w Stanach Zjednoczonych. Zakaz cenzorski uchylił Sąd Najwyższy USA dopiero w 1964 roku.

Żołnierze amerykańscy powracający z drugiej wojny światowej do kraju masowo kupowali we Francji zakazane owoce twórczości Henry Millera. Nie wszystkim jednak udało się przechytrzyć amerykańskich celników i policjantów. Wszelkie prohibity bezwzględnie konfiskowano.

W naszej „Encyklopedii powszechnej PWN" napisano, że Henry Miller reprezentuje anarchizującą filozofię życiową, która odrzuca wszelkie normy społeczne i konwencje w urzewnętrznianiu własnej osobowości i doznań seksualnych. Naturalistyczny brutalizm łączy z poetyckim liryzmem, szczere wyznania z surrealistycznymi wizjami.

Z próbkami prozy Henry Millera czytelnicy polscy mogą się zapoznać w podwójnych numerach miesięczników „Literatura na Świecie" (nr 5—6) i „Pismo Literacko-Artystyczne" (nr 6—7). Przełożono m.in. fragmenty głośnych powieści „Sexus", „Nexus" i „Zwrotnik Raka". Przeczytałam je z niesmakiem i obrzydzeniem.

Nie wiem dlaczego niektórzy krytycy tak bardzo zachwycają się twórczością Henry Millera. Nie rozumiem, po co przeciwstawiają ją powieściom Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach" i „Wielki las". Wszystkim zgorszonym prozą Z. Nienackiego cytuję charakterystyczny fragment „Sexusa" H. Millera:

„Oczy miała zamknięte, wargi rozchylone lubieżnie, dolna część jej ciała zaczęła się wić i skręcać, jak gdyby chciała się wydostać z sieci. Łagodnie odsunąłem jej rękę z mego chuja, zarazem lekko podnosząc jej nogę i przerzucając ją nad sobą. Przez parę chwil pozwoliłem kutasowi skakać i drżeć u wejścia do jej szpary, ślizgać się od przodu do tyłu i z powrotem, jak gdyby był elastyczną gumową zabawką. (...) Prowadziłem tę gierkę przez dobrą chwilę, od czasu do czasu zanurzając czubek kutasa na kilka centymetrów, potem obrysowując nim wejście do jej pizdy, potem pozwalając, by się oparł o zroszony krzaczek. Nagle krzyknęła i z szeroko otwartymi oczami obróciła się ku mnie: oparłszy się na rękach i na kolanach gorączkowo próbowała pochwycić mego kutasa w swą wilgotną pułapkę. Położyłem dłonie na jej pośladkach, uprzednio wykonawszy palcami glissando po wewnętrznej stronie nabrzmiałej pizdy i otwarłszy ją tak, jak się rozrywa rozprutą gumową piłkę, umieściłem czubek kutasa w czułym miejscu, czekając, aż na mnie opadnie. Przez chwilę myślałem, że zmieniła zdanie. Luźno zwisająca głowa, oczy śledzące gorączkowe ruchy pizdy, wszystko to nagle wyprostowało się, a wzrok utkwił w jakimś miejscu nad moją głową. Na jej twarzy malował się wyraz pełnej samolubnej przyjemności, a kiedy zaczęła kręcić dupą, z moim kutasem tylko w połowie w niej zanurzonym, przygryzła dolną wargę. Osunąłem się i pociągając ją na mnie z całej siły zanurzyłem się w niej do końca, tak głęboko, że jęknęła i spadła głową z poduszki".

Jest to opis stosunku między małżonkami, których sprawa rozwodowa nabrała już toku. Rozstają się, mieszkają osobno, lecz nie odczuwają do siebie wrogości. Przeżyli razem siedem lat. Wiąże ich wspólna córka. Kobieta ma jeszcze nadzieję, że obecna przyjaźń okaże się przygotowaniem do głębszego związku.

Trzeba przyznać, że zbliżenie seksualne zostało przedstawione w sposób realistyczny i wiarygodny. Podobne igraszki i zachowania są czymś normalnym. Ale po co te wulgarne, prostackie określenia: chuj, kutas, pizda, dupa... Notabene pierwszy wyraz powinno się pisać przez samo „h", ponieważ pochodzi, jak już wcześniej pisałam, od irańskiego „hoya", co znaczy „zły". Nie wiedząc o tym lumpy męskie bez sensu powtarzają — „Ty h... zły!".

Zastanawia fakt, że nazwy związane z seksem służą jako przekleństwa. W gniewie używają ich nawet ludzie wykształceni i utytułowani. Przeżyłam kiedyś straszny szok i rozczarowanie, gdy pewien profesor uniwersytetu nazwał swoją koleżankę starą d..., i to przy studentach. Wulgarne określenia często padają w ostrych sporach, kłótniach, zaczepkach.

W jednym z dawniejszych roczników „Polityki" znalazłam zabawną satyrę na dyskusję literacką w naszych czasopismach kulturalnych. Przez sześć tygodni polemizują z sobą: Hemingwejowski z łamów „Ducha literackiego" i Prustowicz z „Literackiego ducha". Oto wymiana epitetów:

Hemingwejowski: — *Mój szanowny kolega po piórze, Prustowicz, jest trzy litery.*

Prustowicz: — *Mój szanowny kolega po piórze, Hemingwejowski, nie zna nawet zasad ortografii, pisząc trzy litery przez „o" kreskowane. Dowodzi to niezbicie, iż mój polemista jest stara cztery litery.*

Hemingwejowski: — *Na insynuacje pana P., zamieszczone w ostatnim numerze „Literackiego ducha" muszę z ubolewaniem stwierdzić, że jest on trzy cztery litery i jeszcze ho, ho! — a poza tym pięć liter jego mać.*

Prustowicz: — *Mój — pożal się Boże — oponent z „Ducha literackiego" niejaki p. H. jest nie tylko pięcioliterowym synem, ale poza tym znaną pediculus pubis.*

Hemingwejowski: (milczy na łamach, bo szuka w encyklopedii).

Prustowicz: (milczy na łamach, bo szuka w podręcznikach ornitologii, biologii, ichtiologii i filumenistyki)

W szóstym tygodniu tej „kulturalnej" dyskusji uleciał Duch z obu Żyć mówiąc: — *I powiedzieć, że w Polsce nie ma dyskusji literackiej!* W tym momencie opadła kurtyna do... następnego tygodnia.

Po satyryczno-teatralnej dygresji wracam na krótko do prozy Henry Millera. W powieści „Zwrotnik Raka" Van Norden zwierza się swemu koledze:

„Słuchaj — powiada — znasz może dupę imieniem Norma? Cały dzień łazi koło Domé. Ona jest jakaś dziwna. Była tu wczoraj, trochę ją pomiętosiłem. Nic mi nie dała zrobić. Miałem ją na łóżku... Nawet zdjąłem jej majtki... a potem ogarnął mnie taki niesmak. Jezu, nie mogę się już tak szarpać. To się nie opłaca. Albo chcą, albo nie — szkoda czasu na mocowanie się. Człowiek się tu szarpie z taką suką jak ta, a na terasie co najmniej tuzin dup kona z pragnienia, żeby je wydmuchać. Fakt. Wszystkie się tu zlatują, żeby je przelecieć. Uważają, że tu jest grzesznie... niewiniątka! Niektóre nauczycielki z zachodu to uczciwe dziewice... poważnie! Siedzą na tyłkach i przez cały dzień tylko o tym myślą. Z nimi nie musisz się przemęczać. Aż piszczą do tego. Miałem wczoraj mężatkę, która od sześciu miesięcy nie spała z chłopem. Możesz to sobie wyobrazić? Jezu, ale jej się spieszyło! Myślałem, że mi wyrwie ptaka. (...) Te mężatki! Chryste, gdybyś zobaczył te wszystkie zamężne dupy, które tu przychodzą, pozbyłbyś się złudzeń. Te mężatki są nawet gorsze niż dziewice. Nie dadzą ci zacząć, same wszystko chcą robić za ciebie. A potem gadają o miłości. To niesmaczne".

Czytając utwory Henry Millera, Philipa Rotha i im podobnych, zastanawiam się nad kondycją mieszczańskiej kultury Zachodu. Mam wrażenie, że społeczeństwa te znalazły się w stadium dekadencji. Znam taki fragment „Państwa Bożego" św. Augustyna, wskazujący na upadek moralny Rzymu, który można by z powodzeniem odnieść do współczesnej cywilizacji zachodniej. Tu i tam spotykamy analogiczny kult powodzenia i materialnych przyjemności, wynaturzenia seksualne, kryzys ideologii, tendencje kosmopolityczne.

Przerażające ubóstwo duchowe szarego człowieka w społeczeństwie burżuazyjnym znakomicie przedstawił James Joyce. Współczesny, mieszczański Ulisses to akwizytor ogłoszeń prasowych Leopold Bloom. Jego nieciekawa Odyseja trwa 18 godzin w granicach jednego miasta, Dublina. Bardzo ważna przystania jest burdel, który odwiedza z młodym nauczycielem, Stefanem Dedalusem, współczesnym Telemachem. W domu nie czeka nań wierna Penelopa, lecz łatwo ulegająca popędom, rozwiązła, zdradzająca go żona Marion-Molly.

Nieszczęśni mieszczanie nawet umierają jakoś niegodnie i nieciekawie. Przypomnijmy sobie piękny, lecz smutny wiersz Tadeusza Różewicza pt. „Śmierć mieszczańska":

„Nie jest to śmierć nagła

Nie jest to śmierć żołnierza
który uderzony pociskiem
pada z odwróconą w niebo twarzą

I nie jest to śmierć starego chłopa
który wraca do wnętrza ziemi
spokojnie jak do swego domu

Któregoś dnia
jest to jeden z wielu
ani podobnych do siebie
jak dwie krople wody
w pełnym świetle
albo w środku nocy
zaczyna się konanie

Nie jest to śmierć nagła

Kiedy przestajesz
z dnia na dzień
nienawidzić i kochać
kiedy odkryjesz złoty środek
zaczyna się konanie".

Trzeba więc żyć i kochać namiętnie. Można też pisać o takim życiu, lecz w sposób, który nie obrzydza życia seksualnego. Potrafiło to wielu pisarzy i poetów. Należał do nich z pewnością Stanisław Ignacy Witkiewicz. Bardzo lubię dwie jego powieści — „Pożegnanie jesieni" oraz „622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta". Pierwsza powstała w 1926 roku; a druga już w latach 1910—1911, ale wydano ją dopiero w 1972 roku.

Bohaterką „Pożegnania jesieni" jest kobieta niezwykła. Hela Bertz to w rzeczywistości Bela Hertz — żona filozofa i socjologa Aleksandra Hertza. Z domu nazywała się Izabela Schwartz, a potem z mężów: pierwszego — Hertz drugiego — Gelbard, trzeciego — Stachowicz. (Jeszcze był Julian Wydrka). Używała ponadto pseudonimu Czajka. Urodziła się w roku 1893 lub 1897 w Sosnowcu lub Mińsku Mazowieckim. Zmarła 11 grudnia 1969 roku.

Kiedy opisywał ją Witkacy, miała 25 lub 30 lat. Była kobietą piękną, zmysłową, pociągającą. Atanazy Bazakbal stracił dla niej zupełnie głowę. Na wstępie pierwszego rozdziału czytamy:

„Hela Bertz była oczywiście Żydówką i wcieleniem wszystkiego tego, co Atanazemu w kobiecie jako takiej podobać się mogło. Prócz tego była, aż do pewnych nieprzekraczalnych granic, kobietą notorycznie łatwą. O tym przekonał się Atanazy na pewnym wieczorku zakończonym «popojką» à la manière russe".

Hela Bertz miała rude włosy, oczy skośne, niebieskie, bezdenne, piersi w kształcie dagoby. Była tak szaleńsko piękna, że nawet antysemita i homoseksualista Łohoyski do głębi wstrząśnięty był jej urodą. Miała w sobie coś demonicznego, co jednocześnie pociągało, obezwładniało i przerażało mężczyzn.

„Od Heli szedł złowrogi, trujący czar, wywołując rozpacz, poczucie czegoś utraconego na zawsze i cennego niezmiernie; zachwyt graniczący z bólem; wściekłość przechodzącą w żądzę samounicestwienia; metafizyczny żal za beznadziejnie uciekającym życiem".

Atanazy Bazakbal naprawdę kochał swą narzeczoną — uroczą, imianą blondynkę — Zosię Osiabedzką, która była przeciwieństwem szalonej Heli Bertz. Jej zielone oczy miały w sobie „dziewczynkowatą kotkowatość na tle bestyjkowato-lubieżnawym". Atanazy kochał niewinną Zosię, lecz fizycznie pożądał Helę Bertz. Kiedy później zaczęła go pociągać również dojrzałość i dziewczynkowato-bestyjkowata ładność Zosi, wtedy wielka miłość zaczęła maleć proporcjonalnie do fizycznego podobania się.

Silne pożądanie seksualne wyklucza, niestety, platoniczną miłość. Być może dlatego, że oba uczucia mają odmienną naturę: pierwsze — zwierzęcą, drugie — boską. W każdym razie mniej pragniemy fizycznie tych, których bardzo kochamy duchowo i na odwrót. Natomiast w szczęśliwym pożyciu małżeńskim oba uczucia spotykają się jakby w połowie drogi. Miłości erotycznej towarzyszy braterska, lecz nie ma już tego nadzwyczajnego szaleństwa, które przeżywamy w pierwszym zakochaniu i pierwszych udanych stosunkach seksualnych. Z czasem okazuje się, że można jakoś żyć bez ukochanego. Pięknie pisze o tym poetka:

„Nie widziałam cię już od miesiąca
I nic. Jestem może bledsza,
trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
lecz widać można żyć bez powietrza!"

Jeśli rzucimy okiem na losy narodów, rodzin i jednostek ludzkich, to ogarnia nas smutek z powodu przemijania wszystkiego i wszystkich. Każdy z nas musi się liczyć z następującą nieuchronnością:

„Odejdą wszyscy ukochani,
po jednym wszyscy — krzyże niosąc,
a jeszcze innych deszcz oddali,
a jeszcze inni w mroku zginą,
staną za szkłem, co jak ze stali,
i nie doznani miną, miną".

Ale wróćmy do „Pożegnania jesieni" i Heli Bertz, czyli Beli Hertz. Musiała to być rzeczywiście fascynująca kobieta, skoro pisano o niej powieści. Nie tylko Stanisław Ignacy Witkiewicz poświęcił jej książkę. Opisał ją również Zbigniew Uniłowski we „Wspólnym pokoju". Pisano do niej wiersze. Była sławniejsza od wielu pisarzy i artystów.

Kiedy Hela Bertz przechodziła na katolicyzm, to podczas chrztu zaczęła się i nie mogła wydusić z siebie odpowiedzi na sakramentalne pytanie, czy wyrzeka się złego ducha i spraw jego. A sama Czajka (Izabela Stachowicz) wspomina, że jako mała dziewczynka podczas pobytu u dziadka w Zgierzu po raz pierwszy poczuła „prawie fizycznie" wejście w nią szatana. I potem niejednokrotnie doświadczała diabelskiej władzy (zob. „Córka czarownicy na huśtawce" Warszawa 1958, s. 52). Prawdziwie demoniczna kobieta...

„Język Heli — pisze Witkacy — *wysunął się z tej śliskiej mięczakowatej masy jak płomień, dotknął jego warg i języka i zaczął się poruszać drażniąc do obłędu jego usta. Rozkosz rozlewająca się po całym ciele zdawała się dochodzić już do szczytu, a mimo to nasilała się coraz bardziej do nieznośnej, z bólem graniczącej potęgi. Dotknięcia tego świadomego, jakby swego działania języka czuł wszędzie: w grzbiecie, w lędźwiach i tam, gdzie miliardy istot z niego poczętych rwały się do życia, nie zważając uwagi ani na jego wielką miłość, ani na sens jego istnienia, ani na całą metafizykę.*

Nie znam lepszego opisu rozkoszy doznawanej podczas pocałunku. Zręczny, ruchliwy język poraża przecież jak prąd elektryczny. Czasami musimy przerwać na chwilę, żeby nie paść trupem.

W drugiej powieści Witkacego Bungo opętany jest miłością do pięknej Akne (lniane włosy, zielone oczy, różowy język jak u kota). Pragnie jej tak mocno, że nie potrafi zapanować nad sobą.

„Patrzył na nią i tak była wstrętnie piękna, tak diabelsko kusząca i przewrotna, i tak kłamliwa, że zaczęło go ogarniać straszliwe, ponure, beznadziejne pożądanie".

Pewnego razu Akne zapomniała zamknąć drzwi. Słysząc czyjeś kroki, wyskoczyła półnaga z łóżka. Z odsłoniętym tyłkiem wyglądała komicznie.

„W tej chwili ta właśnie część ciała robiła niesłychane wprost wrażenie. Zdawała się uśmiechać bezmyślnie swymi obiema niezrównanej białości półkulami i z bezczelnym uporem kpić ze wszystkich niebezpieczeństw. Zdawała się mówić z komiczną efrontérią prosto w twarz osłupiałemu Bungowi: «Róbcie, co chcecie, mnie wszystko jedno. Zarzynajcie się, mordujcie, ja mam swoje prawa i nie ustąpię»".

Najmniej atrakcyjna i pociągająca była Akne rano. Całe piękno objawiało się z zapadającym zmierzchem. (Podobnie jest chyba z wszystkimi kobietami, o ile, rzecz jasna, nie są zmęczone).

„Pod wieczór dopiero zaczynała rozkwitać jak jakiś dziwny i potworny, drapieżny kwiat". Na twarz wypełzały jej wszystkie potęgi demoniczne. Wzrok miała wciągający pełen lubieżności. Kiedy po raz pierwszy mu się oddała, Bungo zobaczył z przedziwną jasnością całe swoje życie... A innym razem było tak:

„Nie tak, wstań — szepnęła Akne i odwróciwszy się tyłem do niego, uniosła szlafrok do góry. Bungo ujrzał przed sobą, zupełnie tak jak we śnie, dwie piekielnej białości półkule i stracił zupełnie przytomność w nie do wytrzymania rozwydrzonej rozkoszy wbijania się całą siłą w to rozżarzone do białości ciało. Akne odwróciła głowę do niego i po raz pierwszy, patrząc na nią krwawo zamglonymi oczami, Bungo ujrzał na jej twarzy wyraz zupełnego nasycenia i jakiejś pokornej, zwierzęcej wdzięczności".

Jak widać, Stanisław Ignacy Witkiewicz potrafił wyrazić istotę seksu bez obscenicznych wyrazów. Tak powinno się pisać o doznaniach seksualnych — na wyżynach kultury, a nie na poziomie rynsztoka.

Na koniec zacytuję zabawny list Witkacego do żony Jadwigi (Niny) 20 lipca 1926 roku donosił:

„Ale pecha mam. Wczoraj, kiedy robiłem pipi w lesie i zapatrzyłem się na krajobraz, bąk koński uciął mnie w kutasa. Spuchło to jak balon i myślałem, że odpadnie. Ale jodyna i Staroniewicz uratowali to cenne utensylium dla dobra przyszłych pokoleń. Dziś jest tylko czerwone, ale może jeszcze odpadnie. Jak odpadnie, to Ci przyślę w formalinie".

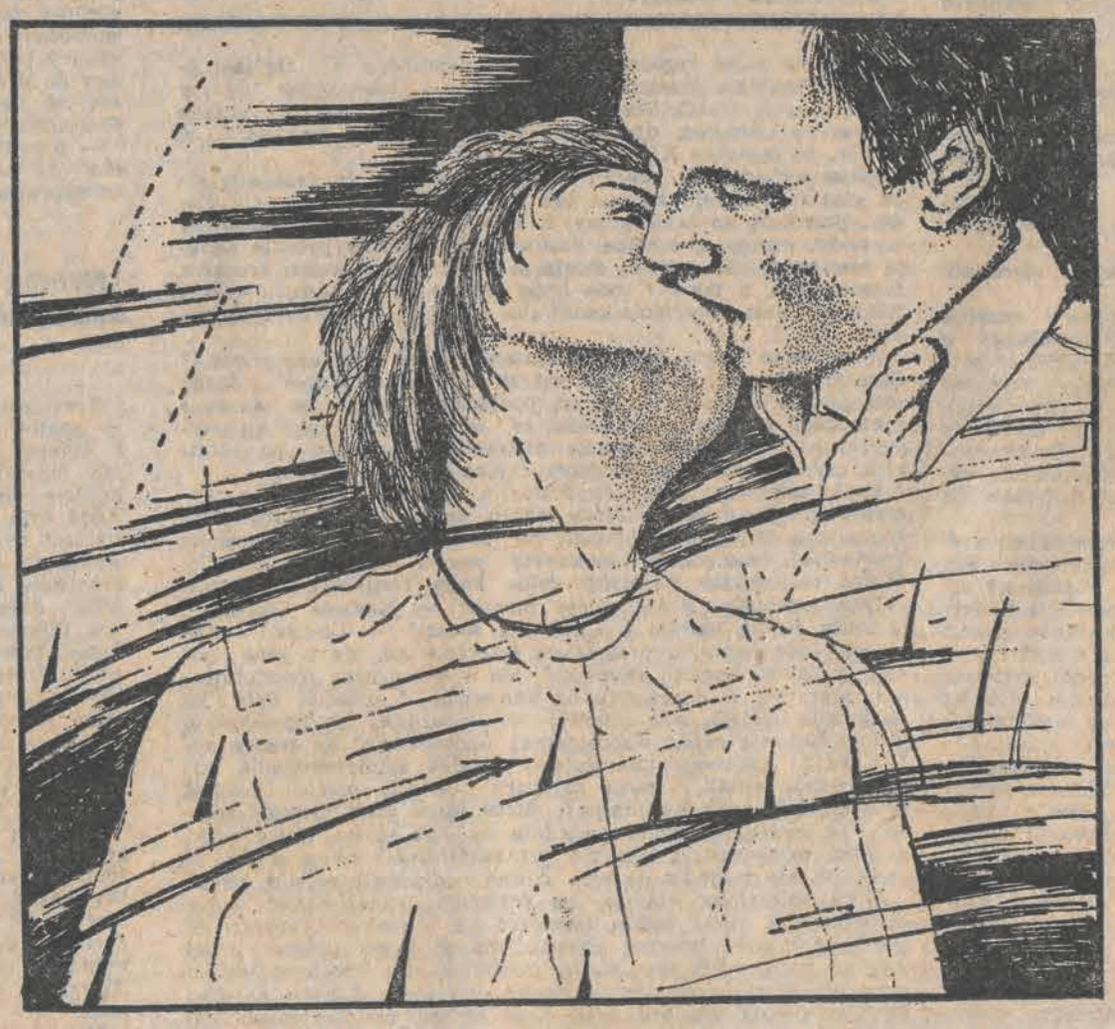

Rys. Janusz Szymański-Glanc

ze str. 1

Pięć rozmów o Polakach na emigracji

trzymujemy terminów i warunków. To dla nas święta rzecz. Teraz pracujemy u jednej klientki, która zdenerwowała się, że Grecy ciągle odwlekają termin ukończenia remontu, poprosiła eksperta o wycenienie wykonanej pracy, wypłaciła im należne pieniądze i dokończenie zleciła nam. A to wymagająca dama: kominki marmurowe, gipsowe sztukaterie etc.

— Zarabiacie dwa razy tyle, ile wynosi przeciętna pensja Anglika.

— Zobacz moje ręce poprzeżerane wapnem. Ja naprawdę ciężko pracuję.

— Dlaczego zostałeś na Zachodzie?

— Przyjeżdżałem tutaj kilkakrotnie na wakacyjne saksy, ale dopiero stan wojenny przyspieszył moją decyzję pozostania tutaj na stałe. Zrozumiałem, że nie mam czego w Polsce szukać, bo chcę żyć jak człowiek, ciężko pracować, ale coś za to mieć. W kraju tylko bym się obijał, jakoś by to szło i życie by mi przeszło koło nosa.

— Jesteś tutaj sam, bez rodziny?

— Tak. To jest i łatwiej, i trudniej. Łatwiej bo mniej obowiązków. Trudniej bo samotność doskwiera. Ale mam za to przyjaciół, więc jak nie chcę być sam, to wpadnę do kogoś na drinka czy na herbatkę z ciasteczkami i pogaduszki. Rodzice mieszkają w Polsce, a brat w Kanadzie i myślę, że będę się starał tam przenieść. Anglia jest fajna do życia, ale jak się ma dużo pieniędzy, a zarobić je tutaj jest dużo trudniej niż w RFN czy Kanadzie.

— Tęsknisz za Polską?

— Nie. Chciałbym się spotkać z rodzicami, ale myślę, że to za dwa lata będzie możliwe, więc na razie pracuję i odkładam pieniądze, a tęsknoty zostawiam na potem.

— Wrócisz kiedyś do kraju?

— Wiesz, tego nigdy nie można wykluczyć, ale jest to bardzo mało prawdopodobne, żebym tam wrócił na stałe. Zbyt mocno wrosłem w życie tutaj. Zachód jest moim domem. A Polska to miłe wspomnienia z dzieciństwa, do którego i tak i tak już nie ma powrotu.

Rozmowa druga

Tomek jest niewysoki, powolny, wszystko musi dobrze przemyśleć zanim podejmie jakąś decyzję. Mieszka w Warszawie na Mokotowie, który zostawił dwa lata temu razem ze studiami na Uniwersytecie Warszawskim. Zna bardzo dobrze angielski. Siedzimy w pubie, pijemy piwo, na które on się strasznie krzywi.

— Chrzczone — mówi — w pubach piwo jest coraz gorsze i coraz droższe. Jak się chcę napić dobrego piwa, to muszę iść do supermarketu, najlepiej do „Nisy" i kupić za półtora funta oryginalnego australijskiego Fostera albo najlepsze — moim zdaniem — piwo na świecie holenderskiego Grolscha.

— Jesteś bardzo krytycznie nastawiony do Anglii.

— Do Anglii i do Anglików. To są naprawdę wyspiarze. Ich oddzielenie się od reszty świata jest prawie maniakalne. Moje rozczarowanie jest tym głębsze, że przyjeżdżałem tutaj z prawie nabożną czcią dla kultury angielskiej. Dużo czytałem, znam bardzo dobrze literaturę angielską. A tutaj okazało się, że poziom umysłowy przeciętnego Anglika jest żenujący. Wystarczy posłuchać tylko tych ich programów telewizyjnych typu Wielka Gra. Pada pytanie za 850 funtów, gdzie leżą Andy, a ten natęża się i myśli, publiczność wstrzymuje oddech wreszcie wystękał: — w Europie. Bo to jemu kojarzy się z czymś bardzo dalekim.

— Może trochę jednak przesadzasz. Zobacz ile imprez poetyckich, spotkań z literatami, koncertów muzyki jazzowej pop, klasycznej, przedstawień teatralnych i tak dalej i tak dalej odbywa się w Londynie każdego tygodnia.

— Jednak wyrobienie intelektualne i kulturalne Anglika jest bardzo kiepskie. Pracowałem przez parę miesięcy w knajpie, to miałem się okazję przysłuchiwać ich rozmowom. To wstyd. Oni rozmawiają na zasadzie jedna baba drugiej babie ewentualnie o tym, jakie filmy ostatnio oglądali. Jak już rzeczywiście ktoś rozmawia o polityce, o jakiejś wystawie plastycznej albo ot tak po prostu mądrze rozmawia o życiu, to to jest albo Australijczyk albo Nowozelandczyk, Szkot, ale nie Anglik.

— To po co tutaj siedzisz, jeżeli tak cię to mierzi?

— Chcę trochę pojeździć po świecie i trochę go zobaczyć.

— A więc wrócisz do Polski?

— Oczywiście, że tak. Czuję się bardzo z Polską związany, tęsknię za rodziną, za dziewczyną, znajomymi, za mnie tylko znanymi miejscami na Mokotowie, gdzie łaziłem jak mnie naszła chandra. To byłoby wszystko fajnie.

— Od kiedy jesteś w Anglii?

— Od roku. Poprzednio byłem parę miesięcy w Holandii, w Belgii, w RFN, w Norwegii, Szwecji, Danii, Włoszech, Izraelu, Francji no i teraz Albion.

— Gdzie się czujesz najlepiej?

— W Holandii. To bardzo tolerancyjny kraj. Przemili ludzie, luźni, bez polskich kompleksów i angielskiego wywyższania się, a do tego mądrzy i wiedzą sięgający poza granice własnego ogródka. Dużym przeżyciem była dla mnie podróż do Izraela. To niesamowity kraj. Przepiękny, a do tego każdy kamień ma tam swoją wagę. Tysiącletnia historia czai się w każdym zaułku kibutzu. Na przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych sąsiadują ze sobą prawosławne cerkwie, kościoły protestanckie, meczety muzułmańskie i katolickie kościoły, nie mówiąc już o żydowskich synagogach. Ludzie mówią po arabsku, po hebrajsku, w jidisz, po niemiecku, angielsku, po polsku, a ostatnio coraz częściej po rosyjsku. I właśnie takiego spotkania ze światem, poznawania go na własnej skórze, dotyku tego świata szukam w życiu.

— Człowiek, który będzie czytał te słowa i który zarabia 15 tysięcy złotych miesięcznie, zada sobie pytanie: — skąd on na to ma?

— Z pracy na czarno. Za dwadzieścia tysięcy miesięcznie nie mogę wybrać się w podróż do Bułgarii z Orbisem, a co dopiero zjeździć pół Europy. Dla mnie w Polsce hasło — Wyspy Kanaryjskie — brzmiało co najmniej jak babcine opowieści baśniowe przed snem do poduszki. A przecież, gdy tutaj pracuję, to stać mnie na to bez żadnego problemu i takie wycieczki, na Wyspy Kanaryjskie czy na Majorkę są dostępne dla nawet średnio zarabiającego Anglika, który nie wie o tym, że kąpie się w luksusie.

— Więc gdzie pracowałeś na czarno?

— W Holandii w fabryce. Jako pakowacz. Bardzo przyjemną i nie obciążająca praca. W Norwegii na farmie. Lubię wieś. Norwegowie są bardzo przyjacielscy i to było miłe, a do tego dobre pieniądze. W Danii nie pracowałem, bo byłem u przyjaciół. W Izraelu bardzo gonią pracujących na czarno, a oficjalnie można tylko w kibutzu, tyle że bardzo kiepsko płacą. Ale tam mi nie o pieniądze chodziło, tylko, żeby jakoś zarobić na ten pobyt. Pracowałem u artysty ludowego, który rzeźbi głowy ludzkie w pieńsie owocu awokado. No i wreszcie w Anglii. Tu mam najmniej przyjemne wspomnienia. Pracowałem w kuchni jako pomoc kuchenna. To było ogłupiające zajęcie. Potem jako kelner w restauracji, aż do czasu, gdy szef wywalił wszystkich Polaków. Nie wiadomo, dlaczego. Na pytanie: — Dlaczego jestem zwolniony — odpowiedział: — Bo ja ci tak powiedziałem! — Wszystko odbyło się w ciągu paru minut sekund.

— Więc co teraz robisz?

— Jestem bezrobotnym, tylko że państwo nie płaci mi zasiłku. To bardzo przyjemne zajęcie bycie bezrobotnym, czytam książki, chodzę do kina. Ale muszę wkrótce poszukać pracy, bo finanse mi się kurczą. Najchętniej w jakiejś firmie, która zajmuje się wysyłaniem ludzi do czyszczenia biur i mieszkań. Taka spółdzielnia „Czystość". Bardzo dużo studentów z całego świata pracuje. Tylko że oni w większości mają pozwolenie na pracę. My studenci z Polski nie mamy.

Rozmowa trzecia

Pani Jola mieszka w Londynie od siedmiu lat. Pracuje w fabryce jako ślusarz.

— Mieszkałam we Wrocławiu. Byłam już grubo po trzydziestce, gdy przyjechałam do Anglii do ciotki. Poznałam tutaj mojego obecnego męża, który mieszka w Londynie od wojny. Walczył o Anglię i tutaj spędził większość swojego życia. O czym tutaj gadać? Żyje się tam, gdzie człowieka los rzuci. Czasami to lepiej, czasami gorzej.

— A pani tutaj jest lepiej niż w Polsce?

— Przyzwyczaiłam się. Człowiek jest takim stworzeniem, że się przyzwyczai do wszystkiego. Nawet do drugiej i trzeciej ojczyzny.

— Jeździ pani do Wrocławia czasami?

— Pewno, że jeżdżę. Syn mieszka we Wrocławiu, to go odwiedzam.

— A on pania?

— A gdzie tam. Jest ożeniony z Angielką i to już od dwóch lat i nie może przyjechać do Anglii.

— Kto go zatrzymuje?

— Anglicy. Nie dają mu wizy. Żona mieszka w Anglii, mąż w Polsce. Był na kilku rozmowach i nic z tego. Nie puszczają i koniec. Zawsze się ktoś znajdzie, kto człowiekowi przyłoży.

— W Polsce pani też w fabryce pracowała?

— Też. Ale dobry zawód miałam. Byłam lakierniktem. Tutaj też bym dobrze zarobiła. Dużo lepiej niż ślusarz zarabia, ale tutaj nie wolno kobietom pracować jako lakiernik i kropka. Bo to niezdrowe.

— Wróci pani do Polski?

— A też coś! Po co mam tam wracać. Zresztą kochany, starych drzew się dwa razy nie przesadza.

Rozmowa czwarta

Karol mieszka w Paryżu. Wyjechał z Polski, gdy miał osiemnaście lat. We Francji mieszka od 37 lat.

— Jesteś bardzo bogatym człowiekiem.

— Tak to prawda. Mam tyle pieniędzy, że wystarczy mi na wygodne życie. To znaczy mogę mieszkać tam, gdzie chcę, mogę podróżować wszędzie tam, gdzie chcę i robić to co chcę. Mieszkam we Francji, bo tutaj mieszka się najwygodniej. Ludzie wiedzą, jak tu korzystać z życia; potrafią i bawić się i dobrze zjeść.

— Spotkałem się z opinią, że Francja jest bardzo przyjemna do życia, ale z Francuzami nie da się współpracować.

— Nie da. Toteż ja mam swoją firmę gdzie indziej. Poza Francją i kontaktów zawodowych z Francuzami unikam jak ognia. Za to życie tutaj jest jak w raju.

— Na czym polega swoboda bogatego człowieka na Zachodzie?

— Jeżeli mam ochotę, to wsiadam w samochód i jadę w Alpy na narty, albo w samolot i lecę na golfa na Wybrzeże Kości Słoniowej albo na weekend do Nowego Jorku.

— Nie od razu tak było.

— Jasne, że nie. Nie odziedziczyłem spadku, tylko się dorabiałem własnymi rękoma. Pochodzę tak jak i ty z Łodzi. Wychowałem się na Kozinach, które wtedy były peryferiami miasta. Łaziłem po tej Łodzi, łaziłem. Obijałem się, wtedy już osiemnastoletni młodzieniec, kominowałem, co by tu ze sobą zrobić. Mieszkałem z matką. Koledzy, dziewczyny, to było ważne, ale ja szukałem jakiejś odmiany w życiu. Tym bardziej, że to był specyficzny okres w dziejach Polski. Więc w końcu, dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności, bo było to inaczej prawie niemożliwe, udało mi się wyjechać z Łodzi i z kraju. Na początku było bardzo ciężko. Jadłem raz dziennie, francuską bułkę i skoro świt pędziłem do pracy. Jak wracałem o zmroku, po 16—18 godzinach harówki, to wtedy właśnie, gdy Francuzi rozstadali się wygodnie w knajpach. Przechodziłem pod oknami, łapczywie patrzyłem na te wspaniałości zza szyby, wściekłość mnie ogarniała, że oni mogą, a ja nie. Zaciskałem zęby i mówiłem sobie w duchu: „Poczekajcie, ja też kiedyś tak będę". I teraz mnie na to stać.

— Huxley napisał kiedyś, że nie jest sztuką zarobić pieniądze, ale sztuką jest znaleźć czas, aby je wydać.

— Toteż ja teraz mam na to czas. Pracuję, owszem, ale kiedy chcę, robię sobie wolne. I na co chcę.

— Czy przez ten czas kiedykolwiek myślałeś o powrocie do Polski?

— Oczywiście, że tęskniłem za matką. Początkowo jak było mi ciężko, nie znałem ani francuskiego, ani żadnego z tych paru języków, które znam teraz, to tęskniłem do moich kumpli z Kozin. Ale musiałem o tym szybko zapomnieć, bo nie było czasu na sentymenty. W przeciwnym razie zżarłaby mnie nostalgia i koniec marzeń o wielkich pieniądzach. Teraz za to mogę sobie pozwolić na wspomnienia i na roztkliwianie się nad przeszłością, ale jakoś teraz nie bardzo mi się chce to robić. Cieszę się życiem i to wszystko. Mój dom jest tam, gdzie mi jest dobrze; wszystko jedno czy jest to Polska, czy Francja czy jakikolwiek inny kraj. Ameryka na przykład jest wspaniała do życia, ale co z tego skoro Amerykanie jedzą w potwornie prymitywny sposób. Mogę i mam w czym wybierać. A Polska... ot strzępek wspomnień; miłych, z młodości. Czasami wpadnę na Piotrkowską, ot tak raz na cztery lata. To wszystko. Ale czuję się Polakiem, jestem Polakiem i umrę Polakiem.

Rozmowa piąta

Michał wyemigrował do Anglii przed czterema laty. Nie „uciekł", nie „został", ale wyemigrował.

— Tak samo jak nasi dziadowie i pradziadowie emigrowali za chlebem za ocean czy do Francji, tak i ja ich śladem. Wprawdzie część mojej rodziny właśnie za chlebem z napoleońską armią przyszła do Polski, ale przecież ruch w przeciwną stronę nie jest zabroniony.

— Czy to znaczy, że ty też za chlebem?

— W pewien sposób tak. Pochodzę z Poznania. Mam ukończone dwa fakultety uniwersyteckie i miałem doktorat w drodze, a niestety nie miałem za co utrzymać rodziny; żony i synka. Co z tego, że w „Polityce" i w innych pismach rozpisywano się nad trudną sytuacją młodych pracowników nauki, jeżeli nic się potem nie działo, a portier, który wpuszczał mnie do Instytutu zarabiał półtora raza więcej niż ja. I to nawet nie chodzi o to, że więcej ale o to, że ja nie mogłem w żaden sposób utrzymać się za moją pensję. Wystarczało nam pieniędzy do dziesiątego, a potem na pożyczkach i na garnuszku u mamy i u taty. Trzydziestoletni człowiek, z tytułami naukowymi i nie może się samodzielnie utrzymać. Więc trudno to nazwać ucieczką czy zostawaniem gdzieś tam. Ja po prostu wyemigrowałem za chlebem.

— Ale tutaj, w Anglii, nie pracujesz w swoim zawodzie.

— To prawda. Jednak mam żal do państwa, w kraju który kocham, gdyż uważam się za Polaka, nie wstydzę się tego, że jestem Polakiem mimo licznych naszych, polskich wad narodowych i mimo tego, że tak trudno jest być i u siebie i na świecie Polakiem, ale mam żal, że stworzono mi szansę na zdobycie zawodu zgodnego z predyspozycjami psychicznymi i intelektualnymi, ale nie dano mi szansy z tego zawodu wyżyć. Więc moja tutaj praca jest takim prywatnym buntem; skoro u siebie nie mogłem być naukowcem, to wolę u obcych zmywać gary.

— No właśnie, co ty właściwie robisz?

— Przez długi czas, jak większość Polaków na obczyźnie, pracowałem nielegalnie. To okropne, że nie mamy w jakiś sposób uregulowanej na zasadzie umów międzynarodowych, sprawy zatrudnienia obywateli PRL. Zresztą sama emigracja, fakt, że człowiek, jednostka staje przed taką koniecznością wyboru; zostać wśród swoich, czy szukać lepszego życia wśród obcych, jest tragedią. Więc oczywiście praca z dnia na dzień, bo nie wiadomo czy jutro cię szef nie wyrzuci. Łupią cię ze skóry niemiłosiernie, wszystko jedno czy rodacy, czy Anglicy. Każdy robi business, szuka taniej siły roboczej a przy tym ryzykuje, bo zatrudnia na czarno. Toteż albo płace są niskie, albo potrąca się z pensji podatek, który wcale nie idzie do kas biura podatkowego tylko do kieszeni właściciela fabryki, knajpy czy przedsiębiorstwa budowlanego. Praca jest ciężka i nikt się z nikim nie patyczkuje. Jeszcze jak bossem jest Anglik, to możesz pójść i powiedzieć, że źle się czujesz i chcesz iść do domu. Puści cię i nie potrąci ci z dniówki. Inaczej jest z Polakami. Pracowałem w fabryce mebli u takiego faceta, który przed wojną mieszkał w Łodzi na Nowomiejskiej. Teraz ma fabrykę w East Endzie. Zaraz na początku kazał mi podpisać glejt, że nie będę rościł sobie żadnych pretensji, jak sobie coś utnę albo złamię. Zacząłem od czyszczenia kominów. Potem była praca przy pile tarczowej, pierwszy raz w życiu, w kurzu, hałasie i przeraźliwym mrozie. Bo to była zima stulecia w Anglii. Mróz większy niż ostatniej zimy. Cwaniak zatrudniał tylko Polaków albo niepełnosprawnych Anglików. W ten sposób nie płacił podatku, a płace ustawił na poziomie funta za godzinę, podczas gdy gdzie indziej płacono minimum 8 funtów. To był kapitalizm, jaki znamy z książek Dickensa i broszurek propagandowych. Prawdziwy wyzysk człowieka przez człowieka. Malowanie farbami nitro w potwornym zaduchu, praca w galwanizerni w oparach kwasów i tak dalej. Dopiero potem dowiedziałem się, jak to jednemu z chłopaków piła obcięła palec; spakował manatki i wrócił do Polski. Innemu przestrzelono rękę pistoletem do wbijania kołków w beton, a jeszcze innego odwieziono do szpitala, gdyż uległ zatruciu kwasami.

— Jak długo tam pracowałeś?

— Dwa miesiące. O dwa za dużo, ale co miałem robić, jak nie było gdzie indziej pracy.

— Znasz angielski?

— Tak. Mówię po angielsku bardzo płynnie chociaż z silnym polskim akcentem. Ale to mi nie przeszkadza.

— Co robiłeś potem?

— Sprzedawałem lody. To była bardzo fajna praca i prawdziwa lekcja języka angielskiego; nie tego szkolnego, ale tego, jakim posługują się Anglicy na co dzień, na ulicy. Poznałem bardzo dużo ciekawych ludzi. Miałem stałych klientów, a poza tym punkt był świetny — w samym centrum West Endu. Przychodzili na lody kierowcy Rolls-Royce'ów, którzy przywieźli swoich chlebodawców na zakupy na Knightsbridge, bogaci arabscy szejkowie, aktorzy, piękne kobiety i bardzo bogaci młodzi ludzie w sportowych samochodach.

— Nie było w tobie jakiegoś poczucia krzywdy — oni mają to, czego ty nie możesz mieć, chociaż ty bijesz ich na głowę intelektem i wykształceniem.

— Podobnie przecież było i w Polsce, a poza tym musiałem wyciąć coś ze swojego mózgu, ze swojej psychiki, bo inaczej bym zwariował że ja młody, zdolny naukowiec i sprzedaję lody na ulicy.

— A co było dalej?

— Pracowałem w knajpie. To była taka artystyczna restauracja, też na West Endzie. Przychodzili różni ludzie, i rozwydrzona młodzież i zwyczajni, chcący się zabawić młodzi ludzie, amerykańscy turyści i Anglicy mówiący posh. Obsługiwałem i Cliffa Richarda i angielskich piłkarzy, różne wschodzące gwiazdki filmu angielskiego i znanych reżyserów. Zostawiano mi napiwki po 30 penny i po 50 funtów. Mamy Szkotki, które przychodziły ze swoimi dziećmi, piły whisky jak u nas przysłowiowi dorożkarze i całowały mnie na pożegnanie wciskając do kieszeni 20- i 50-funtowe banknoty. A była i biedna młodzież, która dokładnie dobierała ceny potraw, żeby im wystarczyło pieniędzy. Pracowali tam ludzie z całego świata; kucharzami byli Chińczyk i Marokańczyk, managerem Włoch, kelnerami Jugosłowianie, Francuzi, Nowozelandczycy, Australijczycy, Meksykanie, Norweżki, Szwedki, Niemki, Włoszki i tak dalej i tak dalej. Ciężka harówka. Pracujesz 9—10 godzin, śpisz, jesz i znów do roboty. I tak przez sześć, a czasem siedem dni w tygodniu.

— No dobrze, a co teraz będzie dalej?

— Żyję z dnia na dzień, a to dlatego, że jestem na tyle słaby, że tęsknię za domem. Bo dla mnie Polska, to są rodzice, paru przyjaciół, trochę tych miejsc, które są mi bliskie od dzieciństwa i te, których nie cierpiałem, gdy byłem w kraju. Teraz do nich tęsknię. Dystans w przestrzeni i czasie zamazuje wyrazistość konturów. Gdy wrócę do Polski, będę tęsknił za Londynem.

— A wrócisz?

— Oczywiście, że wrócę. Chcę tylko trochę pojeździć po świecie. To było zawsze moje marzenie i teraz będzie mi to łatwiej zrealizować jak mam brytyjskie papiery. Bo z polskim paszportem były problemy na każdej granicy i w każdej ambasadzie. A poza tym chciałbym odłożyć trochę pieniędzy, żeby w Polsce po powrocie, nie wegetować.

— A nie żal ci straconej szansy na karierę naukową?

— Znasz taką bajkę Ignacego Krasickiego, która się kończy: „ja to jednak między bajki włożę". Musiałem dokonać wyboru i teraz tamto jest między bajkami na półce.

Zanotował:
MAREK BRZEZIŃSKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

19 listopada — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—16

26 listopada — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16

Dobrze widziane są telefony z podaniem imienia i nazwiska i bez zastrzeżeń, aby imię i nazwisko zachować w tajemnicy. Jeśli masz brzydkie nazwisko, to je zmień i przestań nudzić, że prasa powinna być odważna, skoro sam nie masz odwagi się przedstawić.

Wiktor Lesiak, Gdańska 72, przedstawił się i poruszył temat oprocentowania wkładów na mieszkania spółdzielcze. Kiedyś wkład na M-4 wynosił 46 tysięcy złotych, teraz opiewa na 240—320 tysięcy. Jeśli uzyskałeś na ten cel pożyczkę z zakładu pracy, to twój wkład nie ma prawa do oprocentowania, co samo w sobie jest złodziejstwem, biorąc pod uwagę fakt, że pieniądze szybko się dewaluują, a pożyczkę wcześniej czy później będziesz musiał zwrócić.

Małgorzata Rodak uzyskała dwa i pół miesiąca temu decyzję na mieszkanie kwaterunkowe, ale Wydział Spraw Lokalowych Łódź-Polesie nie dołożył do tego kluczy, wychodząc ze słusznego założenia, że decyzja sama w sobie jest sukcesem tak ogromnym, że petentka powinna odtańczyć z radości fokstrota. W dalszym ciągu wegetuje zatem Małgorzata Rodak w lokalu o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, a wraz z nią cierpi mąż i dwoje dzieci (trzecie w drodze).

Irena Salata, lokatorka domu przy ulicy Dąbrowskiego 36 powiada, że **Bogdan Tomasik,** dyrektor techniczny ROM z ul. Lubelskiej przyrzekł, że do 30 września 1987 r. posesja zostanie zaopatrzona w bramę. Brama jest, wala się na podwórku, ale nie ma jej kto założyć mimo licznych próśb i gróźb mieszkańców. Istnieje uzasadniona obawa, że bramę ukradną, brak natomiast pewności, czy dyrektor sechce zapłacić za to z własnej kieszeni.

ROM Polesie, tymczasem mający swoją siedzibę przy ulicy Gdańskiej 72, przyrzekł osiem lat temu Wandzie Piętoń (ul. 22 Lipca 19 m. 9), że wymieni jej nieszczelne drzwi wejściowe. Drzwi owe zaopatrzone są w trzy regulaminowe zamki, ale Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie chce ich zaasekurować, wystarczy bowiem oprzeć się o nie, a padną. Są tak wypaczone i nieszczelne, że zimno kąsa domowników po nogach, a wiatr wyje po kątach jak potępiony. 5.300 złotych wynosi Wandę Piętoń czynsz za to mieszkanie. Aby je ogrzać pani Piętoń pali bez przerwy gaz, ciepło ulatuje jednak przez nieszczelne drzwi na klatkę schodową i korzystają z niego przede wszystkim bezpańskie koty i psy.

Jerzy Lisiewicz, ul. Krzemieniecka 6a m. 12, jest wielkim miłośnikiem mleka, wścieka się więc, że butelki od mleka są brudne, zaś w samym mleku znalazł ostatnio szkło, watę, zapałkę, pety różnych marek i bilet tramwajowy. Nie było jeszcze myszy, ale i te się znajdą. W Wilnie mleko sprzedają w sterylnych tekturowych pojemnikach. Jerzy Lisiewicz był niedawno w Wilnie i bardzo zazdrościł tych pojemników wilnianom, ci poinformowali go wszelako, że pojemniki importowane są z Polski.

Drażnią również Jerzego Lisiewicza **brudy na przystanku tramwajowym u zbiegu ulic Bratysławskiej i Krzemienieckiej.** Jest to najniebezpieczniejszy przystanek w Łodzi — bez wiaty, wysepki, ot, stoisz sobie na szczerej jezdni i drżysz ze strachu. Ruszysz się w przód, tramwaj ciachnie ci nogę, ruszysz się w tył, znokautuje cię autobus. A jak pada deszcz, to kierowcy pryskają na ciebie błotem.

Renata Czeczuga skarży się na chamstwo panienek z urzędów pocztowych w rejonie Chojny-Zatorze. Nigdy nie mają czasu, bo nie zjadły jeszcze śniadania, nigdy nie mają drobnych, bo nie zrobiły jeszcze utargu. Do pracy przychodzą z dziećmi. Dzieci odrabiają lekcje w okienku za biurkiem, a matki patrzą oburzonym wzrokiem na petentów i ziewają.

Lesław Ozimek z Sieradza i Z.S. z Pabianic (zaklinający się skądinąd, aby nie podawać jego nazwiska) nie darzą nadmierną estymą Marka Kotańskiego, który stanął na czele świętej inkwizycji i zaczął walczyć z alkoholizmem robiąc sobie przy okazji niebywałą reklamę. 13 listopada nie kupisz wódki ani w sklepie, ani w „Pewexie", ani w „Baltonie", dzięki czemu zarobią kelnerzy i bufetowe, bo w knajpach wódę będzie wolno sprzedawać bez oporu. Będzie również wolno sprzedawać piwo, które wedle pana Z.S. jest tak podłe, że nie można go nawet użyć do umycia głowy, chyba że ktoś jest łysy i nie zależy mu na włosach. Za społeczne pieniądze Marek Kotański urządza pogawędki i drukuje plakaty, tylko patrzeć, jak wypuści na ulicę antyalkoholowe bojówki z pałkami, które będą waliły w łeb przy byle podejrzeniu. „Odgłosy" i Andrzej Makowiecki popierają walkę z alkoholizmem, jednakże działalność pana Marka Kotańskiego przynosi skutki odwrotne — w czwartek, 12 listopada pod sklepami monopolowymi, pod „Baltonami" i „Pewexami" zaroiło się od spekulantów, w trójnasób wydłużyły się kolejki, ze zdwojoną siłą ruszyły bimbrownie. Poinformował o tym Andrzeja Makowieckiego redaktor **Stanisław Ciesonik.**

Nie podoba się **Feliksowi Skowrońskiemu** antynikotynowy plakat, który zdobi narożę ulicy Traugutta i Kilińskiego. Ogólnie rzecz biorąc, walka z haniebnym zwyczajem palenia papierosów jest słuszna, tyle że w czwartym etapie. Najpierw należy uporać się z:

1. wyziewami fabryk
3. narkotykami
3. alkoholizmem.

Pracownik „Zenitu" (nazwisko znane redakcji) donosi, że w dwóch zakładowych salach rekreacyjnych (chodzi o palarnie które z braku innych atrakcji są ulubionym miejscem spotkań robotników) rury ogrzewcze okręcono powrozami azbestowymi, co w kompilacji z nikotyną każdemu zapewnia raka. Petycje skierowane na ręce inspektora BHP oraz Inspektora Państwowej Inspekcji Pracy nie przyniosły rezultatu, bowiem obaj ci, niepalący zapewne panowie stwierdzili, że to przecież tylko palarnie, a nie hala produkcyjna i pomieszczenia biurowe, gdzie jak dotąd powrozów azbestowych jeszcze nie zastosowano.

Józef Kruszyński, Aleksandrów, al. Wyzwolenia 15 m. 66, donosi, że w miłym tym mieście wybudowano ostatnio piękną szkołę, a zaraz potem obok szkoły na wykupionej działce prywaciarz, zgodnie z obowiązującym trendem postawił cukiernię, żeby zarobić trochę na dzieciakach. Wszystko byłoby w porządku, ale postawił cukiernię tak blisko, że z piętrowych i parterowych okien szkoły nie widać nic — ani ziemi, ani nieba. Uwłacza to estetyce terenu, architekturze i normom budowlanym. Burzy się krew.

Józef Chomicki, instruktor PZM, nie miał większych zastrzeżeń do wydrukowanego przez „Odgłosy" artykułu „Jak zdobyć prawo jazdy".

Maria Szadkowska, ul. Czernika 12 m. 175, dobrze mówi o powieściach „Noc saksofonów" i „Rapier Napoleona". Chciałaby przeczytać coś o facecie, który te książki napisał, o czym donoszę z pewnym zażenowaniem.

Jedna tylko **rozmówczyni** nie chciała przedstawić się dyżurnemu skrybie. Dzwoniła dwukrotnie: najpierw z awanturą, potem spuściła lekko z tonu, że to niby charakter ma miły i słodki.

— Proszę natychmiast podać do wiadomości publicznej nazwiska wszystkich członków zespołu „Tiger-Rag" — wrzeszczała owa słodka ptaszyna.

No, no! Zamiast jednego artykułu powstała już o tym zespole cała monografia. „Odgłosy" zaczynają podejrzewać, że ktoś nakręca koniunkturę. Czy nie szkoda jednak energii? Można by ją przeznaczyć na wyemitowanie w Polskich Nagraniach archiwalnej płyty „Tiger-Ragu", który rzeczywiście powinien znaleźć trwałe miejsce w historii miasta.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„Konkurs na całe lato" rozstrzygnięty

Foto: Sebastian Gajewski

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Pozostał po nich ślad w naszej pamięci

W Łodzi działalność swoją rozpoczęło tajne harcerstwo już w październiku 1939 r., a na przełomie 1939/40 weszło w skład ogólnokrajowej organizacji „Szare Szeregi". Wielu łódzkich harcerzy z różnych powodów: przesiedlenia, ucieczka przed aresztowaniem, przed wywózką do Niemiec, przeniesienie organizacyjne itp. było zmuszonych w latach 1940/44 do opuszczenia miasta i przeniesienia się do Generalnej Guberni, m.in. do Warszawy.

Harcerze łódzcy, którzy zamieszkali w Warszawie znaleźli się w szeregach Armii Krajowej lub działających autonomicznie „Szarych Szeregach".

Powstanie warszawskie wybuchło 1 sierpnia 1944 r. o godz. 17. Harcerze znaleźli się wszędzie.

Wśród tej licznej grupy harcerskiej byli również harcerze z Łodzi, Pabianic, Zgierza i innych miejscowości położonych w obrębie obecnej aglomeracji miejskiej.

Wymienię kilkudziesięciu, którzy na pewno nie wyczerpują listy uczestników powstania. Dobrze byłoby, gdyby do Izby Pamięci Komendy Chorągwi ZHP w Łodzi wpłynęły dalsze informacje o łódzkich uczestnikach tej najbardziej tragicznej batalii II Wojny Światowej.

1. gen. bryg. **Edward Pfeiffer** ps. „Radwan", współorganizator w latach 1909—1910 pierwszej łódzkiej drużyny skautowej. Komendant I Obwodu Warszawa-Śródmieście ranny w czasie walk powstańczych. Zmarł w Londynie w 1964 r. pochowany na Starym Cmentarzu w Łodzi.

2. **Janusz Gorczykowski,** rocznik 1920, wywodził się z 9 ŁDH im. gen. H. Dąbrowskiego. Harcerz orli. Działał w Pogotowiu Harcerskim, potem w „Szarych Szeregach" w Łodzi. Zginął pierwszego dnia powstania, zdążając na miejsce zbiórki.

3. **Wiesław Jerzy Futyma,** ps. „Mars", lat 22, harcerz hufca Pabianice. Ćwik. W latach 1938-1939 był członkiem Kręgu Starszoharcerskiego. Działał w Pogotowiu Harcerskim, a następnie w „Szarych Szeregach" w Pabianicach. Żołnierz AK, ukończył konspiracyjną Szkołę Podchorążych. Walczył w zgrupowaniu „Krybar" na Starówce. Ciężko ranny, zmarł w szpitalu polowym.

4. **Karol Ludwik Knoblewski** ps. „Gruda", lat 25, harcerz 1 PDH im. T. Kościuszki w Pabianicach. Działał w Pogotowiu Harcerskim. W latach okupacji żołnierz AK, poległ 2 sierpnia 1944 r.

5. **Zygmunt Lorentowicz,** lat 42, inż. chem. Wieloletni działacz harcerski w Pabianicach. W latach okupacji w „Szarych Szeregach" w zgrupowaniu „Wigry". Poległ trzeciego dnia powstania w rejonie ul. Trębackiej.

6. ppor. **Józef Marczyk,** ps. „Ziutek" Członek Kręgu Starszoharcerskiego 11 ŁDH w Łodzi. Ćwik. Współorganizator konspiracyjnych grup harcerskich na terenie Widzewa. Od 1943 r. w Warszawie w AK. Walczył na Starówce. Ranny. Przebywał w obozie jenieckim.

7. **Andrzej Mazur** — w ZHP od 1933 r. W Warszawie żołnierz AK. Drużynowy w hufcu „Ziem Zachodnich". Walczył na terenie śródmieścia.

8. **Zygmunt Przybylak,** harcerz 12 ŁDH, w „Szarych Szeregach" w Łodzi, a następnie w Warszawie.

9. ppor. **Jerzy Jędrzejewski** ps. „Jurek", 6 ŁDH im. J. Kilińskiego. Udział w Pogotowiu Harcerskim i „Szarych Szeregach" w Łodzi. Od 1942 r. żołnierz AK w Warszawie. Kurier KG AK Oddz. V k „Zagroda" W powstaniu zastępca dowódcy plutonu rejon II kpt. „Karo" na Targówku w obwodzie VI.

10. **Edward Kotynia,** nauczyciel, działacz harcerski, przewodniczący KPH w Rudzie Pabianickiej. Pracował w Pogotowiu Harcerskim. Od 1942 r. w Warszawie. Poległ w ataku na koszary przy ul. Rakowieckiej nr 4.

1. **Tadeusz Zaborowski** ps. „Dołęga", lat 24, członek Kręgu Starszoharcerskiego na Starym Rokiciu. Działał w „Szarych Szeregach" w Łodzi, a następnie od 1942 r. w Warszawie. Walczył w baonie „Kiliński" pluton „Prypeć" Poległ w rejonie ulicy Miodowej.

12. **Henryk Stanisław Dinter,** psycholog, w ZHP od 1922 r. Harcmistrz. Działał w „Szarych Szeregach" i AK.

13. **Władysław Wal,** ps. „Czajka". W latach 1923—39 działał w harcerstwie na terenie Lwowa. Walczył na Starówce. Po wojnie hufcowy w hufcu Łódź-Powiat.

Odnośnie harcerzy zgierskich, odsyłam zainteresowanych do książeczki Bogdana Bejma pt. „Powstańcy Warszawscy z kręgu zgierskiego", Wyd. 1987 r. w Zgierzu.

JERZY JĘDRZEJEWSKI

MSP „SIÓDEMKA"
ZAKŁAD INŻYNIERII ŚRODOWISKA
al. Kościuszki 23 93 436 Łódź
tel. 86 73 34

OFERUJE USŁUGI

Specjalistycznej brygady konserwacji sieci kanalizacyjnej w zakresie:

* usuwania awarii
* przeglądów i konserwacji okresowej, sieci deszczowej, sanitarnej, osadników, studzienek itp.

Informacje tel. 86-73-34 codziennie w godz. 8—16 (prócz sobót).

Zgłoszenia tel. 86-73-34 całą dobę.

2697-k

Uwaga
ŻEGLARZE, MARYNIŚCI I MIŁOŚNICY MORZA!
Najlepszym upominkiem — kaseta magnetofonowa z nagranymi piosenkami morskimi w wykonaniu: Zespołu „Stare Dzwony", Jurka Porębskiego oraz „Gdzie ta keja" — z Festiwalu „Shanties 87". Kasety do nabycia w sklepie „Intertour" sp. z o.o., ulica Ogrodowa nr 4, w Łodzi, do którego zapraszamy od godz. 9 do 17

2666-k

Mieć kamienicę — to przekleństwo

Jeżeli ludzie liczą, że domy od nowego roku przestaną się rozsypywać ze starości, a lokatorom żyć się będzie wygodniej — to mylą się. Tak twierdzi prezes **Zrzeszenia Właścicieli i Zarządców Domów w Łodzi — Zenon Fiszerowicz.** Utrzymuje, że do takiego wniosku prowadzi analiza znowelizowanego prawa lokalowego, które jeszcze przed wprowadzeniem w życie powinno być ponownie zmienione i uzupełnione — przynajmniej w zakresie dotyczącym prywatnych domów lokatorskich.

Nie jest to pogląd odosobniony. W ekspertyzie **„Diagnoza stanu gospodarki przestrzennej Polski"**, opracowanej dla **PAN**, autorzy twierdzą, że „priorytet dla budowy nowych mieszkań spowodował katastrofalne zaniedbanie starej substancji mieszkaniowej oraz dekapitalizację urządzeń usługowych i budynków mieszkalnych wielu śródmieść i dzielnic peryferyjnych".

Jest w Łodzi takich mieszkań kilkadziesiąt tysięcy. Około 90 proc. ma tylko wodociąg i kanalizację, ponad połowa ma gaz. Wyjątkiem są te najbardziej luksusowe, posiadające wszystkie wygody. Stanowią one mniej niż 1 proc. mieszkań.

Najczęściej stoją od 1938 r. bez remontów, ze zniszczonymi ramami okiennymi i drzwiami, niesprawną instalacją wodno-kanalizacyjną, spękanymi sufitami i ścianami często zagrzybionymi z powodu przeciekających uszkodzonych dachów i tynków — to obraz kreślony przez prezesa Zrzeszenia. Jest on także dobrze znany lokatorom. Chciano zniszczyć kamieniczników — zniszczono kamienice.

Kamienica — to drobna własność kapitalistyczna. Zawsze była solą w oku ludzi nic nie posiadających. Pozostawiano więc własność, ale pozbawiano wszelkich praw do niej. Tak dziś właściciele domów oceniają politykę, jaką w stosunku do nich prowadzono. Z goryczą opisują mechanizmy, które doprowadziły do dewastacji starych domów.

Najpierw pozbawiono ich środków utrzymania domów odgórnie narzucając zaniżone czynsze. Wystarczy powiedzieć, że dziś za stumetrowe mieszkanie z wszystkimi wygodami płaci się niewiele ponad 2 tys. złotych. Następnie przyznano „zapomogę", która z założenia powinna starczyć na bieżące remonty, gdy w rzeczywistości maksymalne 140 tys. przyznawane raz na trzy lata starcza zaledwie na posmołowanie dachu. Wprawdzie od 1988 roku dotacja ma wzrosnąć do 300 tys., ale — biorąc pod uwagę wieloletnie zaniedbania, kilkudziesięciokrotny, w niektórych przypadkach, wzrost kosztów materiałów i usług — to pieniądze te są prawdziwą kroplą w morzu potrzeb.

Mało tego: bezzwrotną pomoc finansową tylko pozornie otrzymują właściciele posesji. Rzeczywistym dysponentem gotówki jest właściwy, dzielnicowy urząd, który rozstrzyga na co są te pieniądze potrzebne.

Prócz dozorcy, z niewielkiego czynszu właściciel opłacić musi usługi kominiarzy i MPO, kanalizację, wodę i światło na klatkach, także podatki komunalne i inne liczne sprawy. Jeżeli okaże się jeszcze, że trzeba okitować przeciekające okna, to już robi się ponuro. Właściciele prywatnych domów obliczają, że z czynszu za przeciętne mieszkanie starczy na uszczelnienie jednego okna. Dlatego tam, gdzie nie ma na zapłacenie dozorcy, gdzie właścicielowi brak siły, by pracę wykonać samemu, wszystko zostaje na łasce lokatorów i urzędników, a milicja wypisuje tylko kolejne mandaty. Nic dziwnego, że domów tych nie remontuje się, a o modernizacji i podwyższeniu standardu tylko śnić wypada.

Jeżeli w kamienicy mieszkają osoby uprawnione do dodatkowej powierzchni, a jest ich liczna rzesza, to zgodnie z przepisami za nadmetraż nie płacą. Dzieje się to kosztem właściciela domu, który traci dodatkowy czynsz. W ten sposób państwo lekką ręką daje prezenty nie ze swojej kieszeni.

— Skoro daje się takie przywileje, to niech koszty ponosi właściwy resort — domagała się **Janina Rybus**, sekretarz **Zarządu Zrzeszenia Właścicieli i Zarządców Domów w Łodzi**, właścicielka domu, w którym tacy lokatorzy przeważają.

Często dach, uszkodzony na dziko zakładanymi antenami, przecieka. Wtedy lokator, którego mieszkanie zalało otrzymuje odszkodowanie z PZU. Ale PZU ściągnie następnie całą należność od właściciela kamienicy, gdyż zgodnie z obowiązującymi przepisami domy wyłącza się z ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej za zalanie. Oczywiście właściciel może usiłować ściągnąć tę należność od winnych uszkodzenia dachu. Ale jeżeli nawet uda się znaleźć odpowiedzialnego za szkody — co nie jest łatwe — to bez rozprawy sądowej trudno zmusić go do pokrycia tych kosztów. Takich problemów jest wiele, a przyczyną przepisy, głównie prawo lokalowe, przyznające urzędnikom i lokatorom większe uprawnienia niż właścicielom domów. I w ten sposób kamienicznik stał się obywatelem drugiej kate-

[redacted]

okalowym mówiło się o koniecz-
vi zamieszkania we własnym
ie prawa do dysponowania o-
ieszkaniami i ustalenia na nie
wu wycofać się z kosztownych
wanie budynków przed ruiną i
stawa idzie wprawdzie w tym
wszystko jednym artykułem,
otrzymania opuszczonego mieszk, że przy istniejących trudnoś- nigdy nie odzyska mieszkania. że państwo chronić będzie in- Zatem w tych lokalach nie dą decydować.
enie lokatorom do czynszu — inien być ustalany przez włas- utrzymania domu. Przed woj- trefy i w zależności od lokali- ta określał górną granicę czyn- rozwiązania — proponuje je- jąc się urzędników woli zacho-

dzi się handel mieszkaniami — ch. Zarabia na tym lokator akoś nie zauważa, że kupczy się się symboliczny, a gdy lokator zwracają mu się koszty, ale też y wie o tym właściciel i urząd lokatorowi.
zedaje się, przekazuje krewnym ystko dzieje się jawnie, z cał- mienicznika. A kamienicznicy ako chłop do ziemi, z uporem ziś zastanawiają się, czy zwró- a praw obywatelskich.
ego bezkarnie działa się nie- ą kamienicznicy.
prywatnych jest zły.
słusznie narzekają, że niewiele w zamian otrzymują. Właściciele twierdzą, że stan mieszkań i domów jest taki jaki jest, bo niskie czynsze nie pozwalają na właściwą obsługę. Rzeczywistą przyczyną istniejącego stanu rzeczy jest, jak się zdaje, stan podwójnej własności, sprawiający, że w rezultacie nikt nie jest za nic odpowiedzialny. Dlatego najrozsądniejszym wydaje się rozwiązanie konsekwentne: wywłaszczyć albo przyznać pełnię praw własności.

KRZYSZTOF ZAJĄC

1 Pod prąd

Domek

JÓZEF RETMAN

Historia, jakich wiele:

Przy ulicy noszącej imię wielkiego pisarza stoi mały domek. Do połowy lat pięćdziesiątych mieszka w nim Zofia K., a po śmierci — jej córka, Wiktoria. Ta jednak również umiera — w 1980 roku — i domek zostaje pusty. Spadkobierców Zofii K. niewiele to obchodzi. Mają ważniejsze sprawy na głowie, ale — tylko do dnia, kiedy w domku melduje się Eugenia W., wdowa po jedynym synu Wiktorii. Wtedy to właśnie, w listopadzie 1982 roku sytuacja ulega zmianie, a domek, który lepiej chyba byłoby nazwać walącą się ruderą, staje nagle w centrum zainteresowania prawie całej rodziny.

Chodzi o to, że domek nie ma właściciela, zaś prawo do niego rości sobie zarówno rodzeństwo zmarłej Wiktorii, jak i trzech jej wnuków. Ci ostatni, gdy sprawa trafia do sądu rejonowego, wyrażają gotowość spłacenia pozostałych spadkobierców, co gwarantowałoby ich matce, Eugenii W. spokojną starość w nowym miejscu zamieszkania. Reszta rodziny nie może jednak dojść do porozumienia, zastanawia się, waha. Wreszcie godzi się na spłatę, ale... z rąk Marii S.

Maria S. jest siostrą Wiktorii W., osobą w podeszłym wieku, schorowaną. Mieszka w dwóch pokojach z kuchnią na piętrze przy sąsiedniej ulicy. Przed sądem zeznaje, iż chodzenie po schodach bardzo ją męczy, więc chętnie przeniosłaby się do parterowego domku w pobliżu, o ile stanie się jej wyłączną własnością.

Synowie Eugenii W. podważają prawdomówność Marii S., ale sąd nie daje im wiary i po czterech latach rozpraw domek przyznany zostaje staruszce. Ta szybko spłaca pozostałych spadkobierców (po 27 tysięcy na osobę) po czym... sprzedaje nieruchomość sąsiadom, Krzysztofowi i Danielowi M. za pół miliona złotych.

Eugenia W. coraz bardziej czuje, jak grunt osuwa się pod jej nogami. W sierpniu 1987 roku Krzysztof M. zwraca się do niej z prośbą, by opróżniła zajmowaną komórkę w podwórzu, gdyż zamierza ją zburzyć. Daje przy tym wyraźnie do zrozumienia, że nie chce z bratem lokatora w nabytym domku, więc najlepiej gdyby Eugenia W. albo wróciła do swego dawnego mieszkania, albo przeniosła się do któregoś z trzech synów. Kobieta bezradnie rozkłada ręce: dawne mieszkanie, jednoizbowe w prywatnym budynku, zajął już przecież ktoś inny, synowie zaś — żonaci i dzieciaci — naprawdę nie mają warunków.

W październiku nowi właściciele domku, choć mieszkający dosłownie za płotem, przesyłają Eugenii W. list, w którym domagają się od niej miesięcznego komornego w wysokości 5 tysięcy złotych i to od daty zakupienia nieruchomości, czyli od lutego. Adresatka listu jest przerażona i oburzona zarazem. Bo tak: renty ma niecałe 12 tysięcy, kilkadziesiąt włożyła w naprawy konieczne, by domek po półtorarocznym braku gospodarza nadawał się do zamieszkania, a na dodatek, kiedy toczyły się sprawy sądowe, biegli oszacowali wartość domku na... 3600 (słownie: trzy tysiące sześćset złotych), tyle, ile można by wziąć za drewno rozbiórkowe. Więc jak teraz płacić ma 5 tysięcy czynszu?

Bracia Krzysztof i Daniel M. widzą jednak sprawę inaczej. Kupili nieruchomość dla siebie, nie dla Eugenii W., i choć mają własne, wygodne mieszkania, chcą z niej korzystać. Gdyby wpłacili owe pół miliona na książeczkę oszczędnościową oprocentowaną na 10 procent, mieliby mniej więcej tyle, ile żądają czynszu od lokatorki. Nie zamierzają więc wcale bogacić się jej kosztem, a jedynie sprowokować ją do wyprowadzenia się. I to legalnymi metodami. Temu również służyć ma złożony przez nich pozew do sądu o eksmisję Eugenii W. Siła przecież wyrzucać jej nie będą.

Historia, jakich wiele. W świetle prawa wszystko jest w porządku, ale gdyby przyłożyć do niej inną „bardziej ludzką" miarę... Osądźcie zresztą sami.

2 Lewym okiem

Co pan myśli?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

W piątej klasie gimnazjum, a więc z górą pół wieku temu, byłem przewodniczącym samorządu klasowego. Pewnego razu zarządziłem zebranie całej klasy, ponieważ trzeba było uchwalić dużą niedzielną wycieczkę, co wiązało się z dodatkowymi kosztami przekraczającymi normalne, samorządowe składki. Program wycieczki naturalnie przedyskutowaliśmy uprzednio na wielkich i małych pauzach, w dyskusji brała udział mniej więcej czwarta część kolegów, pozostali pokpiwali ze wszystkiego, albo nic ich to nie obchodziło, czyli rezerwowali sobie na później prawo psioczenia na imprezę jakkolwiek by nie wypadła.

Frekwencja na zebraniu była duża, bo wypadło ono w godzinie międzylekcyjnej, tylko kilku kolegów wyskoczyło do pobliskiego sklepu na lody. Podczas zebrania spora część uczestników hałasowała, przeszkadzała kolegom zabierającym głos, szydziła ze wszystkiego, niektórzy grali w bitwę morską i w papsy, ot taka wczesnomłodzieńcza czy też dziecinna przekora. Dziś zresztą myślę, że cecha ta pozostaje u niektórych ludzi do późnej starości. Zebranie zakończyliśmy, jak to zwykle bywa, momentem, kiedy trzeba już tylko powiedzieć: „tak" albo „nie". Powiedzieć słowem, albo choćby podnieść rękę. Zdarzyło się przy tym, że kilku kolegów nie podniosło ręki wcale. Ani wtedy, ani dziś, nie wiem o co im właściwie chodziło. Tyle jeszcze pamiętam, że nikt nie zapytał, kto zagwarantuje, że wycieczka się uda.

Dzisiejsza telewizja pokazuje nam jakże często swoich reporterów, jak krążąc po ulicach podsuwają mikrofon przechodniom z pytaniem: „Co pan myśli o reformie?". Dużo jest w odpowiedziach sceptycyzmu: „Panie, to się nie może udać!", „Panie, ja w to wcale nie wierzę, przecież to już nie pierwszy raz." Często też słyszymy: „A któż nam zagwarantuje, że to się powiedzie?", albo: „Mnie to przekonają dopiero fakty, a nie gadanie".

Moją wrodzoną skazą psychiczną jest sceptycyzm, w żadne futurologiczne rozważania nie angażuję się bez jakiegoś „ale". Nie wiem, co bym odpowiedział na zadane mi z nagła pytanie: „Czy pan wierzy w to i tamto?" Wiem z całą pewnością, że nie zażądałbym gwarancji, co do tego, co ma się zdarzyć w przyszłości, takie żądanie uważam wręcz za nielogiczne. A co do faktów, to dla mnie konkretnym i bardzo doniosłym faktem jest choćby to, że takie sceptyczne poglądy padają do nas z ekranu telewizora, z radiowego głośnika i z prasy, że nikt nie boi się takich wątpliwości ujawniać, publikować, że publicyści przyjmują je ze zrozumieniem zamiast zgorszenia i wieczystego potępienia. Doniosłym i niezmiernie satysfakcjonującym jest dla mnie fakt, że oto ze wszystkich środków masowego przekazu płyną do mnie informacje o sprawach przemilczanych przez całe dziesiątki lat, dręczących pamięć i duszę, jak ropiejąca drzazga w ciele; że oto zaczynamy oddawać sprawiedliwość całym rzeszom pokrzywdzonych ludzi i prostować zwichrowane hierarchie wartości. Cieszy mnie, że tego dożyłem.

Ani mnie, ani nikogo nie może natomiast cieszyć świadomość, żeśmy doczekali tak głębokiej zapaści gospodarczej. Jaka jest sytuacja — każdy widzi. Gdyby mnie ktoś zapytał: „Czy chcesz, żeby wszystko zostało tak jak jest?" — odpowiedziałbym szybko, głośno i dobitnie: „Nie! Długo tak nie może być". „Wobec tego, czy zgadzasz się na zmianę tej sytuacji, choćby nawet pewnym kosztem?".

Nie ludzę się. Przy tak postawionym pytaniu też znajdą się tacy, co będą woleli pójść na ryby. Albo wejść pod ławkę, grać w papsy i puszczać zajączki. Na szczęście, nie oni będą decydującą większością.

3 Sport

Wesoły piłkarski pluralizm

Duńczycy popełnili fatalny błąd. Po raz trzeci wprowadzili do gry Pera Frimana i mysleli, że obserwatorzy FIFA tego nie spostrzegą. Spostrzegli. W rezultacie ich spostrzegawczości zmianie uległ wynik meczu z 28 października 1987 roku między Polską a Danią. Mecz odbył się w Szczecinie. Duńczycy spuścili naszym piłkarzom manto i wszyscyśmy to już przeboleli. A tu okazuje się, że FIFA zmienia wynik. Przepisy pozwalają, aby gracz nieuprawniony do gry zagrał raz. Perowi Frimanowi zdarzyło się to aż trzy razy. I FIFA dwa gole, które nam strzelili Duńczycy oddała łaskawą ręką Polakom. Do trzech razy sztuka — głosi przysłowie. I Perowi Frimanowi ta sztuka się nie udała. A naszych piłkarzy spotkał pech.

Wszystkim się już wydawało, że zapanował upragniony spokój. Niedoszłym olimpijczykom wypadało jeszcze grać, ale już bez żadnych nadziei. Decyzja FIFA zmieniła tę sytuację. Pojawiła się szansa. Polska reprezentacja olimpijska może jeszcze awansować do dalszych olimpijskich rozgrywek. Tego się nikt nie spodziewał. Ale pech!

Wszystko trzeba zaczynać od nowa. Znów dziennikarze będą się czepiali, kibice wybrzydzali. Trzeba będzie znów *„dawać z siebie wszystko"*, *„gryść trawę"*, *„walczyć do końca"*, kiedy umiejętności nie staje i chęci brakuje. A już się tak pięknie ułożyło. Nie, stanowczo Zdzisława Podedwornego i jego chłopców pech prześladuje!

FIFA może wprawdzie zmienić decyzje, może przegranych uczynić wygranymi, może zmienić wynik, ale nie może odczarować polskiej rzeczywistości piłkarskiej. Znamy tę rzeczywistość? Ano, znamy. No to jeszcze o niej posłuchajmy.

W drużynie Motor Lublin gra 18-letni piłkarz Jacek Jedliński. Piłkarz utalentowany. Powołano go więc do kadry juniorów. Kadrą tą opiekuje się trener Mieczysław Broniszewski. Zorganizował konsultacje dla juniorów w Warszawie i na te konsultację wezwał Jacka Jedlińskiego. Młody piłkarz Motoru Lublin pojechał na te konsultacje z lekarskim zaświadczeniem. Pan doktor w całej mocy swojej lekarskiej wiedzy zaświadczał, że Jacek Jedliński jest poważnie chory i w żadnym wypadku nie może grać. Ale trener Mieczysław Broniszewski — o czym „Przeglądowi Sportowemu" poskarżył się trener Motoru Lublin — kazał piłkarzowi z chorą nogą grać cały mecz z Gwardią II Warszawa. Po tym meczu chłopcu noga spuchła. Nie mógł buta włożyć. Nie zdziwiłabym się, gdyby po tym meczu nabrał wstrętu do piłki nożnej. Co wyszłoby mu tylko na zdrowie!

Po tej opowieści przeczytałam wywiad z Janem Urbanem w „Piłce Nożnej" i dowiedziałam się, że wszystkiemu winni są trenerzy, którzy zimą każą biednym piłkarzom trenować ponad ich siły. Czyż mogłam nie uwierzyć?

Ale w tymże samym numerze „Piłki Nożnej" Roman Hurkowski stwierdza zupełnie co innego. Pisze on:

„Ogólnie rzecz biorąc nasi piłkarze są kiepsko wyszkoleni technicznie i trudno w wieku seniora nadrobić wcześniejsze w tej dziedzinie zaniedbania lub niedostatki talentu".

Boję się, że niedostatków talentu w ogóle nie da się nadrobić, ale nie sprzeczajmy się o drobiazgi. Tym bardziej, że „Przegląd Sportowy" wpadł na iście szatański pomysł, aby zapytać o zdanie... studentów AWF w Warszawie, przyszłych trenerów. Otóż zdaniem jednego z nich:

„Piłka nożna opiera się na technice, która w chwili obecnej powinna być doskonałą, jeśli chcemy porównywać się z czołówką. U nas brak wyszkolenia. Nie ma zabaw z piłką dla początkujących, a bierzemy się za robienie siły i wytrzymałości".

Co zatem robić?

Zaczynać wszystko od początku! Pięknie. Tylko, że mistrzostwa świata nie tak znów daleko. Piłkarzy trzeba szkolić etap po etapie, wytrwale i konsekwentnie — tak przynajmniej twierdzą przyszli trenerzy i trudno im nie uwierzyć. Na dodatek sami powiadają, że czasu mało, bo czołówka piłkarska czekać na nas nie będzie. A na dobre przygotowanie piłkarzy potrzeba co najmniej 8 lat. Zdążymy więc na trzecie, kolejno licząc, mistrzostwa świata. Obraz rysuje się raczej ponury. Ale Jan Urban widzi to wszystko jakby inaczej, można powiedzieć — optymistycznie.

— *„Bębni się u nas* — powiada — *jacy to jesteśmy słabi technicznie — to półprawda! Nas niszczą — to nie tylko moje zdanie — trzy zimowe miesiące. Trenerzy licytują się, kto zrobi więcej obozów, kilometrów, kilogramów... Wszystkie zespoły pracują jednakowo ciężko. Dlaczego zatem po grze niektórych wcale tej pracy nie widać? Kiedy wreszcie jakiś trener odważy się na zmiany? Więcej taktyki, techniki, gier — nawet w naszych zimowych warunkach"*.

Ot, i mamy radosny, piłkarski pluralizm poglądów. Te różnice dają się zresztą dostrzec również w stosunku do poczynań trenera Wojciecha Łazarka. Jedni mówią, że dobrze postępuje, inni, że źle. Jedni powiadają, że powinien być selekcjonerem, a nie trenerem uczącym grać w piłkę, inni, że dobrze, iż uczy grać niedouczonych. I mnie się to nawet podoba. Ja jestem za takim pluralizmem, bo z tego gadania zupełnie nic nie wynika. A kto ma rację, To już zupełnie inna sprawa.

Natomiast podoba mi się zgodność poglądów w sprawie stosunku do poczynań PZPN. Otóż wszyscy zgodni są w tym, że zasłużeni działacze PZPN nic już nowego nie wymyślą i niczego nie zmienią. I ja się do tego poglądu przychylam.

BOGDA MADEJ

Dagome iudex

Zbigniew Nienacki

Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex", traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy" będą drukować w całości już wkrótce.

„Dagome iudex" to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzchłą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex" to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Moja sztuka czarów nie jest wielka — wyznała. — Umiem podawać ziele, które powoduje miłość, ale także takie, które miłość oddala. Potrafię składać połamane kości i leczyć rany, zatamować płynącą krew i przyjmować dziecko rodzącej kobiety.

— Ja też znam tę sztukę — rzekł chłopiec. — A choć nie potrafię odebrać dziecka rodzącej, wiem, że trzeba iść do niej w stroju mężczyzny, aby oszukać złe moce.

— To prawda — zdumiała się Astrid. — Ty naprawdę znasz sztukę czarów.

— Rozumiem także mowę ludzkiego ciała. Dlatego wiedziałem, że przyjdziesz, aby mnie zabić. Powiedziały mi to twoje oczy.

— A co one teraz ci mówią — zapytała z uśmiechem.

Tę rozmowę prowadzili przy śniadaniu, siedząc naprzeciw siebie po dwóch stronach stołu. On — w swych szkarłatnych szatach i z białymi włosami sięgającymi ramion, ona — ubrana też pięknie, gdyż chciała mu się podobać w długiej zielonkawej sukni wełnianej, ze srebrnymi broszami na piersiach i festonem paciorków zawieszonych między broszami. Włosy — jak przystało wdowie — miała związane w gruby węzeł, a na głowie nosiła spiczasty czepek.

Chłopiec z przyjemnością skubnął palcami przystrojone w koronki mankiety swej koszuli, potem spojrzał na Astrid i rzekł:

— Twoje oczy są niespokojne. Twój wzrok wciąż ucieka ku schodom. Dlatego wiem, że tam na górze jest mężczyzna.

— Zabijesz go? — starała się nie okazywać przerażenia.

— Nie wiem.

— Jest ranny. Ma złamane obydwie nogi. Nie będzie się długo bronił — powiedziała, z napięciem oczekując jego odpowiedzi.

— Kim jest dla ciebie?

— To brat mojego męża. Ma na imię Hlodr.

— Czemu nie leży tutaj, ale na strychu?

— Ukrywam go przed władcą miasta, Akumem. Hlodr, w spisku z moim mężem, Ottarem, napadł tej jesieni na miasto z gromadą Ascomannów. Zostali wybici. Znalazłam Hlodra z połamanymi nogami i przywlokłam tutaj. Mąż mój zginął. Nikt jednak nie wie, że Ottar był w zmowie z piratami, dlatego dano mi spokój. Ale od tego czasu żyję w nędzy. Musiałam sprzedać niewolników, a także pozbyłam się wielu cennych rzeczy.

— Dlaczego twój mąż związał się z piratami?

— Był Ascomannem — wzruszyła ramionami jak gdyby to mogło wszystko wyjaśnić.

— Ciągle słyszę o Ascomannach. Kim są?

— To ludzie z Północy. Niekiedy są kupcami, niekiedy najeźdźcami i zdobywcami, a nawet piratami. Mój mąż skupował futra, ale kiedy cały ten handel przejął Akum zaczęło się nam źle powodzić. Wtedy Ottar przypomniał sobie o bracie Hlodrze i o tych, z którymi łączyło go „varar", to jest ślubowanie braterstwa. Wspólnie zaplanowali napad na miasto. Zabijesz Hlodra?

— Nie — odparł syn Bozy. — Będę się nim opiekował, jeśli nauczy mnie obyczajów Ascomannów. Pragnę bowiem posiąść wiedzę i umiejętności, gdyż jak mi wróżono, mam zostać wielkim władcą. Nie chcę zabić człowieka, który może mnie czegoś nauczyć. Czy Hlodr jest kimś znacznym?

— W mieście Birka ma dom. Wiele razy przepływał morza, walczył z Brytami, Anglami, najeżdżał Franków i przywoził wielkie łupy. Był nawet na morzu zwanym Pontem. Gdy spłyną lody będę codziennie wychodzić na przystań i wyglądać statku z głową smoka o rozdwojonym języku. Tym statkiem potajemnie odpłynie Hlodr do swojego domu a mnie zabierze ze sobą.

— Zapytaj go, czy zechce zostać moim nauczycielem — zaproponował syn Bozy, który na myśl o dalekich podróżach odczuwał w sobie drażnienie wywołane chorobą zwaną żądzą czynów.

Odeszła i długo jej nie było. Potem zeszła do połowy schodów i kiwnęła ręką na chłopca, aby wszedł na górę. Wtedy to syn Bozy zobaczył w izdebce na strychu, na wielkim łożu pokrytym skórami owiec, leżącego ogromnego mężczyznę z wielką czerwoną brodą i długimi czerwonymi włosami. Jego obydwie nogi znajdowały się w drewnianych deszczułkach. Mężczyzna był w sile wieku, oczy miał wesołe.

— Czego chcesz się nauczyć ode mnie, młodzieńcze bez imienia? — tubalnym głosem zapytał Hlodr w mowie, której syn Bozy nie rozumiał, ale Astrid mu jego słowa zaraz przetłumaczyła.

Odparł bez namysłu:

— Twojej mowy, panie. I twoich obyczajów. A jeśli kochasz się w walce, także i twoich umiejętności walki.

— Nie wiem, czy warto cię uczyć, młodzieńcze bez imienia — zahuczał Hlodr, a Astrid tłumaczyła jego słowa. — Może na to szkoda czasu? Mówiła Astrid jakobyś się chwalił, że pochodzisz z rodu olbrzymów zwanych Spalami. Przemierzyłem na łodziach chyba pół świata, ale o Spalach nie słyszałem. Gdybym nie miał połamanych nóg, spróbowalibyśmy pojedynku na miecze. Słyszałem, że twój nazywa się Tyrfing. Mój zaś nosi imię Kąsacz Goleni.

— Nie moglibyśmy się pojedynkować na miecze, panie, ponieważ gdybym obnażył do walki swojego Tyrfinga, musiałbyś paść trupem. Mój miecz jest przeklęty i niczego nie robi dla zabawy.

Hlodr przestał się uśmiechać.

— Kto go przeklął?

— Odyn.

— Spalowie oddają cześć Odynowi?

— Nie. Naszym bogiem jest Swaróg. Ale ja chcę oddawać cześć wielu bogom, ponieważ chciałbym mieć wiele sił.

— Nie wiem w jaki sposób mam sprawdzić, czy nadajesz się do nauk — zastanawiał się Hlodr.

Uśmiechnął się syn Bozy i powiedział:

— Masz, panie, nóż ukryty w owczych skórach tuż koło swojej dłoni. Gdy tu wchodziłem, widziałem w twoich oczach wahanie, czy mnie nim nie zabić.

Ledwie te słowa przetłumaczyła Astrid, a nóż zabłysnął i przeleciał tuż nad głową syna Bozy. Gdyby chłopiec nie był świadomy niebezpieczeństwa i nie uchylił się, nóż wbiłby mu się w serce.

— Umiesz czytać w ludzkich myślach — zawołał Hlodr.

— Nie, panie — odparł spokojnie młodzieniec. — Znam tylko mowę oczu i mowę ciała.

To mówiąc wyjął nóż wbity w krokiew i rzucił go na polepę strychu.

— Ja cię nauczę mowy Ascomannów, czyli „donsk tunga", a ty mnie mowy oczu i ciała — zaproponował Hlodr.

— To niemożliwe, panie. Tylko kobieta, która zna sztukę czarów może nauczyć mężczyznę mowy oczu i ciała. Przez wieki kobiety pieściły mężczyzn, poznawały ich oczy i ich ciała, jak również własne ciało, i to tylko one, a właściwie niektóre z nich zachowały odrobinę pamięci o dawnej ludzkiej mowie. Ja ją poznałem, ale nauczyć potrafiłbym tylko kobietę. Mogę jedynie zapewnić ci bezpieczeństwo i pieniądze na dostatnie życie.

— W jaki sposób?

— Będę brał wieczorem czarną opończę i szukał takich, co chodzą z mieszkiem u pasa. A teraz, panie, powiedz mi, czy używasz tej oto kobiety, imieniem Astrid.

— Jak mam ją używać — rozsierdził się Hlodr. — Owszem niekiedy każę jej w rozmaity sposób zaspokajać swoje żądze, ale to cała korzyść.

— W takim razie będziemy się nią dzielić — zdecydował syn Bozy.

— Co ty na to, Astrid? — zapytał Hlodr.

— On ma rację. Kocham ciebie, Hlodr, ale i jemu jestem potrzebna. A poza tym nie wolno dla niego sprowadzać do domu obcej kobiety, gdyż powodowana zazdrością, może donieść na nas ludziom Akuma.

I tak oto syn Bozy zaprzyjaźnił się z Hlodrem, starym „thane", jak kazał się nazywać, słowo to bowiem oznaczało uczestnika wielu walk. Sam zaś został „drengiem", to jest chłopcem i towarzyszem broni. Po miesiącu dobrze już mówił w mowie Ascomannów i dowiedział się wiele o ich tajemnych obyczajach i przysięgach, a także sposobach walki. (...)

Tymczasem minął czas zbierania oskoły czyli soku z brzozy, a potem jeszcze raz odmienił się księżyc i w końcu nastał miesiąc trawień, gdy to zieleni się trawa i ludzie wypuszczają bydło na świeżą paszę. Hlodr już nie leżał w łóżku, lecz zaczął chodzić, wspierając się na zrobionych przez siebie szczudłach. Robił kilka kroków po strychu, najczęściej od łóżka do ściany szczytowej domu Astrid. W jednym z bali wypadł sęk i poprzez dziurę widać było rzekę wypływającą z jeziora Druzo oraz port. Lody już dawno roztopiły się, uwięzione w nich statki odpłynęły w dalekie kraje, na ich miejsce przybywały wciąż nowe i nowe, aby po jakimś czasie znowu zniknąć z portu. Hlodr nauczył młodzieńca rozróżniać rodzaje statków. A więc przypływały ogromne i szerokie ferje z wysokimi burtami, przeznaczone dla kupców i ich towarów, knorry — do dalekich podróży, skuty o trzydziestu wiosłach, dobre do wojaczki i do kupiectwa, karfi — mieszczące od 12 do 32 wioślarzy. Wszystkie statki miały maszt i żagiel, miejsca dla wioślarzy oraz ster i kil, który im pozwalał płynąć ostro na wiatr. Wielkość statku określano po ilościach wioślarzy i ławek dla nich przeznaczonych, i dzielono je na te, które były przeznaczone dla kupiectwa — kanpsikipy oraz bardzo długie i płytko zanurzone — langskipy, do wojennych wypraw. Wojenny statek snekka był na ogół dwudziestoławkowcem, mógł zabrać czterdziestu czterech mężczyzn i dwa konie. Przypływały też nieco mniejsze skeidy, bardzo szybkie, słowo skeid oznacza bowiem rzecz, która tnie wodę. Największe statki wojenne nazywano drekar czyli smok, ponieważ miały dzioby z brązu i umieszczone na nich wizerunki smoków ziejących ogniem z nozdrzy. Na dziobach innych statków widziało się postacie ludzkie odlane z brązu lub nawet ze złota, byki ze wzniesionymi wysoko szyjami, delfiny i ludzi z tułowiami konia. Na wierzchołkach masztów poruszały się ptaki wykute z lekkiego metalu — wskazywały one kierunek wiatru. Każdy wielki statek miał swoje imię: Hlodr czekał na „Długiego węża", który był drekarem i nosił na dziobie figurę smoka z rozdwojonym językiem. Lecz choć każdego ranka i niekiedy przez cały dzień przez dziurę w belce obserwował rzekę i port — tego statku ciągle nie widział.

Hlodr nie mógł się obyć bez szczudeł i ta bezradność powodowała, że czasami popadał w smutek, odmawiał jedzenia, nie chciał widzieć młodzieńca, a nawet Astrid. To znów wpadał we wściekłość i w więźbę dachową walił mieczem.

— Uważaj, abym kiedyś nie popadł w berserkir to jest wilczy szał — ostrzegał chłopca i Astrid. — To się zdarza niekiedy Ascomannom podczas bitwy. Zabijają wtedy na ślepo, a ranieni nie czują bólu. Tacy są potrzebni w walce, ale otacza ich ogólna pogarda, uważa się ich za głupców i szaleńców. Kto wie jednak, czy bezczynność nie sprowadzi na mnie tej choroby i wówczas mogę zabić ciebie, młodzieńcze bez imienia, i Astrid.

Niekiedy Hlodr popadał w samochwalstwo i wspominał swoją młodość. Opowiadał, że jako „dreng" potrafił przebiec wzdłuż całego statku po wiosłach znajdujących się w ruchu. Dokonać czegoś takiego mógł tylko człowiek niezwykle zręczny i odważny, rzadko komu się to udawało, szczególnie na statku o wielu wiosłach.

Jak każdy Ascomann kochał statki i jak każdy Ascomann chciał, aby po śmierci spalono go wraz ze statkiem. Jeśli kogoś nie stać było na statek albo nie miał własnego statku, przyjaciele chowali go w grobowcu zrobionym z kamieni ułożonych w kształcie statku.

— To my staliśmy się właścicielami wszystkich mórz i oceanów — chwalił się synowi Bozy. — Nasze statki nie płyną bezwolnie pchane przez wiatr. Są płytkie i podpływają aż na ląd. Wtedy atakujemy błyskawicznie ludzi nieświadomych niebezpieczeństwa. Nasze statki są lekkie, możemy je przeciągać po lądzie lub nieść na ramionach. I mają wyższe burty od innych, dlatego łatwiej nam z nich skakać na statki wroga o niższych burtach.

Syna Bozy też męczyła bezczynność, szczególnie, gdy jak mu się wydawało, dostatecznie poznał język Ascomannów i ich obyczaje. Nie mógł się z Hlodrem wprawiać do walki, gdyż Hlodr ciągle jeszcze chodził wsparty na szczudłach i łatwo go było pokonać. Znużyła go też miłość Astrid. Zely nauczyła go nie tylko mowy ciała, ale także rozumienia ciała mężczyzny i kobiety. Dzięki temu swoimi pieszczotami potrafił doprowadzić Astrid do wywołanej rozkoszą utraty przytomności. Ale ona nie umiała mu się odwzajemnić podobną pieszczotą, nie znała bowiem tajemnic ciała mężczyzny. W jej ramionach syn Bozy tęsknił za Zely i jego pożądanie nigdy nie bywało zaspokojone do końca.

— Wszystkie nasze kobiety są zimne — powiedział mu Hlodr, gdy poskarżył mu się na brak miłosnej sztuki u Astrid. — I zapamiętaj sobie też nasze przysłowie: „zimna jest rada naszej kobiety". Dlatego bądź ostrożny wobec ich rad.

Astrid miała dwanaście lat, gdy porwano ją z jakiejś sklavińskiej wioski i sprzedano bogatemu Ottarowi w Druzo. Wyrosła na piękną dziewczynę wychowaną przez kobiety ascomańskie i Ottar wziął ją sobie za żonę, wyzwalając uroczyście z niewoli. Od kobiet ascomańskich nauczyła się być silną, wytrwałą, gotową walczyć u boku mężczyzny, ale ta surowość pozbawiła ją kobiecej miękkości i uległości, zabrała gdzieś słodycz i ciepło, z której słynęły kobiety południa. Takie można było spotkać jedynie w szałasach pod miastem i za wynagrodzeniem zażyć z nimi rozkoszy. (...)

Pewnego dnia zobaczył jak Astrid zaspokaja żądze Hlod... Ascomann, jak zwykle leżał na swym łożu na poddaszu, i gdy poczuł pragnienie kobiety, wyjął na wierzch wezbranego członka i przywołał znajdującą się w kuchni Astrid. Pobiegła na górę posłusznie, a zobaczywszy jego sterczące prącie, pojęła, czego od niej chce. Wówczas wlazła na jego łoże, zasiadła na nim okrakiem i zadarła spódnicę. Wspiął się na schody, zobaczył jak Astrid wpycha w siebie męskość Hlodra, a potem rytmicznie porusza swoimi gołymi pośladkami, aż odczuła wytrysk nasienia. Westchnąwszy cicho, zlazła z Hlodra i jak gdyby nic nadzwyczajnego nie uczyniła, spokojnie powróciła do kuchni i do syna Bozy. A on nie wiedzieć czemu, raptem poczuł do niej wstręt i postanowił nigdy więcej nie zażywać z nią rozkoszy. Miłość, uczyła go Zely, była sztuką, a Astrid poszła do Hlodra i dała mu siebie tak samo jak gdyby poprosił ją o kubek wo-

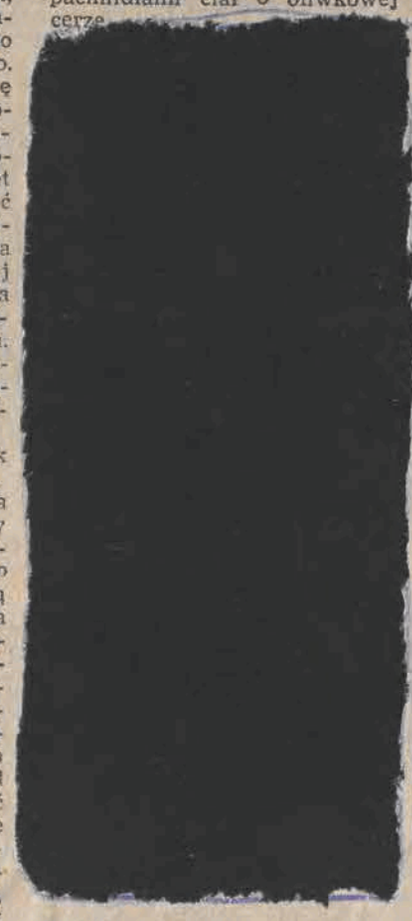

C.D.N.